

Edith Nesbit

Rod Ardenów

The House of Ardens
Przełożyła Irena Tuwim

ROZDZIAŁ I

RÓD ARDENÓW

Był to niegdyś wielki i potężny ród władający wielu posiadłościami, ze skarbem pełnym pieniędzy i klejnotów, z mnóstwem dzierżawców, wasali, dworzan i służby. Za czasów króla Henryka VIII* głowa rodu, lord Arden, podróżował konno całe trzy dni, gdy chciał powitać króla u granic swych włości. Potem król jechał wraz z lordem do zamku Arden, gdzie monarcha nocował w najwspanialszej komnacie gościnnej na olbrzymim łożu z baldachimem. Jeden z późniejszych lordów wyekwipował cały oddział zbrojny do walki przeciwko Oliverowi Cromwellowi*, a młodszy członkowie rodu walczyli w zamorskich krajach ku chwale Anglii, przywracając stary blask i przydając nowego zanikającej glorii starożytnego nazwiska Ardenów. Ardenowie istnieli już w średniowieczu, we wczesnych czasach anglosaskich*, i przetrwali po dziś dzień, ale bardzo już nieliczni i bardzo zubożali. Przepadły posiadłości, zniknęli dzierżawcy, dworzanie i służba. Zamek zamienił się w ruinę, pozbawiony dachu, patrzył pustymi oknami bez szyb na cudze dziś pola i łąki, sięgające niemal do samych jego szarych, zmurszałych murów. A z męskich potomków rodu pozostali zaledwie dwaj: starzec i dziecko.

Starcem był obecny lord Arden, głowa rodu, mieszkający samotnie w małym domku zbudowanym z kamieni, które stracili niegdyś z murów obronnych żołnierze Cromwella albo też zwałił później nieubłagany bieg czasu. Dzieckiem natomiast był mały chłopczyk, Edred Arden, który mieszkał w czystym, smaganym przez wichry miasteczku, położonym na szczycie nadmorskiego urwiska.

Dom, w którym mieszkał chłopiec, zwrócony był frontem w stronę wiecznie szumiącego morza, miał jasne ściany, okna w wykuszach i zielony balkon. Do domu wchodziło się po trzech, zawsze starannie wyszorowanych, małych schodkach, a klamka u drzwi była lśniąca i bardzo gładka od ciągłego używania. Dom był naprawdę ładny i mieszkałoby się w nim bardzo nawet przyjemnie, gdyby nie jedna rzecz — letnicy. Nie mogę już bowiem dłużej przed wami ukrywać, że Edred Arden mieszkał u swojej cici, a ciocia przyjmowała letników. Wynajmowanie pokoi jest jednym z najbardziej przykrych sposobów zarabiania na życie i radzę wam wypróbować wszystkie inne możliwe sposoby uczciwego zarabiania, zanim zdecydujecie się odnajmować pokoje. Tak bowiem się składa, że ludzie, którzy wyjeżdżają nad morze i tam wynajmują sobie pokoje, są znacznie bardziej wymagający od ludzi mieszkających w hotelach. Letnicy w domach prywatnych mają ciągle jakieś niespodziewane potrzeby, żądają, aby ich stołować, a przy tym dopominają się o dodatkowe posiłki, i to w najbardziej dziwacznych porach. Od rana do nocy naciskają dzwonek. We wszystkich fałdach ubrania przynoszą mnóstwo piasku, który rozsiewają po całym domu, głównie zaś na dywany i na dużą kanapę w saloniku. Na nowiutkich tapetach w piękne róże wieszają długie wstęgi wodorostów, a w umywalkach pełno jest zawsze muszelek i meduz. Ponadto letnicy są bardzo hałaśliwi i ciągle się słyszy ich głośnie kroki na schodach, nawet jeżeli z powodu bólu głowy prosi się o ciszę. A kiedy dostają rachunek, z reguły uważają go

* Henryk VIII (1491–1547) — król Anglii od r. 1509

* Oliver Cromwell (1599–1658) — angielski mąż stanu i wódz, republikanin. W czasie wojny domowej stanął po stronie parlamentu przeciw Karolowi I. Jako wódz naczelny armii parlamentu rozbił wojska królewskie w 1645 r., powołał sąd, który skazał króla na ścięcie, i w 1649 r. ogłosił Anglię republiką. Rządy jego wzmocniły potęgę morską i gospodarczą Anglii.

* Czasy anglosaskie — czyli staroangielskie, okres w historii Anglii. Trwający od VII w. do 1066 r.

za ogromnie wygórowany, choćby to był rachunek najskromniejszy. Toteż brońcie się z całych sił przed lokatorami.

Niestety, panna Arden nie mogła się przed nimi obronić. A zaraz opowiem wam, dlaczego tak było.

Edred i jego siostra chodzili do szkoły i mieszkali w internacie. (Czy już wam wspomniałam, że Edred miał siostrę? Otóż miał, a na imię jej było Elfryda). Panna Arden mieszkała niedaleko szkoły i mogła ich często widywać. Zajęta była przygotowywaniem swojej wyprawy, a jej narzeczony miał niebawem przyjechać z Ameryki Południowej, gdzie zrobił duży majątek. Ojciec dzieci także miał wrócić z Ameryki Południowej, gdzie również zrobił majątek, bowiem on i narzeczony panny Arden byli współnikami. Za każdym widzeniem się dzieci i ciotka rozmawiali głównie o wspaniałej przyszłości, jaka niebawem oczekuje ich wszystkich, i o tym, że kiedy ojciec i wuj Jim — bo tak go już nazywali — powrócą, wtedy wszyscy zamieszkają na wsi i będą tam żyli bardzo szczęśliwie.

Aż tu nagle nadeszła wiadomość, że ojca i wuja porwali zbóje i ograbili ze wszystkich pieniędzy, tak że zamiast oczekiwanych bogactw pozostał tylko dom nad urwiskiem. Wobec tego panna Arden musiała odebrać dzieci z kosztownej szkoły londyńskiej i wszyscy troje zamieszkali w domu nad urwiskiem. A ponieważ nie było żadnych pieniędzy na utrzymanie i żadnego innego sposobu zarobkowania poza odnajmowaniem pokoi, panna Arden musiała brać letników ze stołowaniem, a że była bardzo dzielną osobką, więc ów pensjonacik prowadziła znakomicie.

Niestety, los zdarzył, że wkrótce po pierwszej smutnej wiadomości nadeszła druga, o wiele gorsza. Okazało się, że i ojciec dzieci, i wuj Jim nie żyją. W domu nad urwiskiem, rzecz oczywista, zapanowała żałoba.

Wszystko to stało się dość dawno, bo przed dwoma laty, ale dzieci wcale nie przyzwyczyły się do lokatorów. Po prostu ich nienawidziły. Początkowo oboje usiłovali zaprzyjaźnić się z dziećmi letników, wkrótce jednak przekonali się, że lokatorskie dzieci uważają ich za coś o wiele gorszego od siebie i patrzą na nich z góry. A tymczasem bardzo często dzieci letników należały do tego gatunku dzieci, na które każdy miałby prawo patrzeć z góry, gdyby w ogóle takie patrzeć nie było rzeczą nieładną i niegrzeczną. Bo kiedy na przykład mały Reginald Potts pokazuje wam język na promenadzie i woła na oczach licznej publiczności: „Te, hotelarz!”, to trudno doprawdy obdarzać go później taką samą sympatią, jaką obdarzaliście go przedtem. Poza tym gdy zjeżdżali się letnicy — a przyjeżdżali zawsze, gdyż dom nad urwiskiem był bardzo wygodny i kto raz tam przyjechał, ten z reguły wracał następnego roku — dzieci wraz z ciotką musiały mieszkać albo na samej górze domu, albo na samym dole, czyli, krótko mówiąc, na poddaszu lub w suterenie.

Kiedy zaś letników nie było, mieszkano po kolei we wszystkich pokojach, aby móc w ten sposób dobrze je przewietrzyć. Ale dzieci najbardziej lubiły przesiadywać w dużym środkowym pokoju wysokiej sutereny, gdzie wszystkie meble należały do dawnych Ardenów, podobnie jak spadkiem po dawnych Ardenach były wszystkie obrazy na ścianach. Pokoje odnajmowane letnikom były umeblowane nowymi meblami, z którymi nie wiązały się żadne podania, wspomnienia czy opowieści, jakich mnóstwo kojarzyło się ze starymi dębowymi stołami czy też sekretkami, wypełniającymi środkowy pokój w suterenie.

Edred i Elfryda chodzili codziennie do szkoły, gdzie uczyli się czytania, pisania, arytmetyki, geografii, historii i innych pożytecznych przedmiotów, których nie cierpieli z równą bezstronnością, to znaczy, nie cierpieli dosłownie wszystkiego — tak samo jednego przedmiotu, jak i innego.

Jedyną stroną nauki, jaka sprawiała im prawdziwą przyjemność, były zadania domowe, bo jeśli ciocia Edyta miała czas, żeby pomóc im w odrabianiu lekcji, geografia przekształcała się w pełne przygód wyprawy, historia w zbiór niesłychanie ciekawych opowieści i nawet arytmetyka nabierała nagle jakiegoś szczególnego znaczenia.

— Chciałbym, ciociu, żebyś nas zawsze uczyła — powiedział Edred cały wysmarowany atramentem i po raz pierwszy zaciekawiony tym, co się eksportuje z Chin. — Bo to takie głupie wkuwać ciągle rozmaite rzeczy, które są tylko mnóstwem słów wydrukowanych w książkach.

— I ja też chciałabym bardzo — odparła ciocia Edyta — ale nie mogę robić dwudziestu dziewięciu tysięcy trzystu siedemnastu rzeczy jednocześnie, a... — Tu nagle rozległ się donośny dźwięk dzwonka. — To już siódmy raz od podwieczorku — stwierdziła ciocia, po czym wstała i wyrzwała do kuchni. — I znowu ktoś dzwoni, moja biedna Elizo! No, trudno, musisz się zgłosić na dzwonek, tylko nie mów nic, cokolwiek by ci powiedzieli. I tak nic dobrego by z tego nie wynikło, a mogłabyś z łatwością stracić i te niewielkie napiwki, jakie dają ci przy wyjeździe.

— Ach, jak ja lubię, kiedy już sobie wyjeżdżają! — zawołała Elfryda.

— O, tak — powiedziała ciocia. — Dorożka pełna walizek, łeb koński skierowany w stronę stacji to prawdziwie niebiański widok... oczywiście, jeżeli rachunek został zapłacony! Ale z drugiej strony, muszę również być zadowolona, gdy walizy przyjeżdżają. Ach, moi drodzy, kiedy mój okręt zawinie wreszcie do portu, zamieszkamy na bezludnej wyspie, gdzie nie będzie żadnych dorożek i nie będzie żadnych letników w naszej jaskini.

— A ja kiedy dorosnę — powiedział Edred — popłynę na drugi brzeg oceanu, odnajdę twój okręt, ciociu, i sprowadzę go do nas. Wynajmę parowy holownik i sam będę na nim sternikiem.

— A ja będę kapitanem — wtrąciła Elfryda.

— O, nie! Kapitanem będę ja!

— Nie możesz, jeżeli będziesz sternikiem!

— Owszem, mogę!

— Nie możesz!

— A zobaczysz, że mogę!

— No to się jeszcze przekonasz! — wykrzyknęła Elfryda. — A kiedy będziesz próbował to zrobić — choć wiem, że ci się nie uda — ja będę kopać w ogrodzie, trafię na żyłę złota i ciocia Edyta będzie się pławić w pieniądzach, i kiedy ty wrócisz, wcale nie będzie chciała patrzeć na twój głupi okręt.

— Teraz zajmijmy się pisownią — przerwała im ciocia Edyta. — Jak pisze się „nie do wytrzymania”?

— A które z nas? — spytał szybko Edred.

— Obydwoje — odparła ciocia Edyta, usiłując nadać swojej twarzy bardzo srogi wyraz.

Kiedy się jest dzieckiem, zawsze marzy się o odnalezieniu zaginionego okrętu czy też o tym, że się ma sto funtów szterlingów albo tysiąc, lub nawet milion, które można wydać na różne swoje zachcianki. Pamiętam, że moim ulubionym marzeniem było tysiąc funtów, z zastrzeżeniem, że nie wydam ich na nic pożytecznego. A kiedy się już zdobyło w marzeniu milion funtów czy też tysiąc, lub choćby setkę, wówczas spędza się wiele przyjemnych godzin, rozmyślając nad tym, jakie upominki kupi się dla wszystkich osób, które się lubi, i wyobrażając sobie ich zaskoczenie i zachwyt z powodu prześlicznych prezentów i naszej zadziwiającej hojności.

Myślę, że mało kto z was wydaje zdobyty w marzeniach majątek wyłącznie na własne potrzeby. Oczywiście, zaczynamy od tego, że z miejsca kupujemy sobie motocykl, piłkę nożną i kije do krykieta, lalki z prawdziwymi włosami, serwisy do herbaty z prawdziwej porcelany, ogromne pudła czekoladek, „Wyspę skarbów”^{*} i mnóstwo innych zajmujących książek — ale zaraz potem zabieramy się do kupowania różnych rzeczy dla wszystkich, których lubimy. Jest to bardzo piękne marzenie, ale aż nazbyt często, kiedy się spełnia w

^{*} „Wyspa skarbów” — książka Roberta Louisa Stevensona (1850–1894), pisarza angielskiego, autora powieści fantastyczno–przygodowych.

rzeczywistości — czy to będzie sto funtów, czy tysiąc — zapominamy o tym, co mieliśmy zamiar zrobić z tymi pieniędzmi, i wydajemy je na papiery wartościowe i akcje giełdowe, starannie upatrzone parcele budowlane, grube cygara i kosztowne futra.

Gdybym znów była młoda, usiadłabym i ułożyła listę tych wszystkich miłych rzeczy, jakie zamierzałabym robić, kiedy mój okręt zawinie do macierzystego portu, a kiedy by już wreszcie zawinął, odczytałabym tę listę i... No, ale dzwonek z saloniku odzywa się już po raz ósmy, a do drzwi frontowych także ktoś dzwoni, dzwonią też z pokoju na parterze i z pokoju na pierwszym piętrze, więc Eliza pędzi na wezwanie aż czterech dzwonek naraz, co jest rzeczą zawsze niezmiernie trudną do wykonania.

Do drzwi frontowych zadzwonił listonosz, który przyniósł trzy listy. Pierwszy zawierał rachunek za naprawę wieka od beczki na wodę, na którym Edred niedawno rozpałił ognisko, uważając, że drzewo nie może się zapalić, jeżeli pod spodem jest woda, co okazało się przekonaniem zupełnie błędnym, jak tego dowiodło zwęglone wieko. Drugi list pochodził od pewnego pastora, pytającego, czy panna Arden nie zgodziłaby się obniżyć ceny pobytu do połowy, ponieważ on ma bardzo liczną rodzinę, a wszyscy jej członkowie zachorowali właśnie na odrę. Natomiast trzeci list był tym LISTEM, który okazał się zarodkiem, początkiem, kośćcem, źródłem i przyczyną niniejszej opowieści.

Edred odebrał wszystkie trzy listy od listonosza i teraz stał i czekał, podczas gdy ciocia Edyta je czytała. Edred zbierał znaczki pocztowe, a przy świetle słabej lampy gazowej w hallu nie mógł się zorientować, czy któryś z tych znaczków miał jakąś wartość.

Trzeci list zrobił bardzo osobliwe wrażenie na cioci Edycie. Przeczytała go raz i przetarła oczy. Następnie wstała, podeszła pod samą lampę, w której już dawno należało zainstalować nowy palnik, bo paliła się tak, że przy jej świetle mało co było widać, i przeczytała list powtórnie. A potem przeczytała go jeszcze po raz trzeci i powiedziała:

— Ach!

— O co chodzi, ciociu? — zaniepokoiła się Elfyda. — Czy znowu podatki?

Już kiedyś przyszło wezwanie podatkowe i Elfyda ciągle to pamiętała. (Jeżeli nie wiecie, co znaczą podatki, to spytajcie waszych najuboższych krewnych, którzy z pewnością są zarazem najsympatyczniejsi, a jeżeli oni nie wiedzą, zapytajcie praczkę).

— Nie, kochanie, to nie podatki — odparła ciocia Edyta. — Wprost przeciwnie.

Nie mam pojęcia, co jest przeciwieństwem podatków, a dzieci, rzecz jasna, też tego nie wiedziały, ale jestem pewna, podobnie jak i one, że to coś bardzo przyjemnego.

— Ach, ciociu, jakże się cieszę! — zawołali oboje równocześnie i powtórzyli to jeszcze wiele razy, nim wreszcie zadali pytanie:

— Więc o co chodzi?

— Zdaje mi się... nie jestem zupełnie pewna, ale wydaje mi się, że okręt zawinął do portu... Właściwie zupełnie maleńki okręcik, tak jak zabawka, o, taki! Ale muszę jutro z samego rana pojechać do Londynu i sprawdzić, czy to rzeczywiście jest okręt, a jeżeli tak, to jakiego rodzaju. Pani Blake zajmie się wami, a wy będziecie grzeczni jak aniołki, prawda, moje dzieci?

— O, tak! — zawołali oboje.

— I nie będziecie zastawiać sideł na rzeźnika ani wchodzić na dach w nocnych koszulach, nie będziecie bawić się w Czerwonoskórych w pojemniku na śmieci ani wsuwać kawałków szarlotki do łóżek letników? — dopytywała, się ciocia Edyta, pośpiesznie wyliczając niektóre z drobnych rozrywek, jakimi ostatnimi czasy zabawiali się w wolnych chwilach jej bratanek i bratanica.

— Nie, naprawdę nie będziemy — zapewnił ją Edred.

— I naprawdę będziemy się starać nie wymyślać już żadnych nowych zabawnych rzeczy — dodał z akcentem głębokiego poświęcenia.

— Muszę zdążyć na pociąg o wpół do dziesiątej. Chciałabym coś wymyślić, co was... — zawahała się i dodała: — rozerwie. (W gruncie rzeczy chciała powiedzieć: „co was powstrzyma od zbytków przez cały ten dzień”, ale wołała tego nie mówić). Przywiozę ci, Edredzie, jakiś ładny prezent na urodziny. Może byście mieli ochotę spędzić jutrzejszy dzień z przemiłą panią Hammond?

— O, nie — sprzeciwił się Edred i zaraz dodał pod wpływem nagłego natchnienia: — A czy nie moglibyśmy urządzić sobie urodzinowej majówki na wydmach? Tylko Elf i ja? Chyba nic nie szkodzi, że będzie to w wigilię urodzin? Zeszłego lata ciocia mówiła, że jesteśmy jeszcze za mali, ale że w tym roku będziemy mogli się tam bawić. A teraz jest przecież ten rok i ja urosłem całe dwa cale, a Elf nawet trzy, więc jesteśmy razem o pięć cali wyżsi niż wtedy, kiedy ciocia mówiła, że jesteśmy za mali.

— A widzisz — odparła ciocia — widzisz teraz, jak pożyteczna jest arytmetyka! No dobrze, możecie sobie urządzić majówkę na wydmach, tylko włóżcie na siebie jakieś stare rzeczy i trzymajcie się w pobliżu szosy. Tak, możecie sobie jutro urządzić święto. A teraz idźcie już spać. Ach, znowu ktoś dzwoni! Biedna ta pocziwa Eliza!

Jakiś smarkacz, jeden z letników, szedł właśnie na górę spać, i to akurat w chwili, kiedy Edred i Elfryda stanęli w obitych suknem drzwiach, które oddzielały suterенę od reszty domu. Wysunął język między słupkami w balustradzie schodów w kierunku dzieci i powiedział: „Mali niewolnicy”. Szczeniak był przekonany, że zdąży wbiec na górny podest, zanim tamtych dwoje zdąży obejść wokół balustradę u dołu schodów. Ale w swoich rachubach nie wziął pod uwagę długiego ramienia Elfrydy, która wsunęła rękę między słupki, chwyciła szczeniaka za nogę i trzymała go aż do chwili, gdy Edred wbiegł na górę. Obydwaj chłopcy zaczęli bijatykę na schodach, aż w końcu stoczyli się na sam dół, gdzie pochwycili i rozdzielili ich starsi przedstawiciele ich rodzin. Ale poza tym drobnym wydarzeniem pójście do łóżka odbyło się bez żadnych zakłóceń.

Następnego ranka ciocia Edyta wyjechała pociągiem o ósmej trzydzięci. Szkolne tornistry zostały wypełnione bułeczkami zamiast książek. Miejsce zeszytów szkolnych zajęły kanapki, a miejsce poplamionych atramentem piórników — dwa wspaniałe pudełka miętówek, z których każde kosztowało szylinga, a które zakupiła lekkomyślnie ciocia Edyta w przejmującej chwili pożegnania z odprowadzającymi ją na stację dziećmi.

Rodzeństwo wracało powoli wybrukowanym czerwonymi ceglami chodnikiem, który zawsze wyglądał, jakby go dopiero co umyto. A gdy dotarli do szczytu wzgórza, zatrzymali się i spojrzeli na siebie.

— Nie może być w tym nic złego — odezwał się Edred.

— Ciocia nam tego nigdy nie zabraniała — zgodziła się Elfryda.

— Zauważyłem — rzekł Edred — że kiedy dorośli mówią o czymkolwiek, że „postarają się o to”, o co się ich prosi, nigdy nic z tego nie wychodzi.

— Ja też to zauważyłam — odpowiedziała Elfryda. — Ciocia zawsze obiecywała, że postara się nas tam zaprowadzić.

— Właśnie, obiecywała.

— Nie będziemy nic obrzydliwie kręcić w tej sprawie — rzekł z naciskiem Edred, chociaż nikt nie wyraził podejrzenia, że będzie kręcił, a w dodatku obrzydliwie.

— Pewnie — potwierdziła Elfryda z ulgą, gdyż wcale nie była pewna, że Edred tak się zachowa.

— Zresztą — dodał Edred — to przecież nasz zamek. Powinniśmy pójść i obejrzieć kolebkę naszego rodu. Tak właśnie nazwano zamek w tutejszym przewodniku po miasteczku i jego okolicy. Wiesz co? Nazwijmy to pielgrzymką. Tornistry bardzo dobrze zastąpią pielgrzymie tobołki, a za tego pensa, który ci został, możemy sobie kupić dwie laski. Możemy także włożyć po parę ziarenek grochu do naszych trzewików... gdybyś miała ochotę — dodał wielkodusznie.

— Po groch musielibyśmy wracać do domu, a poza tym nie wiem, czy łupany groch w ogóle by się liczył. I może by zanadto uwierał — rzekła z wahaniem Elfryda. — A tego pensa chcę zachować na... — tu urwała, widząc, że brat się skrzywił. — No dobrze — dokończyła — mogę ci go dać. Tylko później zwrócisz mi półpensówkę, kiedy w najbliższym czasie dostaniesz pensa. Tak będzie chyba sprawiedliwiej.

— Na ogół to chyba nie jestem niesprawiedliwy — i powiedział chłodno Edred. — Dajmy spokój z tymi pielgrzymami.

— Ale ja bardzo bym chciała — nalegała Elfryda.

— Nie — upierał się Edred — po prostu pójdziemy sobie spacerkiem.

Poszli więc dalej spacerkiem, w dość posępnych humorach.

Ciągle jeszcze szli przez miasto, ale coraz rzadziej zabudowane. Domy stały coraz dalej jeden od drugiego i otaczały je coraz większe ogrody. W bramie jednego z nich pokojówka wytrząsała kurz z wycieraczek do obuwia, a przy tym śpiewała sobie, co na ogół rzadko się zdarza pokojówkom w dużych miastach:

*Życzę szczęścia ci, mój chłopcze,
Będę kochać cię do grobu
I gdziekolwiek tylko pójdziesz,
Szczęście pójdzie razem z tobą.*

— To na szczęście dla nas — odezwała się ugodowo Elfryda.

— Kiedy my nie jesteśmy jej głupim ukochanym — stwierdził Edred.

— Nie, ale słyszeliśmy jej piosenkę, a on nie mógł słyszeć, bo go tu nie było. O, słup milowy! Ciekawa jestem, jak daleko uszliśmy. Okropnie się już zmęczyłam.

— W takim razie powinna to być pielgrzymka — zauważył Edred. — Pielgrzymi nigdy nie są zmęczeni, choćby w ich butach było nie wiem ile grochu.

— To teraz zacznę pielgrzymkę — oświadczyła Elfryda.

— Nie możesz, bo już za późno — odrzekł Edred. — Stąd jest okropnie daleko do sklepu z laskami.

— Dobrze — oburzyła się Elfryda — to w ogóle nie idę dalej! Musiałeś chyba wstać z łóżka lewą nogą. Przez całe rano starałam się odpowiadać ci najłagodniej, jak tylko mogłam, ale teraz już nie będę się starała.

— To się nie staraj — odparł z goryczą Edred. — Jeżeli chcesz, możesz wracać do domu. Jesteś tylko dziewczyną.

— Wolę już być dziewczyną niż tym co ty! — zawołała Elfryda.

— A czym to ja jestem, chciałbym wiedzieć?

Elfryda przystanęła i mocno zamknęła oczy.

— Dosyć już, dosyć! — zawołała. — Nie będę się z tobą kłóciła, nie będę, nie będę! Zgoda już, zgoda! Dajmy spokój! Przestańmy!

— Co mamy przestać?

— Kłócić się bez powodu — odrzekła Elfryda, otwierając oczy i idąc szybkim krokiem. — Wiecznie to robimy. Ciocia mówi, że weszło nam to już w przyzwyczajenie. Jeżeli chłopcy są o tyle lepsi od dziewczynek, to powinni umieć przestać, kiedy chcą.

— A jeśli nie chcą? — spytał Edred, szurając butami w grubej warstwie białego kurzu.

— No, więc ja pierwsza powiem przepraszam — rzekła Elfryda. — Czy tak będzie dobrze? —

— Kiedy ja właśnie chciałem pierwszy powiedzieć przepraszam — odparł Edred z wymówką w głosie. — Chodźmy — dodał wielkodusznie — obejrzyjmy ten słup. Zobaczymy, jak daleko uszliśmy.

Słup głosił bardzo wyraźnie i nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości, że uszli wszystkiego dwie mile. I w sposób bardzo nieuprzejmy dodał, że do zamku Arden odległość wynosi osiem mil. Ale równocześnie z informacji przytwierdzonej do słupa wynikało, że w pobliżu zamku jest przystanek kolejowy, a odległość do najbliższej stacji wynosi ćwierć mili.

— Jedziemy pociągiem — zaproponował wspaniałomyślnie Edred.

— Kiedy nie mamy pieniędzy — szepnęła rozpaczliwie Elfryda.

— Aha! — zawołał Edred. — To teraz przekonasz się że wcale nie jestem skąpy. Mam przy sobie tę nowiutką dwuszylingówkę, którą niedawno dostałem.

— Och, Edred! — zawołała dziewczynka tknięta wyrzutami sumienia. — Jaki ty jesteś szlachetny!

— Phi! — odparł chłopiec, a uszy aż mu poczerwieniały od pomieszanego uczucia tryumfu i skromności. — To takie głupstwo! Chodźmy na stację.

Tak więc pielgrzymi ujrzeli po raz pierwszy zamek Arden z okien wagonu. Zamek wznosił się dumnie na szczycie urwiska, skąd miał strzec całej okolicy i odpierać wszelkie napaści zamorskich wrogów. Ale z jego dawnej świetności nic już teraz nie zostało prócz grubych murów porośniętych trawą i polnymi kwiatami oraz okragłych baszt, których podłogi i stropy dawno już się rozpadły, a także komnat bez dachu, gdzie gnieździły się sowy i panoszyły gęste zarośla jeżyn i bardzo zielonych paproci. Dzieci skierowały się w stronę zamku ścieżką, biegnącą w górę urwiska. Nad nimi, pod bladobłękitnym niebem, skowronki śpiewały jak szalone, a z obu stron ścieżki ciągnęły się pola łubinu, nad którymi brzęczały roje pszczoł i z których unosił się najrozkoszniejszy w świecie zapach, przemieszany z zapachem brunatnych wodorostów wznoszących się i opadających wraz z falami morza bijącymi o skały u stóp urwiska.

— Może byśmy tu zjedli obiad? — zaproponowała Elfryda, gdy dotarli do wierzchołka skarpy, skąd stojący nieco niżej zamek widoczny był jak na dłoni.

Zasiedli do obiadu. Każde zjadło po dwie kanapki i po jednej dużej miętówce. Potem znów kanapki i znów miętówki, i tak dalej, co było całkowicie zgodne z ich zwyczajami. Jednocześnie wciąż przyglądali się zamkowi, coraz bardziej nim zachwyceni.

— Czy nie chciałbyś, żeby to był prawdziwy zamek i żebyśmy w nim mieszkali? — spytała Elfryda, kiedy już zjedli tyle, ile chcieli, oczywiście, nie miętówek, bo te się szybko skończyły.

— Przecież on jest prawdziwy! Przynajmniej to, co z niego zostało.

— Ja wiem. Ale chodzi mi o to, żeby tam był dach z kominami, a w pokojach kominki, drzwi zamykane na zasuwę i szyby w oknach.

— Ciekaw jestem, czy moglibyśmy dostać się do środka? — zastanawiał się Edred.

— Może moglibyśmy przeleźć górą — powiedziała Elfryda, przypatrując się olbrzymim murom, wysokim na sześćdziesiąt stóp, w których nie widać było żadnego wejścia czy choćby jakiegś wyrwy.

— O, tam idzie polem jakiś staruszek... Nie, nie z tej strony! Tamtym, takim bardzo zielonym. Spróbujmy go zapytać.

Zostawili tornistry na niskiej murawie gęsto poprzerastanej macierzanką i ruszyli w dół zbocza. Ale mimo pośpiechu nie zdążyli. Nim zdołali go dogonić, staruszek przeszedł przez łąn młodego żyta, przedostał się przez przełaz i znikł pośród wysokich żywopłotów ciągnących się po obu stronach głęboko wydeptanej dróżki. Wobec tego dzieci również przeszły przez przełaz i pobiegły dróżką w dół. Dopędziły staruszkę w chwili, gdy zatrzasnąwszy za sobą ogrodową furtkę szedł zwirowaną alejką między rabatami marzanny, anemonów, narcyzów i różnokolorowych tulipanów.

Staruszek odwrócony był do nich plecami. Otóż jest rzeczą bardzo trudną odezwać się grzecznie do pleców. Niech was więc nie dziwi, że Edred zawołał „Hallo”, a Elfryda: „Ej, proszę pana!”

Staruszek odwrócił się i ujrzał za furtką swojego ogrodu dwie małe postacie ubrane w to, co znane jest powszechnie jako marynarskie ubranie. A dzieci zobaczyły bardzo pomarszczoną twarz, śnieżnobiałe włosy i srebrzyste bokobrody. Z ogorzalej od słońca twarzy wpatrywały się w nich błyszczące, lekko przymrużone, błękitne oczy, a na ustach zarysował się nikły, ale miły uśmiech.

— No i czego sobie życzycie? — spytał staruszek.

— Chcielibyśmy się dowiedzieć... — zaczęła Elfryda.

— O zamek — dokończył Edred. — Czy możemy wejść do środka i obejrzeć?

— Mam klucze u siebie — odparł staruszek, uchylił drzwi domku, sięgnął ręką i zdjął klucze z gwoźdźcia.

— Myślę, że nikt chyba tam nie mieszka? — zagadnęła Elfryda.

— Teraz już nie — odparł staruszek idąc w stronę dzieci ogrodową alejką. — We wtorek będzie dwa tygodnie, jak umarł lord Arden i wszystko jest pozamykane do czasu, aż odnajdzie się nowy lord.

— Ach, jak bardzo chciałbym być nowym lordem! — odezwał się Edred, gdy znowu szli ścieżką za staruszkim.

— A ile ty sobie liczysz lat? — spytał staruszek.

— Prawie dziesięć. Jutro właśnie będą moje urodziny — odparł Edred. — A ile pan ma lat?

— Już blisko osiemdziesiąt. Dużo w swoim życiu widziałem. Gdybyś ty był tym młodym lordem, którego szukają, to miałbyś szansę, jakiej dotąd żaden z nich nie miał.

— Jaką szansę?

— Jak to? — zdziwił się staruszek. — Czy nie znasz przepowiedni? Myślałem, że wszyscy w całej okolicy ją znają.

— Co to za przepowiednia?

— Ja nie mam już zdrowia, żeby chodzić i jednocześnie mówić — odrzekł staruszek i przystanął. — A już szczególnie wiersze.

Następnie odetchnął głęboko i wyrecytował:

*Gdy Ardenu przyszedł pan
Lat swych dziesięć liczyć będzie,
Niech na Wzgórzu Arden stanie
I o zmięczeniu niech wypowie
Tajemniczych słów zakęcie.
Wówczas to ów chłopiec mały
Skarb odnajdzie, skarb wspaniały.*

— Ojej! — zawołały dzieci oboje naraz.

— A gdzie jest Wzgórze Arden? — zapytał Edred.

— Tam! — staruszek wskazał pagórek, gdzie dzieci jadły obiad.

— A co to za skarb? — dopytywała się Elfryda. Ale to pytanie pozostało bez odpowiedzi... na razie.

— Jeżeli mam dalej z wami rozmawiać, to muszę usiąść — oświadczył staruszek. — Czy usiadziemy tutaj, czy już w zamku?

Dwie ciekawości podjęły walkę z sobą. Silniejsza zwyciężyła.

— W zamku — odpowiedziały dzieci.

Tak więc na dziedzińcu zamkowym staruszek usiadł na zwalonej kolumnie jednego z łuków kaplicy i czekał. Kiedy zaś dzieci obiegły dokoła porośnięty trawą dziedziniec, zajrzały do zrujnowanych komnat, przewędrowały, z trudem utrzymując równowagę, wzdłuż zwalisk kolumnady i wspięły się na sam szczyt schodów jedynej baszty, gdzie zachowały się jeszcze

schody, wówczas wróciły na dziedziniec, usiadły obok staruszka na trawie aż białej od stokrotek i poprosiły:

— Więc niech nam pan teraz opowie, jak to było!

— A więc to było tak — zaczął staruszek. — Trzeba wam wiedzieć, że Ardenowie byli zawsze znamienitą szlachtą. Słyszałem nawet, jak ktoś mówił, że byli już tutaj, zanim jeszcze zjawił się ten, sam nie wiem, kto to był — Wilhelm Zdobywca*.

— Tysiąc, sześćdziesiąt sześć — mruknął do siebie Edred.

— Miewali lepszy lub gorszy los, jak to się dzieje z wszystkimi ludźmi, wielkimi i małymi. Aż kiedyś, gdy była wojna czy inne jakieś straszności za granicą, ukryto całe mnóstwo pieniędzy, klejnotów i sreber... A wszystko to razem to był ten skarb. Ale człowiek, który zakopał czy może inaczej ukrył skarb, został zabity. O, bo to były niebezpieczne czasy, mówię wam, kiedy każdy mógł postradać życie... i odtąd nikt nie wie, gdzie ukryty jest skarb.

— A czy w końcu skarb odnaleziono?

— Przecież cały czas wam tłumaczę! No więc żyła w tamtych dawnych czasach pewna mądra, stara kobieta, no i poszli do niej, i pytali, co zrobić, żeby znaleźć skarb, a ta kobieta od razu dostała jakiegoś napadu, dzisiaj powiedziałoby się, że był to napad historyczny. Ta kobieta, kiedy nie miała napadu, to nigdy nie powiedziała nic takiego, czego warto by słuchać. Ale wtedy właśnie, kiedy dostała tego napadu, to jak ją to wzięło, to ułożyła tę przepowiednię wierszem i nic więcej z niej nie można było wydobyć. W dodatku ona nigdy nie chciała powiedzieć, jakie to miało być zaklęcie. Dopiero kiedy umierała, a lady* Arden, naturalnie z tamtych czasów, bardzo się o nią troszczyła i starała się ją wyleczyć, to ona z wdzięczności, nim wydała ostatnie tchnienie, powiedziała lady Arden, jakie to jest zaklęcie.

Staruszek urwał, bo zabrakło mu tchu.

— No więc jakie jest to zaklęcie? — spytały dzieci, którym jeszcze bardziej zabrakło tchu niż staruszkowi.

— A, tego nikt nie wie!

— A czy można je jakoś odnaleźć?

— Tego też nikt nie wie. Ale słyszałem, że zostało gdzieś zapisane, w jakiejś książce, która jest w bibliotece w tamtym domku. Lecz to wszystko i tak nie zdałoby się na nic, bo nigdy jeszcze nie było takiego lorda Ardena, co by odziedziczył swój tytuł, mając dziesięć lat. Każdy z nich miał grubo więcej.

Edredowi nagle przyszły do głowy jakieś bardzo dziwne myśli, o wiele dziwniejsze, niż ktokolwiek z was mógłby sobie wyobrazić. A ręce miał na przemian to suche i gorące, to znów wilgotne i zimne.

— Przypuszczam — odezwał się — że na to trzeba być lordem Ardenem. Że nic by nie wyszło, gdyby się było takim zwyczajnym Johnem, Jamesem czy Edredem Ardenem. Bo ja też nazywam się Arden i bardzo chętnie bym spróbował.

Staruszek pochylił się nad nim, chwycił go za ramiona, uniósł do góry i postawił między swymi kolanami.

— Muszę ci się dobrze przyjrzeć, synku — powiedział, po czym przyjrzał się chłopcu dokładnie. — Ooo! — ciągnął dalej. — Jesteś prawdziwy Arden, z całą pewnością. Że też wcześniej tego nie zauważyłem! Przecież twój długi nos i twój wystający, ostry podbródek powinny były od razu rzucić mi się w oczy. No tak, dawniej natychmiast bym to zauważył. Ale moje oczy już nie są te same co kiedyś. Gdybyś ty był lordem Ardenem... Jak się nazywa twój ojciec? To znaczy jak ma na imię?

* Wilhelm Zdobywca (ok. 1027–1087) — książę francuskiej Normandii, który w wyprawie na Anglię pobił w r. 1066 pod Hastings wojska angielskie i koronował się na króla Anglii.

* Lady — angielski tytuł szlachecki kobiet, tytuł arystokratek, dam dworu, żon lordów itp., także forma grzecznościowa: pani.

— Edred, tak samo jak ja. Ale mój ojciec nie żyje — odrzekł z powagą Edred. — A twój dziadek jak miał na imię? Czy czasem nie George? A mówiąc dokładnie: George William?

— Tak, rzeczywiście — odrzekł Edred. — Ale skąd pan wie?

Staruszek puścił ramiona Edreda i wstał. Po czym dotknął czoła chłopca i oświadczył uroczyście:

— Pracowałem tu, na tej ziemi, jako dorosły mężczyzna i jeszcze jako chłopiec i dumny jestem, że dożyłem chwili, kiedy zobaczyłem nowego lorda Ardena wstępującego na miejsce tego, który odszedł. Tylko pospiesz się, chłopcze, nie marudź — dodał ostrym tonem — bo na pewno jesteś lordem Ardenem.

— Ja? To niemożliwe... — wykrztusił Edred.

— Ciocia kiedyś mówiła — odezwała się Elfryda — że lord Arden był naszym krewnym... jakby stryjecznym dziadkiem czy coś takiego...

— Tak jest, panienko — przytaknął staruszek. — Lord Arden — na imię mu było James — był stryjecznym bratem pana George'a, to znaczy waszego dziadka. Pan George miał syna, Edreda, to znaczy waszego ojca. A że stary lord nieboszczyk nie miał żadnego syna — zresztą nie miał także i córek — więc jego tytuł przechodzi na waszą gałąź rodziny. Słyszałem, jak przez ostatnich parę tygodni Snigsworthy, aplikant adwokata z Lewis, mówił o tym z pięćdziesiąt razy. Więc ty jesteś na pewno lordem Ardenem, mówię ci!

— Jeżeli jestem — zawołał Edred — to wypowiem zaklęcie i odnajdę skarb!

— Musisz się z tym pospieszyć — zauważyła Elfryda — bo już pojutrze będziesz miał więcej niż dziesięć lat.

— No to się pospieszę — odparł Edred.

— A kiedy już będziesz lordem Ardenem — powiedział uroczyście staruszek — to znaczy, kiedy już dorośniesz jako lord, co daj ci Panie Boże, to powinieneś zawsze pamiętać o ubogich i potrzebujących. Tak, paniczku, tak trzeba.

— Jeżeli tylko odnajdę skarb — odrzekł Edred — to będę pamiętał.

— Powinieneś pamiętać, czy znajdziesz skarb, czy nie — powiedział staruszek. — No, ale teraz już muszę zbierać się do domu. A wy pewnie chcielibyście trochę się tu pobawić, co. W takim razie odniesiecie mi klucze, kiedy będziecie wracali. Spodziewam się, że nie narobicie żadnych szkód w swojej własnej majątności, która w dodatku należała do waszego rodu od niepamiętnych czasów.

— Może pan na nas polegać — odparł dumnie Edred.

— Do zobaczenia i dziękuję panu.

— Do zobaczenia, mylordzie* — rzekł staruszek i oddalił się.

— No wiesz! — zawołał Edred, trzymając w ręku olbrzymi pęk kluczy. — Jeżeli ja rzeczywiście jestem lordem Ardenem...

— Jesteś! Jesteś! — powiedziała Elfryda. — Jestem tego najzupełniej pewna. I przypuszczam, że ja jestem lady Arden. To wspaniałe! W każdym razie teraz już możemy kazać tym dzieciom letników, żeby siedziały cicho... Co się stało?

Edred ze zmarszczonymi brwiami i bardzo zamyślony skubał zupełnie odruchowo aksamitny mech porastający wielki kamień, na którym usiadł.

— Czy myślisz, że to byłoby włamanie — spytał cedząc słowa powoli — gdyby się weszło do swojego własnego domu bez zezwolenia?

— Na pewno nie, jeżeli to byłby własny dom — oświadczyła Elfryda. — Oczywiście, że nie.

— Ale przypuśćmy, że to nie jest mój dom? Mogliby za to wsadzić nas do więzienia.

— Powiedziałbyś policjantom, że byłeś pewien, że to twój dom. Słuchaj, Edred, chodźmy tam!

* Mylord (ang.) — jaśnie pan, tytuł angielskiej szlachty rodowej.

— To nie jest wulgarna ciekawość, jak mówi ciocia. Ja chcę odnaleźć zaklęcie — tłumaczył się chłopiec.

— Mówisz, jakbym nie wiedziała o tym — rzekła wzgardliwie dziewczynka. — Tylko gdzie jest właściwie ten dom?

Pytanie było uzasadnione, gdyż jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnego domu, tylko olbrzymie, szare mury zamkowe, porośnięte trawą i różnego rodzaju kwiatami, rysujące się na tle bladobłękitnego czerwcowego nieba. Tu i ówdzie widniały szare drewniane drzwi wprawione w szary kamień.

— Musimy dostać się tam przez któreś z tych drzwi — orzekł Edred. — Wypróbujemy po kolei wszystkie klucze i wszystkie drzwi, aż wreszcie trafimy na właściwe.

Zaczęli więc próbować kolejno wszystkich kluczy u wszystkich drzwi. Jedne drzwi prowadziły na jakieś poddasze, gdzie urządzony był skład jabłek. Inne wiodły do piwnicy pełnej koszy i worków, gdzie stały najrozmaitsze miotły, łopaty i grabie, oparte o zawilgłe ściany. Trzecie drzwi ukazały wnętrze baszty, z której, jak się wydawało, zrobiono gołębnik. Dopiero ostatnie drzwi, jakie otworzyli, prowadziły do długiego ogródka, leżącego pomiędzy dwoma wysokimi ścianami. Rosły tam bratki i niezapominajki, ale także sporo chwastów. A na samym końcu tego ogródka stał wąski dom z czerwonym dachem, również wciśnięty między dwa wysokie szare mury zamkowe.

We wszystkich oknach domu żaluzje były opuszczone. Z ogródka wiało chłodem, pachniało wilgotną ziemią i uschłymi liśćmi. Dokoła panowała całkowita cisza.

— Och, Edred, czy myślisz, że to w porządku? — spytała Elfryda i aż przebiegł ją dreszcz.

— Owszem, w porządku — odparł Edred. — A ty wcale nie jesteś taka grzeczna, choćbyś sobie nie wiem co wyobrażała, tylko po prostu się boisz.

— A właśnie że się nie boję! Chodźmy! — odpowiedziała z całą swobodą Elfryda.

Ale podchodzili do domu bardzo wolnym krokiem, wstrzymując oddech i skradając się na palcach. A okna domu, coraz bliższe, wyglądały za tymi opuszczonymi żaluzjami jak oczy niewidomych.

Drzwi frontowe były dokładnie zamknięte i nie pasował do nich żaden klucz z olbrzymiego pęku.

— Etam, wszystko mi jedno! — zawołał Edred. — Jeżeli jestem lordem Ardenem, to mam prawo wejść do środka, a jeżeli nie jestem, to i tak wszystko mi jedno, co będzie! Jazda!

Elfryda nieomal pisnęła, trochę ze strachu, a trochę z podziwu dla odwagi brata, gdy Edred zaczął wspinać się po drzewku dzikiego bzu rosnącym pod samym oknem. Początkowo usiłował okno otworzyć, ale gdy się przekonał, że jest zamknięte na głucho, zamachnął się łokciem i wybił szybę.

— Oto jak dziedzic zamku Arden — wykrzyknął trochę drżącym głosem — powraca do swoich włości!

Sięgnął ręką przez wybity otwór, otworzył okno i znikł we wnętrzu domu. Elfryda zaś stała na dole, raz po raz załamując ręce, i usiłowała pozbyć się natrętnie ogarniającej ją myśli o nagłym zjawieniu się w ogrodowej furtce olbrzymiej postaci policjanta, zapytującego głębokim, tak podziwianym u naszych wiejskich policjantów głosem: „A gdzie jest braciszek panienki?”

Na szczęście nie zjawił się żaden policjant, natomiast uniosła się w górę jedna z żaluzji, otworzyły się szklone drzwi i ukazał się w nich Edred, kiwający na siostrę z miną spiskowca.

Usłuchanie znaków, jakie jej dawał, wymagało od Elfrydy wielkiego wysiłku, ale zdobyła się na to. Wtedy Edred zamknął z powrotem drzwi, opuścił żaluzję i...

— Ach, dajmy temu wszystkiemu spokój — szepnęła Elfryda.

— Bzdura! — zachnął się Edred. — Wcale nie ma się czego bać. To wszystko wygląda prawie tak, jak u nas w domu.

I rzeczywiście tak było. Przekonali się o tym, obchodząc cały dom od góry do dołu. Niektóre pokoje na piętrze sprawiały wrażenie pustki, ale meble były w nich takie same jak u ciotki Edyty i zupełnie podobne obrazy. Tylko biblioteka wyglądała inaczej. Był to ogromny pokój bez jednego, choćby najmniejszego obrazka na ścianie. I wszędzie widziało się tylko książki, książki i książki, oprawione w żółtą skórę. Książki od podłogi aż do sufitu, półki pełne książek między oknami, a także nad kominkiem — setki i tysiące książek. Nawet Edred upadł na duchu.

— Nic z tego! — jęknął. — Musielibyśmy siedzieć tu całe lata, żeby je wszystkie przejrzeć.

— Możemy przejrzeć przynajmniej niektóre — zaproponowała Elfryda, mniej zuchwała od brata, ale zawsze bardziej od niego wytrwała.

Przykucnęła na wytartym dywanie i zaczęła odczytywać tytuły wytłoczone na grzbietach najbliższych książek.

— Burton „Atomia melonu”^{*} — sylabizowała. — Locke „Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego”...

W ten sposób odczytała sporo nudnych i nic nie mówiących tytułów, ale żadna z tych książek nie wyglądała na to, by kryła w sobie zakłęcie potrzebne dla odnalezienia skarbu. Burgessa „Traktat o metalach szlachetnych” przyciągnął na chwilę jej uwagę, ale zaraz spostrzegła, że na jego gęsto zadrukowanych i pokrytych brunatnymi plamami stronach nie ma miejsca na nic tak interesującego jak zakłęcie.

Czas upływał. Promienie słońca padające przez szpary w żaluzjach całkowicie zmieniły swe miejsce na dywanie, a Elfryda dalej wytrwale wertowała książki. Niecierpliwość Edreda rosła.

„To na nic” — powtarzał ciągle. Albo: „Dajmy już temu spokój! Ten stary po prostu sobie z nas zakpił. Teraz myślę już o tym wszystkim zupełnie inaczej!” I wreszcie: „E, chodźmy już do domu!”

Ale Elfryda dalej grzebała w książkach, choć rozboleła ją głowa, a plecy też ją bolały. Chciałabym móc powiedzieć, że jej wytrwałość została nagrodzona. Ale tak nie było, a trzeba trzymać się faktów. Otóż przypadek zdarzył, że Edred, który bezmyślnie przeciągał palcem wzdłuż brzegów półek dla samej przyjemności przyglądania się, jak miękki, mysiego koloru kurz przywiera do palca, gdy się nim dojeżdża do końca półki, nagle z okrzykiem: — A może by do tej zajrzeć? — wyciągnął olbrzymią białą księgę, na której oprawie wytłoczona była złotem tarcza podzielona na pola z różnymi małymi znaczkami i złotym zwierzątkiem, przypominającym świnkę, na szczycie. Na grzbiecie owej księgi znajdował się napis „Dzieje rodu Ardenów z Arden”.

Już w następnej chwili księga leżała na ziemi, a dzieci niespokojnymi ruchami rąk wertowały jej karty. Niestety, i w tej księdze równie daremne było poszukiwanie tekstów i zakłęcie co w nudnym dziele starego Burgessa.

I dopiero kiedy Edred zamknął księgę z hałasem, stwierdzając, że ma już tego wszystkiego powyżej uszu, gdzieś spomiędzy starożytnych kart wyfrunął jak gołąbek skrawek papieru i wpadł do wystygłego od dawna kominka. Było to właśnie zakłęcie. Co do tego nie mogli mieć żadnej wątpliwości.

Napisane było wyblakłym atramentem na pożółkłym arkusiku papieru listowego, złożonym we dwoje, a tak często rozwijanym i składanym ponownie, że kant papieru zupełnie się przetarł i dwie części arkusika ledwo trzymały się razem. Charakter pisma był staroświecki, delikatny i wyraźnie kobiecy. U samej góry widniał nagłówek:

^{*} Burton — Robert Burton (1577–1640), pisarz i uczonec angielski. Tytuł jego książki brzmi naprawdę: „Anatomia melancholii”.

^{*} Locke — John Locke (1623–1704), filozof angielski; uprawiał działalność pisarską, polityczną i pedagogiczną.

A dalej znajdował się już sam tekst zaklęcia:

*Ustysz mnie, o godło rodu
Ardenów panujących dumnie.
To ja, potomek ich, przemawiam.
Zbliź się, godło, zbliź się ku mnie,
Zrób mnie dzielnym, mądrym przy tym,
Wskaż, gdzie skarb ów jest ukryty.*

U dołu umieszczono dopisek:

Zakłęcie ma być wypowiedziane przez któregoś z lordów Ardenów o zachodzie słońca, a między ukończeniem przezeń dziewiątego i dziesiątego roku życia. Ale to wszystko razem jest szaleństwem i nie należy temu wierzyć.

— No więc to na pewno to — powiedział Edred. — Chodź, wyjdźmy już stąd!

Zawrócili do drzwi i w tej samej chwili w kącie biblioteki coś się poruszyło — coś małego, ale co, tego już nie zdążyli dostrzec.

Żadne z dzieci nie było w stanie odetchnąć swobodnie, dopóki nie wydostały się z domu, a następnie z ogródka i wreszcie z zamku i nie znalazły się na rozległych, porośniętych macierzanką wzgórzach. Znowu ujrzały nad sobą błękit nieba, pod którym śpiewał skowronek, i poczuły słodki, świeży zapach łąbinu i wodorostów.

— Ach — odezwała się w końcu Elfryda — tak strasznie się cieszę, że nie musisz wypowiadać zaklęcia o północy. Znadto byś się bał.

— Nic podobnego — odparł Edred, bardzo blady, oddalając się szybkim krokiem od zamku. — Nie zrobiłoby mi to żadnej różnicy, gdybym miał zakłęcie wymówić o północy. — I sam niemal wierzył w to, co mówił. Kiedy dzieci wychodziły z biblioteki i akurat w tym momencie tamto coś poruszyło się w rogu, Edred upuścił arkusik z zapisanym zaklęciem. Ale Elfryda podniosła go i mocno trzymała w ręku.

— Myślę, że to był po prostu sznur lub coś podobnego — bąknął Edred, a serce biło mu dziesięć razy na tuzin, jak powiadają w hrabstwie Kent i niektórych innych okolicach Anglii.

— O, tak! — potwierdziła Elfryda, choć usta wciąż lekko jej drżały. — Jestem pewna, że to był po prostu sznur lub coś podobnego.

Kiedy osiągnęli szczyt Wzgórza Arden, do zachodu słońca było jeszcze daleko. Wobec tego mieli dosyć czasu, żeby nieco ochłonać, posłuchać śpiewu skowronków, nasycić się zapachem łąbinu i wreszcie zacząć się sobie samym dziwić, jak mogli okazać się takimi osłami, żeby przestraszyć się „szczura lub czegoś podobnego”. Poza tym znaleźli jeszcze resztki kanapek i czekoladowych okruchów, którymi wzgardzili podczas obiadu, ale które teraz nabrały nadzwyczajnego wprost smaku. Wszystko to pomogło im spędzić czas aż do chwili, gdy słońce zdawało się już niemal dotykać ciemnego łańcucha wzgórz, które jak gdyby skupiły się w sobie, by wchłonąć pałającą, szkarłatną kulę, w jaką” wieczorne mgły przekształciły słońce.

Żadne z dzieci nie odzywało się już od dobrych kilku minut. Czwooro oczu wpatrzonych było w słońce i gdy brzeg kuli słonecznej wyglądał, jak gdyby spłaszczył się na ciemnym łańcuchu wzgórz, Elfryda szepnęła nagle: — Teraz! — i podała bratu arkusik papieru.

Przeczytali tekst zaklęcia już tyle razy, siedząc na wzgórzu w zapadającym zmierzchu, że oboje nauczyli się go na pamięć, Edred nie potrzebował więc czytać. A był to bardzo pomyślny zbieg okoliczności, gdyż w mglistych, różowych blaskach zachodu wyblakły atrament był prawie niewidoczny na pożółkłym papierze.

Edred wstał.

— Teraz! — powtórzyła Elfryda. — Teraz je wypowiedz!

I w tej samej chwili Edred głośno, wyraźnie i trochę jakby śpiewnie wyrecytował zaklęcie w ten sam sposób, w jaki zwykł deklamować w szkole wzruszające wiersze nieboszczyka lorda Macaulaya* czy też przejmującą opowieść o chłopcu na płonącym pokładzie:

*Usłysz mnie, o godło rodu
Ardenów panujących dumnie.
To ja, potomek ich, przemawiam.
Zbliź się, godło, zbliź się ku mnie,
Zrób mnie dzielnym, mądrym przy tym,
Wskaż, gdzie skarb ów jest ukryty.*

Mówił wolno i starannie, a siostra bacznie się przysłuchiwała, gotowa w każdej chwili poprawić go, gdyby pomylił się w jakimś słowie. Ale Edred się nie pomylił.

— ...gdzie skarb ów jest ukryty — zakończył, a ogromna cisza wzgórz, niby powiew, wypełniła przestrzeń, którą przez chwilę wypełniał jego głos.

Ale nic więcej się nie zdarzyło. Różowy odbłask zachodzącego słońca rozlał się nad wzgórzami, oświetlając wyraźnie wiotkie łodygi traw, skowronki przestały śpiewać, natomiast zapach łubinu i wodorostów stał się jeszcze mocniejszy niż przedtem. Ale nic się nie działo aż do chwili, gdy Edred zawołał:

— A to co?

Albowiem tuż koło jego stóp coś się poruszyło, jednak wcale nie szybko i gwałtownie, jak coś, co chce uciec, lecz bardzo łagodnie, bardzo spokojnie, niemniej bardzo wyraźnie. I to coś połyskiwało złociście w różowym, rozproszonym świetle zachodzącego słońca.

— Ach! — krzyknęła Elfryda pochylając się. — Przecież to jest...

* Macaulay — Thomas Babington Macaulay (1800–1859), angielski historyk i polityk, autor dzieł historycznych, a także zbioru wierszy pt. „Pieśni starorzyskie”.

ROZDZIAŁ II

BIAŁY KRET

I rzeczywiście... Rzeczywiście był to żywy obraz owego małego, podobnego do świnki zwierzątka, jakie widniało wytłoczone złotem ponad szachownicą herbowej tarczy na okładce białej księgi, w której znaleźli zakłęcie. I podobnie jak na poźółkłej oprawie, tak i tutaj, na porośłym trawą i macierzanką szczycie wzgórza, stworzonko połyskiwało złotem. Dzieci stały w zupełnym milczeniu i nieruchomo. Bały się uczynić najłżejszy nawet gest, aby nie spłoszyć zwierzątka, które, choć całe złote, było jednak żywe i poruszało się u ich stóp, zwracając ruchliwy swój pyszczek to w lewo, to w prawo.

— To jest — powtórzyła Elfryda cichutko, by nie przestraszyć stworzonka — ono.

— Co? Co za ono? — spytał Edred, choć doskonale wiedział.

— Z okładki książki, z której wypadło zakłęcie.

— Na okładce, nad tarczą herbową, był nasz klejnot herbowy, jak na tej starej tabakierce, co należała kiedyś do prapradziadka.

— Więc to jest po prostu nasz klejnot herbowy, który ożył.

— Nie bądź za mądra — zaczął się spierać Edred. — W zakłęciu powiedziane jest godło, a godło to chyba nie jest to samo co klejnot herbowy. Godło to są róże czy osty, albo liście porów — coś, co można nosić na czapce. A t e g o nie miałbym ochoty nosić na czapce.

A przez cały czas ich rozmowy złociste stworzenie u ich stóp nieustannie, choć bardzo ostrożnie, poruszało się.

— Ech! — zachnął się nagle Edred. — Przecież to tylko najzwyklejszy kret!

— Nic podobnego! To nasz klejnot herbowy, który jest na łyżeczkach i innych rzeczach. To nasz starożytny, rodowy kret. Jakże może być zwyczajnym kretem? Przecież cały jest złoty.

Ale zanim jeszcze Elfryda umilkła, stworzonko zatraciło swoją złocistość. Albowiem ostatni rąbek słońca znikł poza łańcuchem wzgórz i teraz, w szarym zmroku, jaki zapadł, kret był cały biały i każdy mógł to z łatwością zobaczyć.

— Ach! — zdziwiła się Elfryda, lecz dalej upierała się przy swoim. — Więc sam widzisz — ciągnęła — że to nie może być taki sobie po prostu kret z pola czy z ogrodu. Zwykle krety są czarne.

— W każdym razie — rzekł Edred — jest bardzo oswojony.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie.

— No więc... — zaczął Edred, ale w tej samej chwili, ku zaskoczeniu dzieci, odezwał się także Kret:

— No więc?

Ponownie zapadło milczenie, po czym Elfryda szepnęła:

— Czyś t y coś mówił?

— Nie — odparł szeptem Edred — to przecież t y !

— Przestańcie już szeptać — odezwał się Kret. — To nie jest w dobrym tonie.

Dzieci zgodnym ruchem opadły na kolana z obu stron Białego Kreta.

— Zdumiewające! — zawołał Edred.

— No, no — obruszył się Kret, kierując w jego stronę swój spiczasty pyszczek takim wzgardliwym ruchem, jakim ludzkie istoty wytykają kogoś palcem. — Tylko nie udawaj, że nie wiesz, że Białe Krety tak samo mają język jak ty.

— Mają, ale chyba nie do mówienia? — odezwała się nieśmiało Elfryda.

— Co ty tam wiesz — powiedział Biały Kret i nieco się nastroszył. — Czy nikt wam nigdy nie opowiadał bajek? Przecież wszystkie zwierzęta mają języki i kiedy jesteśmy tam, możemy mówić.

— Kiedy jesteście gdzie? — spytał Edred trochę niezadowolony, że każą mu wierzyć w bajki, których nigdy właściwie nie lubił.

— Gdzie? W bajkach oczywiście — odpowiedział Kret. — A gdzież, na miłość boską, wyobrażasz sobie, że jesteś?

— Jesteśmy tu — zawołał Edred, uderzając obcasem w ziemię, żeby mocniej ją poczuć i nabrać większej pewności siebie. — Na Wzgórzu Arden.

— A czy ono nie znajduje się w bajce? — zapytał tryumfalnie Biały Kret. — Gadasz tylko, aby gadać. Przywołałeś mnie i zjawilem się. A teraz powiedz, czego chcesz.

— Czy jesteś — spytała Elfryda, drżąc cała z lęku i zdumienia, zachwytu, nadziei i z powodu kilku innych jeszcze doznań, które, razem wzięte, zwykło się nazywać „tysiącem sprzecznych uczuć” — czy jesteś godłem rodu Ardenów?

— Pewnie, że jestem — odparł Kret. — Godłem tego, co z tego rodu zostało. Ale nigdy nie spodziewałem się, że będę przywołany przez chłopca i dziewczynę z rodu Ardenów, którzy sami nie wiedzą, co tkwi w ich głupich mózdkach. Powiecie mi wreszcie, czego właściwie chcecie?

— Powiedzieliśmy ci w zakłęciu — wyjaśniła Elfryda.

— Ach, tak! Tylko tyle? — zadrwił z goryczą Kret. — I więcej już nic? Mam uczynić go dzielnym i mądrym i wskazać mu skarb? Smarkacz! — zawołał nagle z taką wściekłością, jak gdyby tym słowem chciał bryznąć w twarz nieszczęsnego Edreda.

— Nic podobnego! — wykrzyknął Edred, czerwony jak indyk. — W każdym razie wszedłem do domu i odnalazłem zakłęcie.

— Tak? A kto zajął się poszukiwaniami? Ona! Wiem, mój drogi, bo przecież, byłem przy tym. Wiem wszystko. I gdybym jej miał wskazać skarb, to może byłby w tym jeszcze jakiś sens.

— Myślę, że jesteś bardzo niesprawiedliwy — powiedziała Elfryda z taką powagą, jakby zwracała się do dorosłej ludzkiej istoty. — Przecież gdyby on już był mężny i mądry, to nie potrzebowałibyśmy prosić ciebie, żebyś; go takim uczynił.

— Ty nie masz tu nic do powiedzenia — burknął nadąsany Kret.

— Owszem — zawołał Edred. — Tyle samo, co ja! Bo postanowiłem dzielić się z nią pół na pół wszystkim, co zdobędę. I gdybyś mógł uczynić mnie mądrym, to nauczyłbym ją wszystkiego, czego nauczyłbym się od ciebie. Tylko że ja wcale nie wierzę, że to potrafisz, ot co!

— A czy wierzysz, że potrafię mówić? — spytał Kret, na co Edred równie stanowczo, co nieoczekiwanie oświadczył:

— Nie, nie wierzę. Ty się nam po prostu przyśniłeś, i to wszystko.

— A co ty myślisz? — zwrócił się Kret do Elfrydy.

Dziewczynka zawahała się.

— Myślę — powiedziała wreszcie — że już robi się bardzo ciemno i ciocia Edyta na pewno będzie się o nas niepokoiła. Więc może spotkalibyśmy się któregoś innego dnia? Bo dziś nie starczy czasu, żeby uczynić nas dzielnymi i mądrymi.

— Na to z pewnością za mało jest czasu — przyznał Kret ze znaczącą miną.

— Ale mógłbyś nam jeszcze dzisiaj powiedzieć, gdzie znajduje się skarb — wtrącił Edred.

— To stanie się na końcu, ty chciwcze! — zachnął się Kret. — Muszę najpierw uczynić was dzielnymi i mądrymi, a tymczasem widzę, że tylko przeszkadzacie mi w pracy. Dobranoc.

Z tymi słowy uczynił ruch, jakby zamierzał odejść.

— Ach, nie odchodź — zawołała Elfryda — bo nigdy cię już nie odnajdziemy! Nie odchodź! Ach, to okropne!

Kret namyślał się przez chwilę.

— Niepotrzebnie podnosisz taki krzyk. Bo ja i tak muszę wam pozwolić się odnaleźć — powiedział z goryczą. — Kiedy będziecie mnie potrzebowali, przyjdźcie tu, na wzgórze, i powiedzcie przywołujący mnie wierszyk, a ja się wtedy zjawię.

I znowu zbierał się do odejścia.

— Ale jaki wierszyk? — spytał Edred.

— O, jakikolwiek! To już wasza sprawa.

Edred napomknął coś o „Pieśniach starorzymskich”.

— Tylko pamiętajcie — przestrzegł ich Biały Kret — że wierszyk sami musicie ułożyć. Inaczej nic z tego nie będzie.

— Ach! — zawołały dzieci, całkiem upadając na duchu.

— No i naturalnie, musicie mnie w tym wierszyku bardzo uprzejmie poprosić, żebym się zjawił. A teraz wracajcie do domu.

— A dokąd ty idziesz? — spytała Elfryda.

— Także do domu, a dokąd by? — odparł Kret i tym razem znikł im na dobre z oczu.

Dzieci w całkowitym milczeniu powędrowały w kierunku niedalekich świateł przystanku kolejowego. I dopiero kiedy już były prawie na samym peronie, Edred szepnęła przejęty lękiem:

— O rety!

A Elfryda odpowiedziała:

— Tak, prawda?

Po czym, znów w całkowitym milczeniu, weszli na peron.

Jarzące się tam latarnie, światła w oknach, głosy kolejarzy i pasażerów, stukot telegrafu — wszystko to razem wywarło na nich takie wrażenie, jak dotknięcie mokrą gąbką twarzy kogoś śpiącego przez osobę, która już wstała. Dzieci jak gdyby przebudziły się ze snu i gdy znalazły się w pociągu, który na szczęście nadszedł bardzo niedługo, zaczęły z ożywieniem rozmawiać. Rozprawały tak bez przerwy aż do chwili, gdy pociąg zajechał na dobrze im znaną stację letniska nad morzem, i potem także przez całą resztę drogi, a kiedy dotarły do domu o zielonych balkonach i sięgały po wygładzoną przez niezliczone dłonie kłamkę u drzwi wejściowych, postanowiły — jak to dzieci czynią nieomal zawsze, gdy przydarzają się im czarodziejskie przygody — że lepiej będzie nie wspominać nikomu ani słowem o tym, co się stało. Zawsze zwracam na to uwagę, jak niezmiernie trudną rzeczą jest opowiedzenie o swych czarodziejskich przygodach ludziom, którzy nie tylko wam nie uwierzą, ale nawet po prostu nie mogą uwierzyć. Jest to zresztą jeden z wielkich kłopotów związanych z prawdziwie cudownymi wydarzeniami.

Cioci Edyty jeszcze nie było w domu, lecz wróciła, kiedy dzieci myły ręce i twarze przed kolacją. Przywiozła z sobą prezenty na urodziny Edreda — ładniejsze i więcej niż te, jakie dostawał w ciągu ostatnich trzech lat.

Przywiozła mu mianowicie duże pudło cudownej mieszanki czekoladowej, skrzynkę z narzędziami, bardzo piękny kijek krykietowy wraz z piłką, komplet klocków, wypukłe z wierzchu pudełko farb, w którym wszystkie miseczki wypełnione były po brzegi, a nie do połowy, jak to zwykle bywa obecnie z pudełkami otrzymywanymi w prezencie. W pudełku były także pędzelki: dwa z włosia wielbłądziego i jeden z sobolowego, tak ostro zakończony, jak tylko to jest możliwe.

— Kochana jesteś, ciociu! — zawołał Edred, obejmując ją mocno. Był bardzo szczęśliwy, a przez to serdeczniej niż zwykle dla wszystkich usposobiony. Dlatego też, powtórzywszy: „Jesteś naprawdę kochana!”, dodał: — I Elfryda może malować moimi farbami, kiedy mnie

nie będzie w domu, i używać obydwóch wielbłądzich pędzelków. Z wyjątkiem sobolowego, oczywiście.

— Ach, Edred, jaki ty jesteś miły! — zawołała bardzo wzruszona Elfryda.

— Mam tu coś także i dla Elfrydy — rzekła ciocia Edyta, szukając wśród szeleszczących zwałów brązowego papieru, bibułki, sznurków, kartonów i wiórków, pozostałych po wypakowaniu prezentów Edreda. — O proszę!

Była to książka — dość gruba książka w bardzo kolorowej okładce, a jej tytuł brzmiał: „Historia Amuletu”^{*}. Teraz z kolei Elfryda zaczęła ścisnąć ciocię i mówić jej, jak bardzo jest kochana.

— A teraz siadajmy do kolacji! — zawołała kochana ciocia. — Mamy na kolację kurczęta na zimno i ciasto z konfiturami agrestowymi i z kremem.

Dziociom, przywykłym raczej do mało interesującego mleka z chlebem na kolację, zapowiedź ta wydała się cudownym wprost ukoronowaniem dnia. I to jakiego dnia!

W czasie zajadania pięknie złocistych kurcząt ze smakowitym farszem i doskonałym sosem oraz ciasta agrestowego z kremem ciocia opowiedziała im, co wydarzyło się jej tego dnia.

— Więc to rzeczywiście okazał się statek — powiedziała — przywiózł pocztę i różne inne rzeczy. A najlepsze z tego wszystkiego jest to, że nie będziemy potrzebowali przyjmować letników.

— Hurra! — zabrzmiała chóralna odpowiedź.

— Będziemy mieli więcej pieniędzy i zaczniemy żyć o wiele wygodniej niż dotąd. Wy oboje będziecie mogli pójść do naprawdę dobrej szkoły. A teraz zgadnijcie, gdzie zamieszkamy?

— Czy — szepnęła Elfryda — czy w zamku?

— Co? Jakżeś ty to zgadła?

Elfryda zerknęła na Edreda. Ten zaś pośpieszenie połknął ogromny kęs kurczęcia i powiedział:

— Ciociu, mam nadzieję, że nie pogniewasz się na nas. Myśmy dzisiaj jeździli do Arden. Ale sama mówiłaś, że w tym roku już będziemy mogli.

Po czym wyszła na jaw cała przygoda — tak, cała z wyjątkiem wypowiedzenia zaklęcia.

— A czy coś się wam tam przydarzyło? — spytała ciocia Edyta, a dzieci z zadowoleniem stwierdziły, że cała rzecz tylko ją zaciekała i wcale nie była rozgniewana tym, co zrobili.

— No... — odparła z namysłem Elfryda — widzieliśmy tam Kreta...

Ciocia Edyta roześmiała się, a Edred wtrącił z pośpiechem:

— To właściwie wszystko, co nam się przydarzyło, ciociu. A ja teraz jestem lordem Ardenem, prawda?

— Tak — odpowiedziała z powagą ciocia. — Jesteś lordem Ardenem.

— Cudownie! — wykrzyknął Edred z tak roześmianą twarzą, że ciocia zaniechała wygłoszenia małego kazania, jakie przygotowała sobie jeszcze w pociągu na temat obowiązków arystokracji angielskiej.

„Powie mu to kiedy indziej” — pomyślała i z kolei zwróciła się do Elfrydy.

— Nie, kochanie — odpowiedziała na jej żarliwe pytanie: „To ja w takim razie jestem lady Arden, prawda?”

— Jeżeli on jest lordem — obstawała przy swoim Elfryda — to ja powinnam być lady. Bo inaczej to byłoby niesprawiedliwe.

— Mniejsza z tym, moja droga — rzekł dobrotliwie Edred. — Będę cię tytułował lady Arden, kiedy tylko zechcesz.

^{*} „Historia Amuletu” — ostatni tom z trytomowego cyklu Edith Nesbit. Dwie pierwsze książki noszą tytuły: „Pięcioro dzieci i »coś«,„ i „Feniks i dywan”.

— A co byście powiedzieli — spytała ciocia — gdybyśmy zaraz przenieśli się do zamku i tam zamieszkali?

— Dziś wieczorem?

— No nie — zaśmiała się ciocia — ale w przyszłym tygodniu. Musicie pamiętać, że chwilowo będę bardzo zajęta, bo trzeba komuś odnająć ten dom. Ale stara pani Honeysett — ta, która prowadziła gospodarstwo waszemu dziadkowi — pisała już do adwokata z zapytaniem, czy chcielibyśmy ją zatrzymać. Pamiętam ją z czasów, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. To kochana staruszka i zna całe mnóstwo dawnych piosenek. Co byście powiedzieli, gdybyście zamieszkali tam pod jej opieką na czas, kiedy ja tutaj będę likwidowała dom i wyprawiała letników? Ach, znowu ktoś dzwoni! Mam nadzieję, że w zamku nie będzie już żadnego dzwonięcia, prawda?

Na tym więc stanęło. Ciocia pozostała w domu nad urwiskiem, by dopilnować ustawienia dodatkowo zakupionych mebli — gdyż dom miał być odnajęty z umeblowaniem — i zająć się spakowaniem tych niewielu pięknych starych przedmiotów, które były dziedzictwem po Ardenach, a dzieci udały się do zamku wozem bagażowym, zabierając z sobą garderobę w walizkach, a zabawki w dwóch dużych, czarnych pudłach. Ich serca przepełniało radosne oczekiwanie.

Pani Honeysett przyjęła ich z miłą, staroświecką uprzejmością i powitanie zakończyło się gorącymi uściskami.

— Witam cię w twoim rodzinnym domu, mylordzie — powiedziała, obejmując jednym ramieniem każde z dzieci — i panienkę witam też bardzo serdecznie, kochanie. Od razu widać, że obydwójce jesteście Ardenami. Zawsze tak było w rodzinie: chłopiec i dziewczynka — chłopiec i dziewczynka.

Pani Honeysett miała pocziwą, sympatyczną twarz i wielkie, bładoniebieskie oczy, które mrużyła w uśmiechu, a uśmiechała się prawie za każdym razem, kiedy spojrzała na któreś z dzieci.

Ach, cóż to była za przyjemność wypakowywać walizki i układać swoje rzeczy w szufladach wysokich cedrowych komódek fornirowanych błyszczącym mahoniem; odsuwać białe muślinowe firanki w oknach pełnych drobnych szybek w kształcie rombów, które były zawsze oknami Ardenów; spoglądać, jak tyłu Ardenów musiało to czynić, na ziemi, które, jak okiem sięgnąć, zawsze, od niepamiętnych lat, stanowiły własność jednej i tej samej rodziny. A że teraz już do niej nie należały, nie miało to większego znaczenia dla romantycznych dziesięcio- czy dwunastoletnich serduszek.

A później jakże przyjemnie było schodzić na dół po niskich, starannie wywoskowanych schodach (oglądając wiszące na ścianie portrety rodziny Ardenów) i w wyłożonej boazerią jadalni zastać stół zasłany białym obrusem, na dwie osoby nakryty do obiadu. Myślę, że było to bardzo ładnie ze strony Edreda, że w chwili gdy pani Honeysett, nałożywszy im na talerze okazałe porcje pieczeni wołowej, odeszła, by mogli sobie spokojnie jeść, zwrócił się do Elfrydy ze słowami:

— Czy mogę podać pani kartofle, lady Arden?

Elfryda, uszczęśliwiona, zachichotała radośnie.

Jadalnia umeblowana była meblami, jakie dobrze znali i lubili. Miała długie, niskie okno, wychodzące na długi, wąski ogródek. Boazerie, wypolerowane do połysku, miały odcień szarobrunatny.

— O — zawołała Elfryda — tu pod niektórymi płytkami na pewno są jakieś tajne skrytki!

I chociaż Edred odpowiedział na to: — Tere-fere-kuku! — to w głębi duszy również czuł, że dziewczynka ma rację.

Po obiedzie Elfryda spytała:

— Czy możemy teraz zwiedzić cały dom?

Na co pani Honeysett, wyjątkowo urocza niewiasta, odpowiedziała z ogromną wylewnością:

— Pewnie że tak! Przecież to wszystko jego, niech go Pan Bóg zachowa, najmilszego chłopca!

Wobec tego zabrali się do zwiedzania.

Dom okazał się znacznie większy, niż im się wydało tego pierwszego, cudownego dnia, kiedy to zabawiali się w odgrywanie włamywaczy. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się drzwi obite wyblakłym zielonym sukmem. Pani Honeysett wskazała na nie, mówiąc:

— Nie myślcie, że to już koniec: tam dalej jest drugi dom.

I rzeczywiście, po drugiej stronie zielonych drzwi znajdował się drugi dom.

Dom, który już zwiedzili, był uładzony, czyściutki, wypucowany — jak mówiła pani Honeysett — i każdy mebel błyszczał jak lustro czy jak gwiazda nadziei. Ale za zielonymi drzwiami kryły się same cienie, pełno tam było kurzu, szyby zasnuwały pajęczyny, a ponadto nad każdym oknem zwisały podarte, wyblakłe i opadające z prętów firanki, które przypominały stare chorągwie z wolna butwiejące w olbrzymich katedrach, kołyszące się lekko w bezwietrznym powietrzu, poruszane być może tchnieniem niewidocznych trąb Chwały, grzmiących melodią dawnej świetności i wspaniałości.

Na posadzkach leżały strzępy podartych dywanów, gruba warstwa kurzu pokrywała meble, podłogę na korytarzach i schody. Zasłony wokół olbrzymich łoży we wspaniałych niegdyś sypialniach zwisały żałośnie, przysypane pyłem i przeżarte rdzą, a w kołdrach widniały dziury wygryzione przez mole i myszy. W jednym z pokoi stała rzeźbiona dębowa kołyska, z której opadała kołderka z postrzępionego jedwabiu. A z wielkiego paleniska w kuchni, gdzie od dawna już nie płonął żaden ogień, ale wciąż jeszcze leżał szarobiały popiół pozostały po ostatnim ogniu, wiało przejmującym chłodem. I wszędzie czuć było wilgocia.

— Czy myślisz, że tu straszy? — spytała Elfryda.

— Bzdura! — odparł lakonicznie jej brat i ruszył dalej.

Przemierzali długie, wąskie korytarze ze starymi pofałdowanymi miedziorytami, oprawionymi w czarne ramy, z których zwieszały się pajęczyny niczym szara krepa. Przechodzili przez pokoje o nierównych, zszarzałych dębowych posadzkach, gdzie w kominkach leżały jeszcze na rusztach stare sadze i szczątki gniazd szpaczych, w których kiedyś, przed laty, wykluły się pisklęta.

Edred chusteczką do nosa — służącą zawsze jako ściereczka–do–wszystkiego — przetarł szybę w jednym z okien i dzieci wyjrzały na ciągnący się w oddali łańcuch wzgórz. Było rzeczą jasną, że ta część domu nie została zbudowana w obrębie zamku.

Kiedy już otworzyli wszystkie drzwi i obejrzelili wszystkie pokoje tchnące zetlałą wspaniałością dawnych dni, wyszli na dwór i obeszlili dom dokoła. I wówczas przekonali się, że to skrzydło odchodzi wprost od zamku. Miało kwadratowe okna obwiedzione rzeźbionymi węgarami* z kamienia, a wszystkie szyby były żółtawe jak pergamin i przesłonięte od środka welonem utworzonym przez Czas i pająki. Z zewnątrz porastał mury gęsty bluszcz, który niemal zasłaniał niektóre z okien.

— Ach! — wykrzyknęła Elfryda, rzucając się na wznak na trawę. — To zbyt cudowne, żeby było prawdziwe! Nie mogę po prostu uwierzyć!

— A w co ja nie mogę uwierzyć — powiedział Edred padając koło niej na darń — to w tego całego Kreta.

— Ale przecież oboje widzieliśmy go — odparła Elfryda. — Nie można nie wierzyć w coś, co się widziało.

* Węgary — kamienne lub drewniane belki stanowiące obramowanie otworów okiennych i drzwiowych.

— A ja mogę — rzekł z miną wyższości Edred. — Przypomnij sobie tylko te czerwone, muchomory w „Niegdyś”. A przypuścimy, że miętówki były zaczarowane? Po to, żeby nam się różne rzeczy przyśniły.

— Ale dobre były — powiedziała marząco Elfryda. — Och, jeszcze jak!

— No więc co teraz?

— A czy ułożyłeś już może jakiś wierszyk, żeby przywołać Kreta?

— A ty?

— Nie. Chociaż próbowałam.

— Ja też próbowałam. No i ułożyłem.

— Ach, Edred, jakiś ty zmyślny! Powiedz ten wierszyk!

— Czy myślisz, że jeżeli go powiem, to Kret przyjdzie?

— Pewnie, że przyjdzie.

— Wiesz, co ci powiem? — odezwał się po namyśle Edred. — Oczywiście, że chciałbym znaleźć skarb i tak dalej. Ale ja w to wszystko nie wierzę. To nie jest możliwe — tak mi się wydaje. No, bo czy jest możliwe?

— Jeszcze bardziej niemożliwe rzeczy zdarzały się w „Historii Amuletu” — odparła Elfryda.

— A — powiedział Edred — to co innego. „Historia Amuletu” to opowieść bajeczna.

— Ale Kret przecież powiedział, że i my jesteśmy w bajce. Wiesz co, Edred? Powiedz swój wierszyk.

Edred powoli i wyraźnie wyrecytował:

*Biały Krecie, wyjdź spod ziemi,
Wygrzeb się łapkami swymi.
Wyjdź spod ziemi, z twego domu,
Zechciej, proszę, nam dopomóc.*

Elfryda bacznie się rozejrzała. Dokoła rozciągała się niska darń, a dalej wznosiły się mury zamku, wyniosłe, szare i całe pokryte bluszczem. Górą, nad głowami dzieci, krążyły gołębie, siedziały też na łukach wieńczących okna i na dachu i muskały błyszczące piórka, mówiąc do siebie nawzajem: „Gugu–gugu, gugruh–gugruh”, choć trudno byłoby się domyślić, co to mogło znaczyć. Kreta jednak nie było — nawet najmniejszego śladu czy jakiegokolwiek znaku jego obecności.

— Edred! — powiedziała siostra.

— Co takiego?

— Czyś ty ten wierszyk naprawdę sam ułożył? Nie gniewaj się, ale jakoś mi się zdaje, że już kiedyś słyszałam coś bardzo podobnego.

— Ja — zawahał się Edred — ja go zaadaptowałam.

— Co? — spytała Elfryda.

— Czy nie widziałaś takiego napisu w książkach: „Adaptacja z francuskiego?” Ja go tylko zmieniłam.

— Coś mi się wydaje, że to nie wystarczy. Na ile go zmieniłaś? Jaki był ten prawdziwy wierszyk?

*Krecie, krecie, miły krecie,
Bardzo, bardzo ujrzeć chcę cię!
Wiem, żeś ślepy się urodził,
Ale nic mi to nie szkodzi.*

— wyrecytował naburmuszony Edred. — Ciocia zadeklamowała mi go tego dnia, kiedy byłaś u niej z panią Harrison.

— Jestem przekonana, że powinieneś być ułożyć wierszyk sam z siebie. Widzisz przecież, że Kret wcale się nie pojawił.

— Nie ma w ogóle żadnego Kreta — orzekł Edred.

— Musimy obydwójce porządnie pomyśleć. Jestem zupełnie pewna, że potrafiłabym ułożyć wierszyk, gdybym tylko wiedziała, jak się do tego zabrać.

— Jeżeli ktoś ma w ogóle ułożyć wierszyk, to tylko ja — odparł Edred. — Ty przecież nie jesteś lordem Ardenem.

— Jesteś bardzo, ale to bardzo nieprzyjemny — powiedziała Elfryda, a Edred wiedział, że ona ma rację.

— Możemy zrobić inaczej — zaproponował ugodowo.

— Ty spróbuj ułożyć wierszyk, a ja go wypowiem.

Elfryda objęła głowę rękoma i myślała tak długo, aż czoło poczerwieniało jej niczym burak, a krew tętniła w skroniach jak głośnie tykanie zegara.

— Masz już coś? — spytał Edred właśnie w chwili, gdy jej się wydało, że rzeczywiście wpadła na pomysł.

— Nie przeszkadzaj! — wykrzyknęła z rozpaczą poetka.

Zapanowała cisza i tylko słychać było głosy gołębi i skowronków oraz muczenie krowy w odległej, pokrytej czerwoną dachówką oborze.

— Czy tak będzie dobrze? — spytała wreszcie dziewczynka, odejmując ręce od głowy i unosząc łokcie z trawy. Na łokciach widniały głębokie rowki i linie odcisnięte przez twarde łodygi, na których tak długo się opierała.

— No, mówże! — zawołał Edred.

Pod wpływem tej zachęty Elfryda zaczęła wierszyk bardzo powoli i wyraźnie: — *Biały Krecie* — myślę, że tak będzie lepiej powiedzieć niż nazywać go zwyczajnie Kretem, nie sądzisz? *O Krecie Biały, z kryjówki swej wyjdź i wskaż nam, jak do tej rzeczy się brać* — to znaczy do odszukania skarbów. Spodziewam się, że on to zrozumie.

— Dobrze, ale to nie jest wiersz! — zawołał Edred.

— Dalej jest już prawdziwy wiersz:

*Krecie Biały, Biały Krecie,
Proszę, powiedz nam w sekrecie,
Gdzie jest skarb...*

— Myślę, że to powinno być trochę dłuższe — rzekł Edred, chociaż utwór mimo wszystko wyraźnie zrobił na nim wrażenie.

— No, prawdę mówiąc, jest tego więcej — odparła Elfryda. — Zaczekaj chwileczkę, przypomnę sobie tę resztę. Chciałam wyraźnie powiedzieć, że chodzi o to, jak znaleźć skarb i jak uczynić Edreda dzielnym i mądrym. No i miłym — dodała od siebie.

— Jeśli o to chodzi, to ja i tak jestem miły — oświadczył lord Arden. —

— Ach, ja wiem, że jesteś. Ale w wierszu muszą być rymy, przecież wiesz o tym. Zdaje mi się, że poeci często muszą mówić wcale nie to, co mają na myśli, właśnie z powodu rymów.

— Więc wyrecytuj wszystko od początku do końca — powiedział Edred, a Elfryda posłusznie wyrecytowała:

*Krecie Biały, Biały Krecie,
Powiedz, proszę, nam w sekrecie,
Gdzie jest skarb. I zrób Edreda
Dzielnym, mądrym, jeśli się da.*

*A prócz tego bardzo miłym,
Proszę o to z całej siły!*

Mogę ci to zapisać, jeżeli masz przy sobie ołówek.

Edred wydobył z kieszeni kawałek różowej kredki, ale nie miał papieru, więc Elfryda musiała rozpostrzeć swoją białą spódniczkę, położyć na jej brzegu spory kamień i przyciskać go mocno obu rękami, podczas gdy Edred pisał pod jej dyktando.

Następnie Edred zaczął pilnie powtarzać wierszyk raz po raz, tak jak zwykł się uczyć wierszyków zadawanych w szkole, aż wreszcie mógł stanąć na wzgórzu i wypowiedzieć:

*Krecie Biały, Biały Krecie,
Powiedz, proszę, nam w sekrecie,
Gdzie jest skarb, i mnie, Edreda,
Dzielnym, mądrym zrób, gdy się da.
I przyrzekam: będę miły,
Postaram się z całej siły.*

Jeżeli jesteś tak dobry — dodał na końcu.

I natychmiast ukazał się Biały Kret.

— Czego teraz znów chcecie? — spytał tonem bardzo niezadowolonym. — I czy wyobrażacie sobie, że to, co on powiedział, jest wierszem?

— To pierwszy wierszyk, jaki ułożyłam w życiu — odpowiedziała Elfryda, zaczerwieniona tak, że aż jej uszy płonęły. — Może następnym razem uda mi się już troszkę lepiej.

— Chcemy, żebyś zrobił to, co jest w zakłęciu — rzekł Edred.

— Zrobić ciebie mężnym i mądrym? Tego nie da się zrobić w ciągu jednej chwili. To wymaga długiej pracy — powiedział złośliwie Kret.

— Nie bądź wciąż taki niedobry, kochanie — odezwała się Elfryda. — I jeżeli trzeba na to tak dużo czasu, to czy nie lepiej, żebyś już zaczął?

— Nie zrobię nic poza tym, do czego jestem zobowiązany — odparł Kret nieco ułagodzony być może słówkiem „kochanie”. — Mówcie, czego chcecie, a ja zastanowię się i może to zrobię.

— Ja wiem, czego chcę — powiedział Edred — tylko nie wiem, czy ty to p o t r a f i s z .

— He-he! — roześmiał się wzgardliwie Kret.

— Trafiłem na ten pomysł w książce, którą Elfryda dała mi na urodziny — wyjaśnił Edred. — W tej książce dzieci podróżują w przeszłość. I ja bym chciał udać się w przeszłość... i odnaleźć w niej skarb.

— W takim razie wybierz epokę — oświadczył znużonym głosem Kret.

— Co mam wybrać?

— Epokę. To znaczy, do jakich czasów chcesz zawędrować. Jeżeli nie zdecydujesz się, nim doliczę do dziesięciu, to stracisz prawo wyboru. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Wśród zupełnego milczenia doliczył tak do dziesięciu.

— ...dziewięć, dziesięć — zakończył. — Doskonale, w takim razie możesz tę podróż w czasie odbyć tylko na ślepo. I to wszystko.

— Do licha! — wykrzyknął Edred. — Nic mi nie przychodziło na myśl z wyjątkiem dat panowania wszystkich królów Anglii. I to wszystkich naraz.

— Jak to dobrze znać tyle dat — odparł Kret, a w jego głosie tak wyraźnie zabrzmiała nuta niewiary, że chłopiec mimo woli zaczął mrużyć:

— Wilhelm Pierwszy* — 1066, Wilhelm Drugi — 1087, Henryk Pierwszy — 1100.

Kret ziewnął, co naturalnie było z jego strony bardzo niegrzeczne.

— Nie bądź taki niedobry, kochanie — powiedziała ponownie Elfryda — i pomóż nam w taki sposób, jaki sam uznasz za stosowny.

— No, teraz mówisz z sensem — rzekł Kret, jak się tego Elfryda, oczywiście, spodziewała. — Dobrze, dam wam jedną radę. Nie dokuczajcie sobie nawzajem przez jeden cały dzień, a wtedy...

— Niepotrzebnie to mówisz — mruknął pod nosem Edred.

— Doskonale! — zawołał Kret, który miał słuch bardziej wyostrzony niż wzrok. — Nie będę.

— Ach, dajcie spokój! — westchnęła Elfryda. — Powiedz nam, co mamy zrobić, kiedy będziemy bardzo mili dla siebie przez cały dzień.

— No więc, jeżeli wam się to uda — odpowiedział Kret — poszukajcie drzwi.

— Jakich drzwi? — spytała Elfryda.

— Właśnie tych drzwi — odrzekł Kret.

— Ale gdzie one są? — zapytał Edred.

— Naturalnie w tym domu — odparł Kret. — A gdzież, na miłość boską, miałyby być?

Po czym z szybkością myszy pobiegł przez trawę i znikł w czymś, co wyglądało na króliczą norę.

— No, teraz — oświadczyła z tryumfem Elfryda — musisz już uwierzyć w Kreta!

— Tak — przyznał Edred — a ty musisz być dla mnie miła przez cały dzień, bo inaczej moja wiara w Kreta nie zda się na nic.

— A czy ja na ogół nie jestem miła? — zapytała dziewczynka i jej usta zdrzały.

— Tak — odparł brat — tak, lady Arden. A teraz i ja także będę miły. Ale gdzie mamy szukać tych drzwi?

Sprawa ta zabrała im czas aż do podwieczorku. Po podwieczorku postanowili zająć się malowaniem, używając świeżo otrzymanych farb i prześlicznych nowych pędzelków. Elfryda chciała namalować ilustracje do „Historii Amuletu” i Edred także chciał je namalować. Było to niemożliwością, o czym możecie łatwo się przekonać, jeżeli macie tę książkę. Edred upierał się przy swoich prawach dowodząc, że farby są jego własnością, Elfryda zaś zwróciła mu uwagę, że książka należy do niej. Gwałtowny spór, jaki się wywiązał, zakończył się zupełnie nagle i niespodziewanie.

— Ja nie byłbym taką samolubną świnką — powiedział Edred.

— Ja też nie — rzekła Elfryda. — Ach, Edred, czy — to w ten sposób jest się miłym dla siebie nawzajem przez cały dzień?

— Och! — zawołał Edred. — No tak... prawda... rzeczywiście. Ach, mniejsza z tym. Jutro zaczniemy od początku.

Ale być miłym dla swego brata czy swojej siostry przez cały dzień jest rzeczą o wiele trudniejszą, niż to się wam może wydawać. Toteż minęły całe trzy dni, zanim rodzeństwu Arden udało się dokonać tej tak prostej na pozór rzeczy. Dni te zresztą wcale nie były nudne. Wydarzyło się w ciągu tego czasu sporo zachwycających rzeczy, o których z wielką chęcią opowiedziałabym wam, moi czytelnicy, gdybym miała na to czas. Takich rzeczy, jak wspinanie się na wzgórze, dokonywanie różnych odkryć, przeglądanie książek z obrazkami i natrafienie na biurko, w którym była tajemna skrytka. W skrytce nie znaleźli nic poza grosikiem i skrawkiem czerwonej tasiemki — w tajemniczych skrytkach nigdy nie ma żadnych cennych rzeczy, — ale mimo to była to jednak bardzo ładna skrytka.

* Wilhelm Pierwszy — czyli Wilhelm Zdobywca

I wreszcie nadszedł dzień, kiedy obojgu rodzeństwu udało się zapanować nad swoim temperamentem. Rozpoczęli ten dzień od świadczenia sobie uprzejmości, co stopniowo przeobraziło się jak gdyby w rodzaj gry.

— Będziemy mówić do siebie przez cały czas lordzie i lady Arden i udawać, że nie jesteśmy wcale żadnymi krewnymi — zaproponowała Elfryda.

Okazało się, że jest to rzeczywiście znakomity sposób na wzajemną uprzejmość. Trudno wprost uwierzyć, o ile łatwiej jest być grzecznym dla ludzi obcych niż dla najbliższych krewnych, którzy przecież są w gruncie rzeczy tymi, których naprawdę się kocha. W miarę jak czas upływał, dzieci zwracały coraz większą uwagę na wszystkie swoje słowa i gesty. Było to jak budowanie domku z kart. W miarę jak upływały jedna po drugiej godziny nieskazitelnej wzajemnej uprzejmości, dzieci ogarniał coraz większy niepokój. Bo co by to było, gdyby po tym wszystkim jakiś naturalny odruch miał zepsuć wysiłek całego prawie dnia!

— Spodziewam się — powiedział Edred przy podwieczorku — że nie wpadnie ci na myśl zrobić mi coś na złość?

— O, nie, kochanie — zawołała Elfryda — jestem pewna, że nie!

I tak właśnie zachowywali się oboje aż do końca dnia.

Po podwieczorku postanowili czytać, aby w ten sposób zmniejszyć ryzyko niepowodzenia. Każde z nich chciało czytać tę samą książkę, a mianowicie „Wyspę skarbów”, i przez krótką chwilę wzajemna uprzejmość znalazła się w niebezpieczeństwie. Potem jednak jakby się zmówili, każde powiedziało drugiemu: „Nie, nie, ty sobie to czytaj!” — i rzecz cała zakończyła się tym, że każde zabrało się do czytania zupełnie innej książki niż ta, na którą miało ochotę.

Kiedy nadeszła pora snu, Edred zapalił dla Elfrydy świecę, ona zaś podniosła z ziemi zapalki, które chłopiec niechcący upuścił.

— Najdroższe moje dziateczki — szepnęła na ten widok przechodząca właśnie pani Honeysett.

Dzieci rozstały się z pełnym zadowolenia stwierdzeniem:

— Tym razem nam się udało.

Trzeba teraz powiedzieć, że w ciągu tamtych trzech dni, kiedy nie udawało im się być bez przerwy miłymi dla siebie, dzieci, oczywiście, szukały wszędzie owych drzwi. Ale że Kret nie powiedział, gdzie się one znajdują ani jak wyglądają, poszukiwania te były bezowocne. Większość pokoi miała po kilkoro drzwi, a że pokoi było wcale sporo, ogólna liczba drzwi wynosiła pięćdziesiąt siedem, wliczając w to także drzwi od szaf. Lecz wśród nich nie było takich, które można by uznać za cenniejsze od wszystkich innych, czyli t y c h drzwi. Wiele spośród drzwi w starej części domu wyglądało na to, że mogą to być t e , ale ponieważ było ich dużo, o żadnych nie dało się tego powiedzieć na pewno.

— Po czym je rozpoznamy? — spytał Edred następnego ranka, jedząc jajka sadzone z grzankami.

— Myślę, że to może być tak, jak z zakochaniem się — odparła Elfryda jedząc to samo. — Spoglądasz na jakieś drzwi i od razu wiesz, że to jest ta jedyna na świecie, ukochana przez ciebie królewna... to znaczy, chciałam, naturalnie, powiedzieć, jedyne na świecie drzwi — dodała.

Następnie, gdy już zjedli śniadanie, wstali oboje od stołu i popatrzyli na siebie.

— Teraz! — wyrzekli jednocześnie.

— Będziemy dokładnie przyglądać się każdemu drzwiom. Może na t y c h drzwiach będą czarodziejskie napisy, które zjawiły się tam nagle w ciągu nocy jak grzyby — powiedziała dziewczynka.

— Albo też okaże się, że Kret po prostu z nas sobie zakpił — powiedział chłopiec.

— O, nie! — zaprzeczyła dziewczynka. — I musimy przyglądać się drzwiom, i to wszystkim, z obydwu stron. Ach, strasznie jestem ciekawa, co jest za tymi drzwiami! A ty nie?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby tam były żony Sinobrodego* — odparł chłopiec — z głowami...

— Jeżeli nie przestaniesz — powiedziała dziewczynka, zatykając sobie uszy palcami — nie będę w ogóle szukała tych drzwi... Nie, nie, wcale nie chcę cię drażnić, ale bardzo cię proszę, żebyś przestał o tym mówić. Wiesz, że tego nie znoszę.

— Daj spokój — odparł Edred — i nie bądź niemądra, przyjacielu.

W życiu Elfrydy największym powodem do dumy było zawsze, gdy brat nazwał ją „przyjacielem”.

Zaczęli więc szukać na nowo i obejrzeni wszystkie pięćdziesiąt siedem drzwi, jedno po drugim, z zewnątrz i od środka. Jedne były pomalowane, inne rzeźbione, a jeszcze inne zupełnie zwyczajne, niektóre były fornirowane, a niektóre bez forniru, ale wszystkie były tylko drzwiami — po prostu drzwiami i niczym więcej. I żadne nie mogły pretendować do tego, by można było powiedzieć o nich, że są to właśnie te drzwi. I kiedy dzieci obejrzały już wszystkie pięćdziesiąt siedem drzwi z jednej i z drugiej strony, nie pozostało im nic innego do zrobienia, jak tylko od nowa zacząć oglądanie. Oglądali więc znów, bardzo starannie, by sprawdzić, czy przypadkiem na którychś drzwiach nie ma czarodziejskiego napisu, którego przez nieuwagę nie zauważyli. Ale nie było. Zaczęli więc opukiwać ściany, aby je wszystkie zbadać i wykryć jakieś drzwi z sekretną sprężyną. Ale i to też nie zdało się na nic.

— Nie ma żadnych starych drzwi — orzekł Edred. — Już ci mówiłem, że Kret po prostu sobie z nas zakpił.

— A ja jestem pewna, że są — odparła Elfryda, lekko pociągając nosem wskutek długotrwałego podniecenia. — Wiesz co? Spróbujmy gry w silną wolę. Ja będę miała oczy zawiązane chusteczką, a ty weźmiesz mnie za rękę i będziesz mocno sobie życzył, żebym znalazła te drzwi.

— Nie wierzę w grę w silną wolę — odparł opryskliwie Edred.

— I ja też nie wierzę — rzekła Elfryda — ale sam wiesz, że musimy coś zrobić. Nic nam z tego nie przyjdzie, jeżeli będziemy siedzieć i mówić, że nie ma żadnych takich drzwi.

— Ale przecież ich nie ma, wiesz doskonale — odpowiedział Edred. — No, niech ci będzie, zagramy w tę grę.

W rezultacie Edred zawiązał siostrze oczy najlepszym jej jedwabnym szalikiem — tym niebieskim z ręcznie obrębionymi brzegami — i ujął ją za obydwie ręce. I Elfryda zaraz — działało się to w bibliotece, tam gdzie znaleźli zakłęcie — ruszyła z miejsca i zaczęła iść równym krokiem w sposób wyraźnie celowy. Przemierzyła hall i przez drzwi obite sukniem weszła do opuszczonego domu. Następnie poszła długim korytarzem, a później w górę zakurzonymi schodami, coraz wyżej i wyżej...

— Przecież obejrzelśmy tutaj wszystkie drzwi, jakie tylko są — rzekł Edred, ale jego odezwanie się nie powstrzymało Elfrydy.

— Wiem doskonale — odparła — że idę prosto do tych drzwi. Ach, postaraj się wzbudzić w sobie choć trochę wiary, bo inaczej nic nie znajdziemy!

Posuwała się korytarzem, gdzie pająki udrapowały ramy obrazów swymi szarymi, gęstymi pajęczynami. W korytarzu tym było wiele drzwi, ale Elfryda zatrzymała się nagle przed jednymi z nich — przed drzwiami niczym nie różniącymi się od pozostałych.

* Sinobrody — bohater jednej z baśni francuskiego pisarza Charlesa Perraulta, wydanych w 1677 r. Sinobrody wręczał kolejnym żonom klucz do pewnej komnaty, zabraniając im jednocześnie przekroczenia jej progu. Żadna z nich nie potrafiła przezwyciężyć swej ciekawości i Sinobrody za złamanie zakazu zabijał je. Ostatnią uratowali jej bracia i tym razem uśmiercony został Sinobrody.

— To — powiedziała wyciągając rękę, która wreszcie spoczęła na popękany fornirze, wyglądającym jak różowa rozgwiazda — to są właśnie t e drzwi.

Ręką wymacała klamkę, nacisnęła ją i weszła do środka, wciąż z niebieskim szalikiem na oczach, pociągając Edreda za rękę. Chłopiec wszedł w ślad za nią.

— Ha! — powiedział ze zdumieniem w głosie, a Elfryda zsunęła szalik z oczu.

Drzwi za nimi same zamknęły się bezgłośnie.

Znajdowali się w długim, mansardowym pokoju tuż pod dachem, w pokoju, na który z całą pewnością podczas wszystkich dotychczasowych poszukiwań nigdy się nie natknęli. Nie miał on wcale okien, a dach z jednej strony sięgał prawie do podłogi. Nie miał też sufitu: pomiędzy zżartymi przez robactwo krokwiemi widać było dachówki — krokwie zaś poprzecinane były łatami tak, że gdy się patrzyło na to z dołu, całość wyglądała jak ogromna drabina ze szczeblami umieszczonymi bardzo daleko od siebie. Tu i ówdzie, poprzez szpary w dachówkach, sączyło się mglistozłociste światło. Z dachu dochodziły odgłosy poruszających się po nim nówek gołębic, szelest skrzydeł i gołębie gruchanie. Ten długi pokój był właściwie zupełnie pozbawiony mebli. Tylko wzdłuż ścian, tuż pod samym dachem, stały dwa rzędy skrzyń, z których ani jedna nie była podobna do którejkolwiek innej.

— Ach! — zawołał Edred. — Teraz jestem na pewno miły i mądry. Po prostu czuję to w sobie. No, teraz mamy już skarb w ręku. Będziemy mogli odbudować zamek.

Podszedł do najbliższej skrzyni, próbując ją otworzyć. Ale dopiero z pomocą Elfrydy udało mu się unieść potwornie ciężkie wieko. Niestety, gdy wieko już podnieśli, stwierdzili, że w skrzyni nie ma żadnych skarbów, tylko ciasno ułożone ubiory.

Wobec tego zabrali się do otwierania następnej.

Okazało się, że we wszystkich tych skrzyniach nie było żadnych skarbów, jedynie odzież. Odzież najrozmaitszego rodzaju, i tylko odzież.

— To nic — powiedziała Elfryda, starając się mówić pokrzepiającym głosem. — To wszystko będzie się wspaniale nadawało do przebierania.

— Dobrze, dobrze — odrzekła na to Edred — ale ja chcę mieć skarb.

— A może — zauważyła trochę nietaktownie Elfryda — może nie jesteś jeszcze „dobry i mądry”. To znaczy — dodała szybko — chcę powiedzieć, że jeszcze nie tak c a ł k o w i c i e . I wiesz, co myślę? Powyjmujmy wszystkie te rzeczy i obejrzyjmy je dokładnie. Może skarb ukryty jest gdzieś po kieszeniach?

Ale i w kieszeniach nie było żadnego skarbu, choćby najdrobniejszego. Nie było nawet grosika.

W pierwszej skrzyni znajdowały się stroje do konnej jazdy, wysokie buty, krótkie kurtki, haftowane szarfy, obcisłe spodnie i mundury z błyszczącymi guzikami. Były też bardzo osobliwe kamizele, jak również czapki i kapelusze o dziwacznych kształtach. Jedna mała, zielona czapeczka wyglądała na to, że będzie akurat pasować na Edreda. Chłopiec spróbował ją włożyć. W tej samej chwili Elfryda wydobyła, ze skrzyni mały słomkowy czepeczek, przybrany błękitnymi wstążkami.

— To jest w sam raz dla mnie — orzekła i włożyła go na głowę.

Nagle dzieciom wydało się, jak gdyby gruchanie gołębi i szelest ich skrzydeł przeniknęły przez dach do pokoju i zewsząd je otoczyły. Odgłosy te stawały się coraz głoś niejsze i bliższe, a różne części garderoby wywędrowały ze skrzyni i znalazły się na dzieciach. Oboje nie mieli pojęcia, jak się to stało — podobnie jak i wy nie wiecie — ale wydawało się, że to właśnie gołębie gruchanie odegrało rolę pomocnych rąk, i już po chwili dzieci ubrane były w stroje, jakich nigdy w życiu nie nosiły. Elfryda miała na sobie długą do ziemi suknię o wysokim stanie, z przezroczystego białego muślinu w zielony deseń. Znikły jej brązowe trzewiki z szerokimi noskami i miała na nogach cieniutkie, płytke pantofelki. Ramiona jej były nagie, a na piersi krzyżowały się końce muślinowej chustki. Edred nosił olśniewająco

białe spodnie, sięgające mu niemal do pach, granatowy fraczek z mosiężnymi guzikami i rodzaj marszczonego żabotu u szyi.

— No, no! — zawołali obydwójce jednocześnie, kiedy już gołębie gruchania zacichły w oddali i znaleźli się nagle sami w zupełnej ciszy długiego, pustego pokoju.

— To było bardzo dziwne — powiedział Edred. — Chodźmy teraz na dół i pokażmy się pani Honeysett.

Ale kiedy wyszli z drzwi, ujrzeni, że pani Honeysett — czy może ktoś inny — musiała bardzo usilnie pracować, kiedy znajdowali się po drugiej ich stronie, gdyż posadzka w galerii była starannie zapastowana i wyczyszczona. Wzdłuż galerii biegł pas wytartego wprawdzie, ale czyściutkiego chodnika, a miedzioryty wisiały prosto na świeżo podbielanych ścianach i nigdzie nie było ani śladu pajęczyn.

Idąc galerią dzieci otwierały wszystkie po kolei drzwi i oczom ich ukazywały się starannie posprzątane, czyściutkie pokoje, bez najmniejszego pyłku czy postrzępionych zasłon. Krótko mówiąc, wszędzie panował idealny porządek i rodzaj prostego, ale niewątpliwego komfortu. Ale w żadnym z pokoi dzieci nie mogły odnaleźć pani Honeysett. Nie było też nigdzie widać robotników, chociaż przez krótki czas nieobecności dzieci znikły drzwi obite sukniem, a na ich miejscu znajdowały się krzywe, popękane drzwi ze starego drzewa.

Dzieci zbiegły szybko przejściem wiodącym do saloniku i pchnęły gwałtownie drzwi, szukając pani Honeysett.

Ale zamiast niej ujrzały siedzących w bardzo sztywnych pozach jakąś starszą damę oraz starszego pana. Ubrani byli w sposób niczym nie przypominający odzieży ludzi dzisiejszych. Stroje ich podobne były do tych, jakie dzieci miały teraz na sobie. Starsza dama zajęta była szyciem wytwornego, białego żabotu, a starszy pan zagłębiony był w czytaniu czegoś, co wyglądało jak stronica jakiejś gazety.

— A to co znowu? — zawołała bardzo surowym tonem starsza dama. — Zdaje się, że zapomnieliśmy zupełnie, jak należy się zachowywać. Proszę mi zaraz złożyć ukłon.

Elfryda dygnęła, jak tylko potrafiła najlepiej.

— Aby nauczyć was szacunku dla starszych — odezwał się wiekowy pan — najlepiej będzie, jak się nauczycie na pamięć którejs z pięknych pieśni umoralniających wielkiego doktora Wattsa. Wybór i dopilnowanie nauki pozostawiam uznaniu szanownej pani.

Z tymi słowy odłożył gazetę i wyszedł wyprostowany i z wielce godną miną. Dzieci zaś, same nie wiedząc, jak to się stało, stwierdziły, że siedzą na dwóch małych stołeczkach w pokoju, który był, a zarazem nie był, tym salonikiem, gdzie jeszcze tegoż ranka spożywały tak smaczne śniadanie, i każde z nich trzyma w rękę zbiór hymnów doktora Wattsa w bardzo staroświeckiej oprawie.

— Nauczycie się na pamięć całego hymnu rozpoczynającego się od słów:

*Szczęśliwe to dziecię, co od najmłodszych lat
Pobiera potrzebne nauki...*

A poza tym dzisiaj na obiad nie dostaniecie deseru — orzekła starsza dama.

— Ho, ho! — mruknął Edred.

— Psst!.. — szepnęła doń Elfryda w chwili, gdy starsza dama podeszła ze swym batystowym żabotem do okna.

— Kiedy ja tego nie zniosę — odpowiedział również szeptem Edred. — Powiem o tym wszystkim cioci Edycie! A w ogóle kim ona jest? — dodał, rzucając ponad nieskazitelnie czyściutkim dywanem piorunujące spojrzenie na starszą damę.

— Jak to, czy jeszcze nie rozumiesz? — szepnęła Elfryda. — Przemieniliśmy się w inne osoby i ona jest naszą babcią.

Sama doprawdy nie wiem, dlaczego Elfryda domyśliła się tego od razu, a Edred nie. Może dlatego, że Elfryda była dziewczynką, a może z tego powodu, że była o dwa lata starsza od Edreda. W każdym razie oboje wysyłali beznadziejne spojrzenia przez okno, za którym panowała przepiękna pogoda, by zaraz potem wglębić się w drobny i nudny druk staroświecko oprawionej książki.

— Edred — poleciła chłopcu starsza dama — podaj mi gazetę.

Wskazała przy tym na arkusz zadrukowanego papieru, leżący na lśniącym wypolerowanym stole.

Edred wstał i podał starszej damie gazetę, ale po drodze rzucił kątem oka na tytuł i oto co przeczytał:

TIMES

16 czerwiec, 1807

Teraz wreszcie i on wiedział dokładnie, tak jak już przedtem wiedziała Elfryda, gdzie jest i w jakich czasach.

ROZDZIAŁ III

W EPOCE NAPOLEONA

Edred grzecznie, na paluszkach, wrócił na swój stołek i drżącymi palcami ponownie sięgnął po książkę doktora Wattsa w staroświeckiej oprawie. Gdybyście mieli chętkę pomyśleć o nim ze wzgardą, zważcie, że była to jego, pierwsza prawdziwa przygoda. Jak dotąd, w jego zwyczajnym życiu i w czasach, w jakich żył naprawdę, nie przydarzyło mu się nic szczególnie przejmującego aż do chwili, gdy stał się lordem Ardenem i zbadał różne zakamarki zamku Arden. Teraz zaś on i Elfryda nie tylko odkryli nigdy nie używane domostwo i zadziwiające poddasze z mnóstwem olbrzymich skrzyń, ale zostali ubrani przez tajemnicze gołębie głosy w stroje należące do innej epoki. Tu moglibyście powiedzieć, że gołębie głosy nie mogą nikogo w nic przebrać bez względu na epokę, do jakiej ten strój by należał.

Otóż to właśnie mówił sobie w tym czasie Edred. A jednak jest rzeczą pewną, że tak się stało. I właśnie tego rodzaju sprawy czyniły całą tę historię tak bardzo tajemniczą. Nie mówiąc już o tym, że Edred i jego siostra zdołali w jakiś sposób cofnąć się wstecz o całych sto lat. Wiedział o tym na pewno, choć nie miał żadnego innego dowodu poza tym jednym numerem gazety. Czuł to — jak się to mówi — w kościach. Sama nie umiem powiedzieć, na czym ta rzecz polegała, może powietrze było o sto lat młodsze? Pastuchy i w ogóle wieśniacy umieją w ciemną noc dokładnie określić godzinę według samego tylko powietrza. Możliwe więc, że ludzie bardzo wrażliwi potrafią w podobny sposób określić stulecie. Są to, oczywiście, tego rodzaju ludzie, którym z łatwością wydarzały się przygody w dawnych czasach i wydarzają się dziś. Zawsze musimy brać pod uwagę, co jest rzeczą prawdopodobną, zwłaszcza kiedy czytamy opowieści o wydarzeniach niezwykłych.

— Wiesz — szepnął Edred — znaleźliśmy się w roku 1807. Tak wynika z tej gazety.

— Ja już przedtem wiedziałam — odparła szeptem Elfryda. Musiała, jak widać, mieć jeszcze więcej tego pastuszego-wyczucia-czasu-w-nocy niż jej brat. — Żałuję — dodała — że nie mogę sobie przypomnieć, co się zdarzyło w historii w roku 1807. Ale myśmy nigdy nie posunęły się w nauce poza czasy Edwarda IV*. Wciąż musiałyśmy wracać do Anglosasów z powodu nowych uczennic.

— Kiedy my wcale nie jesteśmy w historii. Jesteśmy w Arden — odparł Edred.

— Owszem, jesteśmy w historii. I to jest zupełnie okropne, że nie wiemy nawet, kto teraz jest naszym królem — rzekła Elfryda.

Ale w tej samej chwili sztywna starsza dama spojrzała na dzieci przez wielkie okulary w grubej srebrnej oprawie i sarknęła:

— Cisza!

Następnie odłożyła „Timesa”, sięgnęła po atrament i papier — ale nie po koperty — i zabrała się do pisania. Kończyła list: ogromna płachta papieru była już z jednej strony niemal całkowicie zapisana. Kiedy starsza dama pokryła ją swym pismem do końca, obróciła arkusz bokiem i zaczęła pisać w poprzek. Używała białego gęsiego pióra. Komplet do pisania był porcelanowy ze złotymi zawijasami, amorkami i wianuszkami z róż. Na podstawie z jednej strony stał kałamarz z atramentem, z drugiej — podobne naczynie wypełnione jakimś proszkiem, a z przodu znajdowała się tacka na pióra i pałeczki laku.

Dzieci umiały już dokładnie na pamięć swój niezbyt udany wiersz, toteż przyglądały się starszej damie, która najprawdopodobniej była ich babcią. Kiedy skończyła pisanie, posypała

* Edward IV — król angielski, żył w latach 1442–1483.

list proszkiem z owego naczynia stojącego obok kałamarza i w ten sposób wysuszyła atrament. Nigdzie zresztą nie było widać bibuły. Następnie złożyła list kilkakrotnie, zapieczętowała go przy pomocy srebrnej pieczęci leżącej na tacce i wreszcie zaadresowała. Po czym...

— Czy wykonaliście swoje zadanie? — spytała.

— Tak, proszę — odpowiedziała Elfryda podając książkę, którą trzymała w ręku.

— Nie bądź zuchwałą, panienko! — powiedziała surowo babcia. — Wiesz doskonale, że chodzi mi o to, czy nauczyliście się wiersza na pamięć. I wiesz także, że zwracając się do mnie powinnaś zawsze mówić „proszę waszmość pani”.

— Tak jest, proszę waszmość pani — rzekła na to Elfryda, a starsza dama uznała to za dowód, że dziewczynka wykonała swoje zadanie.

— W takim razie przybliź się i powiedz wiersz. Nie, nie, wiesz doskonale, że w ten sposób nie można. Nogi muszą być zsunięte, ręce założone za plecy, głowę masz trzymać prosto. I pamiętaj, że nie wolno poruszać nogami.

W taki to sposób najpierw Elfryda, a następnie Edred wyrecytowali smutny wiersz.

— A teraz — rzekła starsza dama — możecie iść pobawić się w ogrodzie.

— A czy moglibyśmy zanieść list waszmość pani na pocztę? — spytała Elfryda.

— Owszem. Tylko nie zatrzymujcie się w zajezdzie „Pod Świętym Jerzym”, i to nawet gdyby was tam zaprosiła pani Skinner. Oddacie jej tylko list i wróćcie tutaj. A drzwi trzeba zamykać cicho i pamiętajcie, żeby nie szurać nogami.

— Tak jest, proszę waszmość pani — odparła Elfryda, po czym dzieci wyruszyły w drogę.

— Wykryją nas jak nic — powiedział Edred. — To po prostu nieuniknione, przecież nie mamy najmniejszego pojęcia o niczym. Ja na przykład nie wiem, ani gdzie jest zajazd „Pod Świętym Jerzym”, ani gdzie kupuje się znaczki, ani w ogóle nic.

— Musimy znaleźć kogoś, komu będziemy mogli zaufać i opowiedzieć całą prawdę — rzekła Elfryda.

— Nie ma tutaj nikogo takiego — odparł Edred — komu mógłbym zaufać. Nie można przecież mieć zaufania do ludzi, którzy nakładają człowiekowi takie jakieś dziecinne śliniaczki na szyję — powiedział gniojąc ze złości swój krochmalony żabocik.

— Mój kołnierzyk też okropnie drapie — zwróciła mu uwagę Elfryda — a jest ciaśniejszy od twojego. A w dodatku twój jest bardziej rozciągliwy, więc przez to także jest mniej drapiący.

— Wiesz, chodźmy z powrotem na strych i postarajmy się wrócić do naszych czasów. Myślę, że po prostu weszliśmy w niewłaściwe drzwi, nie myślisz? Chodźmy tam zaraz, nie zwlekając.

— O, nie! — odrzekła Elfryda. — To byłoby po prostu okropne! Przecież teraz możemy dowiedzieć się mnóstwa nieznanych rzeczy i na całą resztę naszego życia zapisać się w historii. Lepiej chodźmy na spotkanie tego wszystkiego.

— Czy pamiętasz, które to były drzwi tam, na poddaszu? — zapytał nagle Edred. — Trzecie czy czwarte na lewo?

— Nie mam pojęcia. Ale kiedy będziemy chcieli, łatwo je odnajdziemy.

— Ja bym chciał wiedzieć t e r a z — upierał się Edred. — Bo z góry nigdy nie wiadomo, kiedy się będzie czegoś chciało. Pani Honeysett mówi, że zawsze natychmiast powinno się umieć chwycić w ręce to, na co się ma ochotę. A ja w tej chwili chciałbym być zupełnie pewny, że mogę chwycić w ręce nasze własne ubrania. Bo przypuścimy, że ktoś tam pójdzie i zabierze je do oczyszczenia. Wiesz przecież, jacy ludzie bywają.

— Doskonale — odparła Elfryda — więc pójdziemy tam i sami je oczyścimy. To potrwa parę minut.

I rzeczywiście nie zabrałoby to więcej niż pięć minut czasu, gdyby wszystko odbyło się tak, jak to sobie dzieci wyobrażały. Popędziły schodami w górę do korytarza, gdzie wisały miedzioroty.

— Wiem na pewno, że to nie były pierwsze drzwi — rzekł Edred.

Otworzyli więc drugie. Ale okazało się, że nie były to te drzwi. Otwierali więc po kolei wszystkie, a w końcu otworzyli nawet i pierwsze. Ale i te nie okazały się właściwymi drzwiami. Żadne nie były właściwe.

— Widocznie poszliśmy nie tym korytarzem — powiedział chłopiec.

— Ależ innego tu nie ma — odparła dziewczynka. I rzeczywiście tak było. Bo chociaż przeszukali z góry na dół cały dom i wypróbowali wszystkie drzwi, jakie tylko były, nie mogli w żaden sposób trafić na drzwi do poddasza. Co więcej, kiedy zaczęli je liczyć, okazało się, że bez drzwi do poddasza było ich i tak pięćdziesiąt siedem.

— Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem — liczyła Elfryda i zakończyła ze szlochem: — Tamte drzwi po prostu znikły! I teraz będziemy musieli zostać tutaj na zawsze. Ojjoj, ja chcę do cioci! Do cioci!

Straszliwie zmęczona usiadła na małej zielonej macie leżącej przed ostatnimi drzwiami, które okazały się drzwiami do kuchni.

Edred twierdzi, że wcale wtedy nie płakał. Więc jeżeli to, co mówi, jest prawdą, to płacz Elfrydy musiał być znacznie głośniejszy niż jej zwykły płacz. Bowiem drzwi kuchenne otworzyły się i para tłustych ramion pochwyciła oboje dzieci i wciągnęła je do mile wyglądającej kuchni, gdzie na ścianach wisały błyszczące mosiężne i miedziane rondle, a nad ostrym ogniem obracało się w kółko, bez niczyjej pomocy, na ogromnym różnie wielkie baranie udo.

— Uspokójcie się — powiedziała właścicielka tłustych ramion, która okazała się bardzo tęgą kobietą w sukni czekoladowego koloru, z drukowanymi niebieskimi różami. Kobieta miała na sobie wielki kretonowy fartuch, a na głowie czepek z opadającymi falbankami. Spośród tych falbanek wyłaniała się równie pocziwa, miła i roześmiana twarz, jak oblicze pani Honeysett. — Proszę mi zaraz być cicho — ciągnęła — bo inaczej przyjdzie tu po was babcia, nie mówiąc już o Bonapartem. Przestańcie już wreszcie beczeć i spójrzcie, co ja dla was mam.

Z tymi słowy otworzyła cynową puszkę i wydobyła z niej dwa kawałki czegoś, co przypominało jakby ciemny piasek, a z wielkości i kształtu podobne było do suszonych śliwek.

— Co to jest? — spytał Edred.

— A niech to lichy! — zawołała kucharka. — Co za dziwne dziecko! Żeby nie umieć rozpoznać cukru! Ładne rzeczy, paniczku Edredzie! O co jeszcze będziesz mnie pytał?

Dzieci wzięły podane im słodycze i spróbowały ich smaku. Był to rzeczywiście cukier, ale ten cukier, poza tym że był słodki, miał jeszcze jakiś mocny, nieprzyjemny posmak i gdyby dzieci nie były naprawdę ogromnie grzeczne i miłe, to posłuchałyby głosu Natury i... Ale, oczywiście, wiedziały, że byłoby to i obrzydliwe, i niewdzięczne. Jakoś więc wreszcie zdołały przełknąć ten osobliwy gatunek cukru, podczas gdy kucharka wpatrywała się w nie z miłym uśmiechem spod swego czepka, a jej ręce, przypominające ogromne kotlety, oparte były na biodrach.

— No, a teraz już więcej nie beczcie — powiedziała — lepiej idźcie się pobawić.

— Mamy odnieść list babci na pocztę — odezwał się Edred — a nie wiemy...

— Gospośiu — zawołała Elfryda pod wpływem nagłego impulsu — czy potrafi pani dotrzymać tajemnicy?

— Czy potrafisz? — obruszyła się kucharka. — A czy nie dochowałam aż do dzisiejszego dnia tajemnicy przyrządzania kaszki mанны czy migdałowych ciasteczek i różnych innych

przysmaków? W całym kraju nie ma takiej kaszki jak ta, którą ja przyrządzam, sami doskonale o tym wiecie.

— Kiedy my nic nie wiemy — odparła Elfryda — i właśnie o to chodzi. A boimy się przyznać do tego przed babcią. Coś się nam przydarzyło, i to coś takiego, że nie pamiętamy nic z tego, co było dalej niż przed godziną.

— Na miłość boską — wykrzyknęła kucharka — to może nie pamiętacie i tego, jak wasza stara gosposia przyniosła wam ukradkiem jabłka w cieście, kiedy w zeszły czwartek kazano wam iść spać bez kolacji?

— Nie — przyznała Elfryda — nie pamiętamy i tego, chociaż z pewnością tak było. Tylko co mamy teraz zrobić?

— A nie nabieracie wy poczciwej starej gosposi tak jak wtedy, kiedy wmówiliście mi, że francuscy żołnierze kryją się w wiatraku? Napędziliście stracha całej wiosce!

— Nie, nie, tym razem to jest szczerą prawdą! Szczerą, ale i okropną. Gosposia musi nam pomóc. My nic, ale to nic nie pamiętamy, żadne z nas.

Kucharka opadła ciężko na głęboki fotel przykryty pokrowcem zrobionym z gałganków.

— Aha! To ona rzuciła na was urok! Na pewno! Jesteście zaczarowani. Ach, moje biedne dzieciaczki, że też musiałam doczekać takiego dnia...

Poczciwa, tłusta twarz kucharki zaczęła wykrzywiać się i marszczyć w sposób, który każde z dzieci niezliczone razy widziało u drugiego.

— Proszę tylko nie płakać, gosposiu — zawołali oboje, a Elfryda dodała: — A kto rzucił ten urok?

— Stara Betty Lovell! Głowę daję, że to ona! Zaczarowała was oboje, jestem tego tak pewna, jak tego, że siedzimy teraz w kuchni. Wiedziałam, że to się źle skończy, kiedy nasz pan kazał ją zakuć w dyby za zbieranie patyków w lesie. Teraz musimy ją tu jakoś sprowadzić, żeby zdjęła z was urok. Chyba że udałoby się znaleźć białego kreta, ale to nie jest łatwe.

— Białego Kreta? — zawołały jednocześnie dzieci, spoglądając na siebie jak dwoje spiskowców.

— Znacie przecież ten wierszyk z zaklęciem... Ach, ale jeżeli zapomnieliście wszystko, to nie pamiętacie i tego wierszyka.

— A może gosposia go pamięta i powie nam? — poprosił Edred.

— Zaraz, zaraz, jakże to idzie?...

*Biały Kret potrafi wszystko zaczarować,
Biały Kret potrafi wszystko odczarować.
Kiedy czar jest dobry — wszystko pójdzie ładnie,
A gdy czar niedobry — to wszystko przepadnie.*

— No, jeszcze nie wszystko przepadło — powiedziała Elfryda, kręcąc główką, gdyż mocno nakrochmalona muślinowa chusteczka bardzo ją uwierała. — Musimy więc pójść do tej czarownicy.

— Dobrze będzie, jak jej coś zaniesiecie. Kawałek cukru sprawi jej na pewno przyjemność, tak samo jak paczuszka herbaty.

— No, za to na pewno nam nie powie „dziękuję” — rzekł Edred, spoglądając na malutkie paczuszki.

— Widać i o tym zapomniałeś — powiedziała łagodnie kucharka — że herbata kosztuje dziesięć szylingów za funt, a cukier też podskoczył do trzech i pół szylinga, odkąd trwa ta wojna.

— Jaka wojna?

— Wojna z Francuzami. Chyba nie zapomnieliście, że jesteśmy w wojnie z Bonapartem i Francuzami. Pamiętacie chyba ognisko, jakie rozpaliliśmy przy kościele, kiedy przyszła wiadomość, że dostali od nas lanie pod Trafalgarem i o śmierci tego bohaterskiego lorda Nelsona*? Przecież wasz dziadek czytał o tym wszystkim z balkonu zajazdu „Pod Świętym Jerzym”. Pamiętacie, jak wszyscy czekali, że wasz dziadek zawoła „Hurra!”, a on nie mógł tego zawołać, bo dławiła go jednocześnie duma i żal za lordem Nelsonem — świeć, Panie, nad jego duszą! — i ludzie też nie mogli wymówić słowa z tego samego powodu, więc wszyscy tylko wycierali nosy i podawali sobie ręce jakby na jakimś zwariowanym pogrzebie?

— Ależ to wspaniałe! — zawołała Elfryda. — Tylko że my nic z tego nie pamiętamy.

— To może nie pamiętacie i tego, jak w zeszłym roku przeganialiście wszystkie białe motyle, bo mówiliście, że to Francuzi w białych mundurach? A pamiętacie, jak dostaliście w skórę za znęcanie się nad niewinnymi stworzeniami, jak powiedział sam lord? Przecież ryczeliście wtedy obydwójce przez dobrą godzinę.

— Dobrze — odezwał się Edred — że przynajmniej tego nie pamiętamy.

— Boże święty! — zawołała kucharka. — Wpół do dwunastej, a ja jeszcze nawet nie rozbiłam jajek na ciasto. Idźcie już z tym waszym listem. I nic nikomu nie mówcie o tym niepamiętaniu. A wracając do domu, pójďte przez Lasek Deringa i rozmówcie się ze starą Betty. Zwracajcie się do niej jak najgrzeczniej, dajcie jej herbatę i cukier, a jeżeli wam powie, żebyście usiedli, to trzymajcie nogi skrzyżowane pod krzeselkiem. A teraz, nim wyjdziecie, dam każdemu z was stare ostrze noża. Schowajcie je do kieszeni, bo póki będziecie mieli przy sobie stal, to ona nic wam nie robi. No i koniecznie nakłońcie ją, żeby zdjęła z was urok. I musicie pilnować się, żeby się nie dowiedziała, że macie przy sobie stal; one nie lubią, kiedy ktoś jest uprzedzony, jak trzeba postępować.

Tak więc dzieci powędrowały polami na przełaj do zajazdu „Pod Świętym Jerzym”. Kwitnący groch pachniał słodko, skowronki śpiewały zachwycająco, a słońce i niebo były równie złote i błękitne, jak ubiegłego tygodnia. Tymczasem ubiegły tydzień odsunął się o całe sto lat w przyszłość. Lecz dla nich był to mimo wszystko ubiegły tydzień. Czas jest sprawą bardzo dziwną i wprowadzającą dużo zamętu, jak to sobie dzieci miały okazję powiedzieć niejedną raz podczas tej wędrówki.

Zajazd „Pod Świętym Jerzym” znaleźli w połowie drogi przez wioskę Arden. Był to imponujący, duży budynek w kształcie litery E, z mnóstwem okien i rozległym gankiem, nad którym znajdował się balkon. Swoją list wręczyli jakiejś pani w okrągłym czepcu. Pani ta siedziała i szyła coś w ładnym, sporym pokoju, gdzie pełno było butelek i małych beczulek oraz całe rzędy błyszczących, cynowych kufli i pękatych kubków, służących do mierzenia najróżniejszych napojów. Na brązowym kredensie stały całe stosy cynowych talerzy. Na podłodze leżało kilka chartów zwiniętych w kłębek przed najogromniejszym kominkiem, jaki dzieci kiedykolwiek w życiu widziały. Podały list i zaraz pospiesznie wybiegły na dwór. Przed gankiem zatrzymała się właśnie karetka pocztowa wyładowana całym mnóstwem bagaży i stajenni wyprzęgali szóstkę parujących koni. Edred czuł, że musi koniecznie obejrzeć stajnie, więc poszli za stajennymi. Okazało się, że stajnie są tak wielkie, jak sam zajazd, że wciąż wyprowadzano z nich jedne konie, a wprowadzano inne, wszędzie krążyli stajenni, niosąc to siano, to słomę, to znów wiadra, inni zaś uprząż, tak że w niezliczonych przegrodach stajni panował bezustanny ruch.

— Ile też macie tutaj koni? — spytała Elfryda, zwracając się do mężczyzny, który nie wziął udziału w radosnym chórze głosów witających dzieci. Dlatego właśnie Elfryda uznała, że jest on nowym pracownikiem. I tak się też okazało.

— Pięćdziesiąt dwa — odparł mężczyzna.

— A do czego one służą? — pytała dalej Elfryda.

* Nelson — Horatio Nelson (1758–1805), admirał angielski. W bitwie pod Trafalgarem zwyciężył flotę francusko-hiszpańską. Zmarł, śmiertelnie rany w tej bitwie.

— Jak to do czego?! Zaprzęga się je do karet pocztowych i do dyliżansów, a także jeżdżą na nich królewscy gońcy — wyjaśnił mężczyzna. — Bo jak inaczej dawalibyśmy sobie radę w tej części kraju i otrzymywali wszystkie potrzebne wiadomości, gdyby nie konie w stajniach „Pod Świętym Jerzym”?

Dzieci przypomniały sobie wówczas, że w tamtych czasach nie było jeszcze kolei żelaznej, telegrafu i telefonu.

Trudno jest zawsze pamiętać dokładnie o wszystkim, kiedy ktoś znajdzie się w innym niż swoje własne stulecie.

Edred chętnie przesiedziałby tam cały dzień, przyglądając się wszystkiemu, co się działo, i podziwiając urodę koni. Ale Elfryda zmusiła go do ruszenia w drogę.

Przypomniała mu, że przecież muszą odnaleźć czarów — nicę. I odnaleźli ją w okropnym, na pół zapadłym w ziemię domku z ogromnymi dziurami w gnijącej słomianej strzesze.

Wyglądała dokładnie tak jak czarownice na obrazkach w książkach z bajkami, ale nie miała miotły do latania. Ubrana była w zrudziałą sukienkę, która kiedyś była czarna, w brudny czepek, który kiedyś był biały, i w prążkowany szal, który być może kiedyś był purpurowy. Na bardzo brudnej drewnianej ławie siedział czarny kot, a stara kobieta siedziała na rozklekotanym stołku o trzech nogach, pochylając pomarszczoną twarz nad dropiatą kurą, którą tuliła do łona, obejmując ją delikatnie żółtymi, pomarszczonymi rękami.

Edred, ledwie dojrzał ją przez otwarte wypaczone drzwi, zatrzymał się.

— Ja tam nie wejść — oświadczył. — To nie ma sensu. Oboje wiemy bardzo dobrze, że nie zaczarowała nas. A jeżeli zachowamy się niewłaściwie, wpadniemy w tarapaty.

— Ale mamy przecież tę herbatę i cukier — powiedziała Elfryda.

— To daj jej i chodźmy stąd. Poczekam na ciebie koło drzwi.

Elfryda weszła więc do chaty i nieco przestraszonym głosem powiedziała:

— Dzień! dobry! Przyniosłam pani trochę herbaty i cukru.

Stała czekając na słowo: „Dziękuję”, bo nie byłoby grzecznie powiedzieć: „Dzień dobry” i natychmiast odejść.

Ale nie usłyszała podziękowania. Zamiast tego stara kobieta przestała głaskać kurę i powiedziała:

— A za co to? Nie zrobiłam wam przecież nic złego.

— O, nie — potwierdziła Elfryda. — Z pewnością nie chciałaby pani zrobić nam nic złego.

— W takim razie dlaczego mi to przyniosłaś?

— No... tak... po prostu, dla pani — odrzekła Elfryda. — Myślałam, że sprawi to pani przyjemność. To po prostu taki... taki podarek serca, wie pani.

Takiego właśnie określenia zwykła używać ciocia Edyta, kiedy chodziło o prezent, jaki się dostawało nie z powodu urodzin czy Bożego Narodzenia, ani też z okazji wyrwania zęba.

— Podarek serca? — zdziwiła się staruszka. — Po tak długim czasie?

Elfryda nic z tego nie rozumiała. Jakże zresztą mogła rozumieć? Przecież nawet najbardziej dorośli i rozumni z nas nie mogą pojąć, jak traktowano kobiety — i to wcale nie tak dawno — jeżeli tylko padło na nie podejrzenie, że są czarownicami. Zaczynało się zwykle od tego, że jakaś stara i doświadczona kobieta, mądrzejsza od sąsiadów, trafniej odgadywała, od czego ktoś zachorował, i dzięki temu łatwiej mogła mu pomóc i wyleczyć. Poza tym szczególna mądrość takiej kobiety nieraz pozwalała jej z góry przewidzieć, więc jakby przepowiedzieć, nadejście burzy, wichrów czy mrozów albo też nawet odkryć źródło wody przy pomocy różdżki, co stanowi umiejętność istotnie bardzo tajemniczą. Jeżeli zaś ktoś potrafi odkryć źródło wody wędrując po łące z rozwidloną gałązką w rękach, to taki ktoś najprawdopodobniej potrafi zdziałać i wiele innych rzeczy, na jakie nigdy nie wpadłby żaden z tępych sąsiadów. A za tych dawnych dni — które w rzeczywistości nie były znowu tak bardzo dawne — zupełnie wystarczyło, że ktoś był znacznie mądrzejszy od swych sąsiadów.

Kobieta taka stawiała się niebawem znana jako guślarka, a od guślarki do czarownicy już tylko jeden krok.

Elfryda, nie rozumiejąc tego wszystkiego i nie mając pojęcia, jak się zachować, powiedziała na chybił trafił:

— Ach, czy pani kura choruje?

— Poprawi się — odparła staruszka — poprawi. Zdrowie już weszło w nią z moich rąk.

Po tych słowach wstała i usadowiła kurę w piecu, a ta z głośnym gdakaniem zaczęła grzebać w popiele ku niezadowoleniu czarnego kota.

Raptem stara kobieta położyła obie ręce na ramionach Elfrydy.

— A teraz zdrowie z moich rąk spłynie na ciebie — rzekła. — Przyniosłaś mi podarunek serca. A ja już więcej niż przez pięćdziesiąt lat nie dostawałam innych podarunków, jak tylko dawane ze strachu czy dla opłacenia moich zdolności: albo żebym rzuciła na kogoś urok, albo żebym zdjęła z kogoś urok. Ale ty przyniosłaś mi podarunek serca, więc powiem ci, że spełni się wszystko, czego twoje serce pragnie. Przez całe życie będziesz zawsze kochana i otaczana miłością. To, co zaginęło, odnajdzie się. To, co się nie stało, nastąpi. Twoim udziałem będą dobra tego świata i twoim udziałem będą dary serca. Wiem... widzę... widzę przed tobą same dobre i piękne rzeczy, twoja przyszłość będzie czysta i pogodna jak twoje słodkie serduszko.

Starowina zdjęła ręce z ramiona Elfrydy. Dziewczynka, bardzo przejęta pochlebnyymi dla siebie słowami, na które, jak sądziła, wcale nie zasłużyła, stała nieruchomo, nie wiedząc, ani co mówić, ani jak się zachować. Zbierało jej się na płacz. — Ja te rzeczy przyniosłam — odezwała się wreszcie — bo tak mi kazała kucharka.

— Kucharka nie dała ci tego czulego serduszka, które sprawia, że chciałabyś teraz zapłakać nade mną — odparła czarownica.

Usiadła. Jej plecy wygięły się w kabłąk, a jej słowa brzmiały jak monotony śpiew.

— Wiem, wiem — mówiła — wiem bardzo wiele rzeczy. Sama, samiuteńka w dni długie jak życie i w noce długie jak śmierć — nauczyłam się widzieć. Jak koty widzą w ciemności, tak ja widzę poprzez dni, które były, i poprzez dni, które będą. Wiem, że wcale nie ma cię tu i wcale nie żyjesz teraz. Powrócisz tam, skąd przyszedłaś, i w naszych czasach, które nie są twoimi czasami, nie zostanie po tobie nawet ślad. Ale moje błogosławieństwo czuwać będzie nad tobą w twoich własnych czasach i w twoim własnym domu, ponieważ przyniosłaś podarek serca biednej, starej, mądrej kobiecie z Arden.

— A czy mogłabym coś dla pani zrobić? — spytała z wielkim zatroskaniem Elfryda, gdyż głos staruszki był doprawdy pełen żalości.

— Pocałuj mnie — odparła stara kobieta — pocałuj mnie twoimi małymi usteczkami dziecka, które cofnęło się o sto lat w czasie, aby to uczynić.

Elfryda wcale nie miała ochoty pocałować tej szarej, pomarszczonej twarzy, lecz serce nakazywało jej serdeczność i czułość i dziewczynka posłuchała swego serca.

— Ach! — zawołała stara mędrzyni. — Teraz już widzę wszystko! O, nigdy jeszcze nie miałam takiego widzenia! Nigdy i nigdzie nie było czegoś takiego. Widzę olbrzymie kule światła, płonące jak słońce na ulicach miast, gdzie teraz mrok rozjaśniają tylko małe lampki olejne i latarki oświetlane łożówką. Widzę drogi żelazne, po których płomienne smoki ciągną ogromne i wspaniałe pojazdy, gdzie równie wygodnie podróżują bogaci, jak i biedni. Głosy ludzkie, przemawiające w Anglii, słychać będzie aż we Francji, a nawet i dalej. Co więcej, głosy ludzi zmarłych utrzymywane będą przy życiu w specjalnych skrzynkach i przemawiać będą, kiedy tylko słuchać ich zechcą ci, co będą żyli. Z chat wiejskich znikną krosna ręczne, a tkacze pracować będą w pałacach pełnych światła płynącego przez tysiące okien. Słońce zstępować będzie na ziemię, by tworzyć ludzkie portrety podobniejsze do pierwowzorów, niż zdoła to uczynić jakikolwiek malarz. W głębinach mórz statki pływają będą niczym węgorze, a nad chmurami przelatują będą statki większe od największych ptaków. Chleb, co kosztuje teraz prawie dwa szylingi, będzie tańszy niż pół szylinga, a zboże i mięso przeznaczone dla

wyżywienia nas przywożone będzie z krajów zamorskich. Każde dziecko zdolne do nauki chodzić będzie do szkoły, a...

— Cicho bądź, gaduło! — rozległ się nagle u drzwi czyjś surowy głos.

Elfryda odwróciła się w tym kierunku i zobaczyła dziadka, lorda Ardena. Wysoki, siwy, wyprostowany, stał w drzwiach wsparty na lasce ze złotą gałką, a obok niego kulił się Edred, bardzo mały i unikający jego spojrzenia.

Ale stara czarownica zdawała się wcale ich nie widzieć. Jej oczy wzniesione w górę wyglądały jak oczy niewidomej. Musiała jednak usłyszeć słowa, gdyż...

— Biada Ardenom! — zawołała. — Biada rodowi i zamczysku. Dom twój, panie, będzie gniazdem pajaków, a piękne twe meble staną się pastwą myszy. Waszego złota ubywać będzie z każdym rokiem, a posiadłości twoje popadać będą w coraz większą ruinę, aż wreszcie ani jeden zagon nie pozostanie w rękach twojego rodu.

Lord Arden wzruszył ramionami.

— Takie bajeczki — rzekł — nadają się tylko do straszenia dzieci. Powiedz mi raczej, jeśli chcesz, abym ci uwierzył, co wydarzy się jutro.

— Jutro — odparła starucha — Francuzi wylądują w zatoce Lymchurch.

Lord Arden roześmiał się.

— I wskażę ci, panie, znak... wskażę trzy znaki — ciągnęła kobieta coraz słabszym głosem. Jest bowiem rzeczą bardzo wyczerpującą wpatrywanie się w przyszłość, nawet jeśli się jest oświeconym dzięki pocałunkowi kogoś, kto w tej przyszłości już był. — Oto na progu swego zamku ujrzysz, panie, wchodząc, Białego Kreta, który jest godłem Ardenów.

— Ale to będzie dopiero jeden znak — rzekł drwiąco starszy pan.

— A drugim znakiem — odparła starowina — będzie to samo godło twojego rodu na twoim własnym fotelu, w twym własnym gabinecie, panie.

— To jest nawet dosyć prawdopodobne — odparł szyderczo lord Arden.

— A znakiem trzecim — zakończyła kobieta — będzie godło twojego rodu w ramionach twego dziecka.

Z tymi słowy odwróciła się i sięgnęła po kurę siedzącą w popiele komina.

Lord Arden zabrał Edreda i Elfrydę, ujmując każde z nich za rękę, a po drodze bardzo surowo skarcił nieposłuszne dzieci, które wędrują do chat obrzydliwych czarownic. Dzieci zaś nie mogły nic powiedzieć na swoją obronę, ponieważ, oczywiście, nie mogły nawet wspomnieć, że posłała je tam kucharka.

— Dziś na obiad dostaniecie tylko chleb i wodę — powiedział lord Arden. — To nauczy was, jak należy się zachowywać.

— Ach, dziaduniu — zawołała Elfryda chwytając go za rękę — nie bądź dla nas taki niedobry! Pomyśl, przecież sam też byłeś kiedyś małym chłopcem. Jestem pewna, że lubiłeś wtedy przyglądać się czarownicom. Powiedz, czy tak nie było?

Lord Arden obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, ale po chwili roześmiał się.

— Zuchwała z ciebie dziewczynka, trzeba przyznać — powiedział. — Ale rzeczywiście pamiętam, jak kiedyś zobaczyłem pławienie czarownicy w pobliżu Newchurch i, prawdę mówiąc, wymknąłem się memu guwernerowi, żeby się temu przyjrzeć.

— No więc sam widzisz, dziaduniu — starała się go ułagodzić Elfryda — że nic złego nie mieliśmy na myśli. Po prostu zachowaliśmy się tak, jak ty, dziadziu, wtedy. To może obejdzie się już bez tego chleba z wodą, dobrze? Darujesz nam tym razem? Zwłaszcza że chleb tak podrożał.

Lord Arden znów zachichotał.

— Oho, ta mała biała mysz używa języka, jakim nikt nie ośmielił się przemawiać do mnie od czasu, kiedy sam nosiłem dziecinne majteczki — powiedział. — No dobrze. Na razie nie będziemy więcej o tym mówić.

Edred zaś, który początkowo uważał, że Elfryda zachowuje się jak skończona idiotka, doszedł nagle do zupełnie innego wniosku.,

Tak więc w dobrym nastroju ruszyli na przełaj polami w stronę zamku Arden. Zamek ten zdawał się teraz mieć wygląd o wiele bardziej imponujący, niż kiedy dzieci ujrzały go po raz pierwszy, no i był znacznie staranniej utrzymany. A kiedy podeszli do wrót, spostrzegli, że na progu siedzi Biały Kret.

— Och! — zawołała Elfryda, a Kret znikł błyskawicznie, jakby nagle zapadł się w ziemię.

— Ee — mruknął lord Arden. — Na świecie pełno jest białych kretów.

Ale kiedy ujrzał ponownie Białego Kreta siedzącego na jego ulubionym fotelu w gabinecie, przyznał, że jest to zjawisko rzeczywiście niezwykle.

Elfryda nachyliła się i wyciągnęła ramiona. Była niezmiernie uradowana ujrzawszy Kreta. Albowiem odkąd wraz ze swym bratem znalazła się w tych osobliwych czasach, czuła, iż byłoby dla nich rzeczą najlepiej ze wszystkich krzepiącą mieć Kreta w pobliżu, na każde zawołanie — tego Kreta, który wszystko rozumiał, we wszystkim potrafił pomóc i zawsze na wszystko znajdował radę. No i oczywiście dlatego, że on jeden mógł przenieść ich z powrotem w stulecie, do którego naprawdę należeli.

Biały Kret podbiegł do niej i podskoczył, Elfryda zaś chwyciła go obu rękoma i mocno przytuliła do siebie.

— Pozostań ze mną — szepnęła mu do ucha.

— To już przechodzi wszelkie pojęcie! — wykrzyknął lord Arden.

— Więc teraz — zwrócił się Edred do lorda Ardena — dziadek przekonał się na własne oczy.

ROZDZIAŁ IV

ŁADOWANIE FRANCUZÓW

Zaraz potem zawołano ich na obiad. Dzieci musiały siedzieć bardzo prosto i jeść bardzo powoli, a ich szklanki napełnione były piwem zamiast wody. Kiedy zaś poprosiły o wodę, lady Arden spytała, ile razy jeszcze trzeba im tłumaczyć, że woda jest niezdrowa. Lord Arden prawie się nie odzywał. Na samym początku obiadu opowiedział żonie o swojej rozmowie z wioskową guślarką, o lądowaniu Francuzów i o trzech znakach. Lady Arden westchnęła tylko: „Boże, zmiłuj się nad nami! Co też ty mówisz, mężu?”, po czym najspokojniej w świetle zabrała się do krojenia mięsa na swoim talerzu. Później jednak, gdy zdjęto obrus ze stołu i postawiono karafki z winem obok salaterek wypełnionych suszonymi śliwkami i konfiturami z gruszek, lord Arden oświadczył:

— Dziś ograniczę się do trzech kieliszków. Jak ci dobrze wiadomo, nie jestem przesądny. Ale fakty są faktami. Coś ty zrobiła, panienko, z tym Białym Kretem?

Elfryda umieściła go w dolnej szufladzie komódki stojącej w jej pokoju (kucharka powiedziała jej, który to pokój) i teraz nieśmiało przyznała się do tego.

— Moim zdaniem — rzekła lady Arden, która zdawała się odgadywać poglądy swego męża i zaraz je sobie przyswajając (bardzo to cenna właściwość) — moim zdaniem jest to wyraźne ostrzeżenie. W zamian, być może, za herbatę i cukier.

— Aha! — przytaknął lord Arden. — W każdym razie, czy jest to ostrzeżenie, czy nie, dziś jeszcze każdy mężczyzna w naszej wsi otrzyma broń i stanie do przeglądu, bo inaczej gorzko tego pożałuje. Nie pozwolę, aby Francuzi lądowali ot tak sobie na naszym wybrzeżu, bez pytania i nie prosząc o zezwolenie, i aby później każdy mógł powiedzieć: „No i co, Arden? Byłeś należycie ostrzeżony, ale zlekceważyłeś to wskutek swojej zarozumiałości”.

— Tak, oczywiście — przyznała lady Arden — to byłoby bardzo nieprzyjemne.

Lorda Ardena umocniło w jego postanowieniu przybycie gońca na straszliwie zgrzanym i spienionym koniu.

— Francuzi nadpływają! — zawołał, z trudem chwyając oddech. Nie potrafił jednak wyjaśnić, skąd o tym wie. — Wszyscy tak mówią — to jedyne, co można było z niego wydobyć. I wreszcie: — Kazano mi zawiadomić waszą lordowską mość i spytać, co mają robić mieszkańcy wioski.

Żyjemy obecnie w zupełnym bezpieczeństwie i niczego nie musimy się obawiać. Nawet kiedy toczymy wojny, nie dzieje się to w naszym własnym kraju. Policja strzeże nas przed zbójcami i włamywaczami i nawet piorun nie może w nas uderzyć dzięki piorunochronom. Toteż niełatwo nam pojąć obłędne przerażenie panujące za owych czasów, kiedy to dzień po dniu każdy mężczyzna, kobieta i dziecko drżeli ze strachu, że mogą „nadejść Francuzi” — pod przewodem Napoleona. Napoleon to dziś dla nas niski osobnik w stosowanym kapeluszu, zamknięty w podręcznikach historii. Dla tych jednak, którzy żyli w Anglii jeszcze za jego życia, był on „postrachem krążącym nocą”, który sprawiał, że dzieci bały się iść spać, a silni, dorośli mężczyźni sypiali w ubraniu i w butach, kładąc koło poduszki, szablę i pistolety, by w każdej chwili móc pochwycić je do ręki.

Edred i Elfryda zaczęli to powoli rozumieć, kiedy zobaczyli, jak przepowiednie wiejskiej guślarki, potwierdzone przez pogłoski obiegające niczym szczury każdą chałupę we wsi, pobudziły ludność do najdzikszej aktywności.

Lord Arden tak był zajęty wydawaniem rozkazów, a lady Arden tak pochłonięta przekazywaniem jego rozkazów służbie żeńskiej, że dzieci mogły do woli wszystkiemu się przyglądać i przysłuchiwać. Pobiegły więc do wioski i ujrzały tam mnóstwo osobliwych

rzeczy. Ujrzały mężczyzn ostrzających na osełkach stare szable i innych, którzy, nie mając szabel, ostrzyli sierpy, siekiery, kosy i tasaki. Inni znów zabijali deskami okna i kopali doły w ogródkach, w których chowali pieniądze i srebrne łyżki czy inne cenne przedmioty. Nikt nie wiedział, skąd wzięły się owe pogłoski, ale wszyscy w nie uwierzyli.

Dzieci mogły wbiegać swobodnie do każdej chaty, a potem pędzić do następnej. Odnosiły wrażenie, że wszyscy je tu znają, cieszą się na ich widok i przyjaźnie witają, ale nikt nie miał czasu z nimi rozmawiać. Toteż wkrótce wyzbyły się obawy, jaką początkowo żywiły, że ktoś prędzej czy później wykryje, iż nie są tymi dziećmi, za jakie ich wszyscy biorą. Kobiety były całkowicie pochłonięte czyszczeniem i cerowaniem starych szkarłatnych mundurów i obcisłych, białych spodni, a wzdłuż skalistej skarpy ciągnącej się nad brzegiem morskim ustawiono posterunki, które za pomocą lunet bacznie obserwowały morze. Grupy mężczyzn krążyły po całym zboczach, dźwigając na plecach olbrzymie pęki chrustu i zeschniętych gałęzi kolczastego ostrokrzewu; wszystko to układano w wysokie stosy, które można było w każdej chwili podpalić po upewnieniu się, iż Francuzi rzeczywiście usiłują wylądować.

Elfryda żałowała teraz bardziej niż kiedykolwiek, że tak mało wie z tego, co jest zawarte w późniejszych rozdziałach podręcznika historii. Czy Napoleon wylądował naprawdę w Anglii siedemnastego czerwca 1807? W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała, że w podręczniku była mowa o jakiejś inwazji Francuzów, ale nie pamiętała, co właściwie oznacza słowo inwazja i gdzie ona miała miejsce. W rezultacie ani Elfryda, ani Edred nie wiedzieli ani trochę więcej niż wszyscy inni, co naprawdę miało się zdarzyć. Biały Kret podczas króciutkiej rozmowy, jaką Elfryda odbyła z nim przed obiadem, przyrzekł zjawić się, gdyby go przywołała. „Oczywiście wierszykiem” — dodał związując się w samym rogu szuflady komódkki i słowa te były dla niej ogromnym pokrzepieniem, lecz potem, sięgając po kapturek, stwierdziła, iż dolna szuflada jest pusta. Toteż jakkolwiek na równi z Edredem interesowała się tym wszystkim, co się działo, była to jednak ciekawość połowiczna. Druga połowa jej umysłu zajęta była bowiem próbą ułożenia wierszyka, tak żeby żadne niebezpieczeństwo, które mogło nagle wybuchnąć, nie zaskoczyło jej bezsilnej z powodu braku poetyckiego utworu.

Toteż tym razem Edred okazał się bardziej spostrzegawczy od swej siostry i kiedy zauważył, że ludzie układają stos wcale nie w tym miejscu, które lord Arden uznał za najodpowiedniejsze, zaczął się zastanawiać, dlaczego tak robią.

W końcu, widząc człowieka przechodzącego obok miejsca obranego przez lorda Ardena, zagadnął go o przyczynę tej zmiany. Ku jego zdziwieniu człowiek ów natychmiast szturchnął go w bok bardzo kościstym palcem i powiedział:

— Dobre masz oczko, paniczku, nie da się zaprzeczyć! Ale jesteś przecież małym dżentelmenem, tak samo zresztą jak i panienczka. Żadne z was nigdy nie wydało nas Straży Przybrzeżnej, choćbyście nie wiem co zauważyli.

— Oczywiście — odparła przezornie Elfryda — nigdy nie donieśliśmy na nikogo.

— To może byście mieli ochotę zejść teraz na dół? — spytał mężczyzna. Był to człowiek krzepki i ogorzały i wyglądał na marynarza. Na tyle głowy sterczał mu krótki warkoczyk podobny do porcelanowego uchwytu japońskiego imbryczka.

— O, bardzo chętnie! — zawołała Elfryda, a Edred też nie powiedział: „Nie”.

— W takim razie poczekajcie tylko, aż zniknę wam z oczu, i pójdźcie tą samą drogą, co ja. Idźcie tak, jakbyście na przykład biegli z siatką na motyle: trochę w tę stronę, a trochę w tę. Rozumiecie? — wyjaśnił mężczyzna. I dzieci zastosowały się do jego wskazań.

Niestety, bardzo niewiele dzieci za naszych nieciekawych czasów miało okazję znaleźć się kiedykolwiek w jaskini przemytników. Toteż dla Edreda i Elfrydy było to równie niezwykłym wydarzeniem, jakim byłoby dla was i dla mnie. Kiedy wreszcie dognali ogorzałego mężczyznę, ten siedział w środku kępy janowca.

— Przeskoczcie przez te krzaki — powiedział.

Dzieci przeskoczyły i zaczęły przeciskać się krętą, wąziutką króliczą ścieżką, aż wreszcie znalazły się u boku mężczyzny.

Ten zaś uniósł w górę olbrzymi kłęb janowca i jeżyn, które wyglądały tak, jak gdyby wyrosły i uschły dokładnie w tym miejscu, gdzie się znajdowały, a pod spodem ukazał się otwór i schodki wiodące w głąb ziemi.

Ciemno tam było, choć oko wykol, lecz Elfryda bez wahania zastosowała się do wskazań mężczyzny i zaczęła powoli schodzić w dół. A jeśli Edred zawahał się, to tylko przez chwilę.

Kiedy dzieci znalazły się w połowie schodków, ogorzały mężczyzna również wszedł do otworu i na powrót zasłonił wylot janowcem i jeżynami, po czym zapalił latarnię. Wewnątrz latarni umieszczona była łożówka, która kopciła i wydawała naprawdę okropny zapach. Czym jednak są najohydniejsze choćby zapachy, nawet gorącego łożu czy przegrzanej blachy latarni, w porównaniu z cudowną okazją obejrzenia wnętrza jaskini przemytników? Było to jakby spełnienie najgorętszych marzeń obojga dzieci — a może i więcej.

Wolno schodzili w dół, podczas gdy żółty płomyk latarni rzucał złociste blaski, to znów ciemne jak atrament cienie na gładką biel kredowych ścian wąskiego przejścia. Szli po wykutych w skale schodkach, aż doszli do ciężkich, prymitywnych drzwi z olbrzymim zamkiem otwieranym kluczem wielkości klucza kościelnego. A gdy drzwi otwały się ze zgrzytem, oczom ich ukazała się olbrzymia jaskinia. Była tak wysoka, że nie mogli dojrzeć jej stropu — widzieli nad sobą samą tylko ciemność. Po przeciwnej stronie, z rozpadliny u stóp kredowej ściany, wytryskał strumień wody, który gładkim kanałem płynął do samego środka jaskini, a następnie po ostrej pochyłości, przypominającej niewielki kolejowy wykop, spadał w dół i znikał pod niskim łukiem.

— To znaczy, że w każdym razie miałoby się wodę, gdyby trzeba było wytrzymać obleżenie — orzekł Edred.

Pod ścianami olbrzymiej jaskini, na ubitym piaszczystym jej dnie, stało mnóstwo beczek i leżały całe bele materiałów. Bliżej środka znajdował się stół i ławy, a wszystko to wykute w masywnej kredzie. W jednej ze ścian był otwór o nieregularnych brzegach, częściowo zasypany zwałami spadających kamieni. Mimo to można było zobaczyć przez to okienko tajemniczo połyskujące o zmierzchu morze i gwiazdy rozbłyskujące nad nim, jedna po drugiej.

Gdy podchodziło się do okienka, czuło się nagle dzikie podmuchy wiatru, który dał z siłą atlety, usiłując obalić każdego, kto stanął przy otworze, huczał w uszach i zmuszał do cofnięcia się w głąb wielkiej jaskini, zapierając oddech.

— Tej nocy będzie na morzu prawie sztorm — powiedział przemytnik, gdyż niewątpliwie był to przemytnik.

— Czy myśli pan — spytał Edred — że mimo to Francuzi wylądują jutro w zatoce Lymchurch?

Przy świetle latarni widać było, jak przemytnik znacząco przymrużył jedno oko.

— Wiem, że wy dwoje potraficie dochować tajemnicy — powiedział. — Otóż Francuzi nie wylądują. To my wylądujemy, a wylądujemy tutaj, nie w zatoce. A to, co wylądujemy na brzeg, to będzie tęga kropla prawdziwego koniaku i parę łokci jedwabiu czy może koronek. Nie mam pojęcia, kto rozpuścił wiadomość o jutrzejszym najeździe Francuzów, ale możecie mi wierzyć, że nie zrobił tego żaden przyjaciel celników.

— A, już rozumiem — zawołała Elfryda. — A czy...

— Najgorsze to ta obstawa całego wybrzeża, jaką zarządzono. Na szczęście dla nas do służby tej zgłosili się na ochotnika wszyscy nasi ludzie. A my już potrafimy rozpoznać swoich przyjaciół.

— Czy to znaczy — zapytał Edred — że możecie przyjaźnić się z jakimś Francuzem, chociaż jesteśmy z nimi w wojnie?

— Rzeczy tak się mają, paniczu — wyjaśnił przemytnik, siadając na beczulce stojącej do góry dnem, przez co stanowiła wygodne siedzenie. — Nie ma żadnych waśni między ludźmi wolnego handlu, ani tutaj, ani tam. Człowiek musi zarobić na życie, prawda? Toteż zawód człowieka ma pierwszeństwo, bo dzięki niemu zdobywa się chleb. I dlatego ci ludziska, co się spotykają z nami na środku kanału i przekazują nam towar, są po pierwsze handlarzami, a dopiero potem Francuzami. Tak samo jak my jesteśmy przede wszystkim kupcami. Między nami nie ma żadnych waśni. Wojnę prowadzimy z francuskim wojskiem, a nie z uczciwymi francuskimi kupcami, którzy znajdują się w tej samej łodzi, co my.

— To znaczy, że ktoś po prostu rozpuścił plotkę o najeździe Napoleona, żeby skupić uwagę wszystkich na zatoce, podczas kiedy wy tutaj będziecie zajmować się przemytem — powiedział Edred.

— Nie posuwałbym się aż tak daleko, paniczu — odparł mężczyzna — ale gdyby zdarzyło się coś takiego, byłoby to zrządzenie Opatrzności, sprzyjające nam, ludziom wolnego handlu, żyjącym z rzetelnej pracy, wymagającej prawdziwego ryzyka. Tyle tylko mogę powiedzieć, że sądząc z tego, co działo się dotąd, wam obojgu nic, ale to nic nie grozi. Włos wam z głowy nie spadnie.

Dzieci chętnie dałyby wiele za to, by dowiedzieć się, co takiego „działo się dotąd”. Nigdy jednak nie zdołały się tego dowiedzieć. I nawet teraz dziwią się czasami, co takiego Edred i Elfryda z owych dni uczynili dla pozyskania sobie zaufania tego dumnego i pewnego siebie przemytnika. Oboje też przypuszczają — a pozwolę sobie dodać, że mają rację — iż musiało to być coś naprawdę niezwykłego, choć uczynili to raczej bezwiednie.

Po gruntownym obejrzeniu jaskini dzieci z zadowoleniem wróciły na zamek Arden, ponieważ było już ciemno, czas pójścia do łóżka dawno już minął i w ogóle dzień był doprawdy dość wyczerpujący.

Surowym tonem wyprawiła ich do łóżek osobista pokojowa lady Arden, osoba tak nieprzyjemna, szorstka i odrażająca, że po tym pierwszym z nią zetknięciu dzieci marzyły, by więcej jej nie zobaczyć. Mimo to zasnęły natychmiast jak małe szczęśliwe susły, owinąwszy się ręcznie tkanymi lnianymi kołdrami, pachnącymi lawendą wyrosłą w zamkowym ogrodzie i wypełnionymi pierzem gęsi spożytych przy zamkowym stole.

Elfryda raz tylko zbudziła się w nocy i spostrzegła, że pokój wypełnia czerwona luna, a wyrzawszy przez okno, zobaczyła, że rozpalono jedno z sygnałowych ognisk, płomień zaś i dym sięgają niemal ciemnego letniego nieba, unoszone przez wiatr, który wył, jęczał i wstrząsał szybami okien i teraz, w przekonaniu Elfrydy, miał już siłę dość silnego sztormu. Stos sygnałowy płonął, a zatem. Francuzi zbliżają się. Lecz Elfryda ziewnęła tylko i wróciła do łóżka. Była zbyt senna, aby wierzyć w Napoleona. Ale w tamtych czasach, przeszło sto lat temu, setki małych dzieci drżały i zapłakiwały się w swych łóżeczkach, będąc zupełnie pewne, że wreszcie sprawdzą się wszystkie straszliwe przepowiednie matek i nianiek i Napoleon, w całej swojej tajemniczej, nieogarnionej grozie, dopadnie ich rzeczywiście i porwie.

Był już szary poranek, kiedy wiatr, znużony głupim oporem stawianym przez oprawne w ołów szyby, skupił nagle wszystkie swe siły, wyrwał okno z zawiasów, przepchnął je poprzez framugę, wtargnął do pokoju, zdarł z łóżek kołdry niczym mokre żagle i obudził dzieci tak gruntownie, że znikła wszelka nadzieja, by jeszcze na chwilę się zdrzemnęły.

Wstały więc i ubrały się. Cały dom był zupełnie pusty, ale drzwi frontowe stały otworem. Po tej stronie panowała cisza, ale skoro tylko dzieci wyszły spoza osłony murów zamkowych, wiatr rzucił się na nie, bił, szarpał, popychał we wszystkie strony, tak że ledwo mogły utrzymać się na nogach i każdy krok wymagał olbrzymiego wysiłku. Mimo to udało im się jakoś dobrać do nadmorskiej skały, gdzie stał zwarty, czarny tłum ludzi — tłum, który z bliska, kiedy można było lepiej mu się przyjrzeć przy szarym świetle poranka, nie był w gruncie rzeczy czarny, lecz raczej jaskrawoczerwony, biały i niebieski, czyli o barwach

angielskiej flagi, ponieważ składał się z uzbrojonych mężczyzn ubranych w naprędce uszyte mundury, których stary lord Arden przeciwzył poprzedniego wieczoru, a następnie zlustrował. Wszyscy wyteżali wzrok w stronę morza.

Morze wyglądało niczym wewnątrz srebrzyście pręgowanej muszli ostrygi, niebo nad nim było popielate jak skrzydło mewy, a między powierzchnią morza i niebem widniał statek, kierujący się prosto na skały leżące o sto stóp poniżej.

— To francuski okręt, sądząc po osprzęcie — powiedział ktoś.

— Z pewnością pierwszy z całej floty, zwiadowca — dodał ktoś inny. — A Bóg zesłał sztorm, by ją zniszczyć, jak za czasów królowej Elżbiety* sztorm zniszczył przekłętą hiszpańską Armadę.

Statek był coraz bliżej.

— To jest „Bonne Esperance” — szepnął Elfrydzie do ucha poznany wczoraj przemytnik, a mówił tak cicho, że dziewczynka ledwo go słyszała wśród wycia wichury. — Stara Betty przepowiedziała prawdę: Francuzi wylądują tu dzisiaj, ale wylądują w postaci nieboszczyków. A cały nasz ładunek — bo oni przez ten sztorm rozminęli się z naszym statkiem — rozwali się w naszych oczach doszczętnie. Marna to rzecz być uczciwym kupcem.

Mężczyźni w swych dziwacznych mundurach, dźwigający najdziwniejsze rodzaje broni, stłoczyli się na krawędzi skały i wpatrywali się w zbliżający się coraz bardziej statek.

— Czy oni muszą koniecznie się rozbić? — spytała szeptem Elfryda, chwytając starego lorda Ardena za rękę.

— Oczywiście! Nie ma dla nich żadnej nadziei, moje dziecko. Wracaj lepiej do domu i połóż się — odparł lord. Nie miało żadnego znaczenia, że wszystko to zdarzyło się sto lat temu. Oto zimne, rozszalałe morze biło wściekle o skalisty brzeg u podnóża skarpy. Elfryda nie miała odwagi zostać i patrzeć, jak statek roztrzaska się o występy skalne niczym jej rzeźbione pudełko do szycia, które rozbiło się, kiedy upuściła je na ceglana podłogę w kuchni. Nie mogła nawet znieść samej myśli, że taka rzecz może nastąpić. Układanie wierszy było rzeczą trudną. Ale pozostanie tutaj i patrzeć, jak rozbija się statek — statek, na którym znajdowali się przecież ludzie — było czymś jeszcze trudniejszym.

*Wyjdź spod ziemi, Biały Krecie,
O to, Krecie, tak proszę cię...*

— wymówiła cichutko. Dwuwiersz ten nie odznaczał się może wybitnymi walorami poetyckimi, ale za to dokładnie wyrażał jej uczucia i w każdym razie spełnił swoje zadanie. Biały Kret otarł się o jej stopy, jeszcze zanim dokończyła zaklęcia. Elfryda chwyciła go w ramiona.

— Ach, co mamy teraz zrobić?

— Wracać do domu — odparł Biały Kret — na zamek. Teraz odnajdziecie właściwe drzwi.

Dzieci zawróciły więc w stronę zamku. A w chwili kiedy już ruszały w drogę, rozległ się donośny trzask, pomieszany z odgłosem bijących fal i hukiem wichury, tylko znacznie od nich głośniejszy, przypominający odgłos, jaki słyhać, kiedy pies miażdży kości pozostałe po kurczaku podanym na obiad, gdy chwyci je wszystkie naraz do pyska. Potem słyhać było jękliwe westchnienie, jakie wydał tłum zebrany na szczycie skały, gdzie całą noc czekali na lądowanie Francuzów, i wreszcie zabrzmiał głos lorda Ardena:

* Królowa Elżbieta — Elżbieta I (1533–1603), królowa Anglii i Irlandii, córka Henryka VIII i Anny Boleyn. Po zwycięstwie w 1588 r. nad flotą hiszpańską, tzw. Niezwyciężoną Armadą, wysłaną na podbój Anglii, zapewniła marynarce angielskiej panowanie na morzach świata.

— Francuzi wylądowali. Czarownica powiedziała prawdę. Francuzi wylądowali — niech ich Bóg ma w swojej opiece.

Dzieci biegły w kierunku domu, lecz teraz były pewne, że każdy z mężczyzn w tym tłumie będzie obecnie gotów narazić życie, by wyratować z morza tych samych Francuzów, na których czekali całą noc z zamiarem pozabijania ich szablami, sierpami, kosami i tasakami. Ludzie bowiem to dziwne stworzenia!

Wydostać się z tego wszystkiego, powrócić do bezpiecznego, spokojnego życia bez roztrzaskanych statków i czarownic — oto wszystko, czego pragnęła Elfryda. Trzymając w jednej ręce Kreta, a drugą ciągnąc za sobą Edreda, dobiegła do zamku, przeszła przez otwarte frontowe drzwi, a potem ruszyła po schodach na górę i skierowała się prosto do drzwi na poddaszu. Wiedziała, że tym razem będą to drzwi właściwe, i były.

Znaleźli się na rozległym poddaszu z dobrze sobie znanym belkowaniem i dwoma długimi szeregami cudownych skrzyń pod spadzistym dachem. A z chwilą kiedy zamknęli za sobą drzwi, wściekły odgłos wichury ucichł, jak zacicha szum gazu, kiedy zamknie się kurek. Zaraz też złociste światło przeniknęło przez szpary między dachówkami i z zewnątrz doszedł ich odgłos stapania gołębic nówek, szelest skrzydeł i gruchanie.

Na podłodze poddasza leżały ich własne ubrania.

— Przebierajcie się — powiedział Biały Kret trochę zdyszonym głosem, gdyż Elfryda przez całą drogę przyciskała go mocno do siebie i niosła z wielkim pośpiechem.

Kiedy zaś zaczęli wkładać na siebie swoje własne ubrania, wydało im się, że gołębie odgłosy stają się coraz bliższe i bliższe i że w jakiś sposób pomogły im pozbyć się kłujących strojów z 1807 roku i przywdziać z powrotem wygodne marynarskie ubrania z roku 1907.

— Czy znaleźliście skarb? — spytał Kret, a dzieci odpowiedziały:

— Ach, nie! W ogóle ani przez chwilę nie pomyśleliśmy o nim.

— To nie ma żadnego znaczenia — odpowiedział Kret. — Skarbu i tak tam nie było.

— Tam? — zawołała Elfryda. — A więc jesteśmy t u t a j ? Chcę powiedzieć, że jesteśmy z powrotem w t e r a z ? Nie jesteśmy już w kiedyś?

— Oczywiście, że jesteście w t e r a z — odrzekł Kret — i dostaniecie za swoje! Pani Honeysett szukała was po całej okolicy. Następnym razem, kiedy zechce się wam wałęsać po dawnych, starożytnych czasach, cofnijcie lepiej zegar. Młodzież nie wie bardzo wielu rzeczy. Gońcie teraz na dół i wysłuchajcie bury. Do widzenia.

To rzekłszy, Biały Kret wśliznął się pod jedną ze skrzyń pozostawiając Edreda i Elfrydę przyglądających się sobie nawzajem na środku poddasza pomiędzy długimi szeregami skrzyń.

— Czy lubisz przygody? — spytał z namysłem Edred.

— Tak — odparła zdecydowanie Elfryda. — I ty też. A teraz chodźmy na dół.

ROZDZIAŁ V

ROZBÓJNIK I...

Obydwoje mówili tak, jak czuli. A jednak nie ma, oczywiście, sensu przyrzekać, że się czegoś nigdy nie zrobi, bo naturalnie zawsze trzeba coś zrobić, choćby to było tylko zwyczajne odejmowanie czy jedzenie sadzonych jajek i kielbasy. Rozumiecie więc, naturalnie, że dzieci szczerze i stanowczo postanowiły sobie, że nigdy już nie zrobią nic takiego, co mogłoby sprawić jakąkolwiek przykrość pani Honeyssett. Aby zaś stało się to możliwe, należało przede wszystkim wynaleźć sposób na cofnięcie wskazówek zegara. Żując powoli swą kielbasę i czując — a odczuwała to zawsze, kiedy jadła powoli — że robi coś bardzo godnego i powinna za to otrzymać jakąś nagrodę czy medal, Elfryda marzyła tylko o tym, aby w chwili kiedy skończy się śniadanie, miała już w głowie ułożony zawczasu wierszyk. Marzenie to istotnie się spełniło. Umysł dziewczynki w swoim, by tak rzec, tajemnym zakątku rzeczywiście coś przygotował. A w tym czasie, kiedy wierszyk powstawał w sekretnej części jej umysłu, w części jawnej, czyli jakby we frontowym ogródku, Elfryda ubolewała, że nie urodziła się poetką.

— Jak ten poeta — powiedziała z namysłem — który ułożył wierszyk o ukochanej złotej rybce wrzuconej do wanny pełnej kotów.

— Tak — przyznał Edred — albo nawet jak Szekspir, tylko że utwory Szekspira są zawsze takie długie.

— Zastanawiam się — powiedziała dziewczynka — gdzie też znajduje się zegar, którego wskazówki mamy cofnąć?

— Ach! Biały Kret nam powie — odparł chłopiec.

Ale Biały Kret nic nie powiedział.

Kiedy śniadanie skończyło się, dzieci wyszły na trawiastą przestrzeń, wokół której wznosiły się szare i dostojne ruiny murów zamkowych z rosnącymi na nich lakami i lnicą, siadły wśród okrągłych, białych stokrotek i zaczęły zwierzać sobie nawzajem, co myślały czy też co im się zdawało, że myślały, znalazłszy się w owych czasach, gdy ludzie bali się Napoleona.

Murawa na dziedzińcu zamkowym była bardzo zielona, stokrotki bardzo białe, a słońce świeciło na to wszystko mocnym, złocistym blaskiem.

Gdy tak siedzieli na trawie, Elfryda pomyślała nagle, jakie to zachwycające miejsce i jakie to dla nich szczęście, że mieszkają w Arden, nie zaś w domu z wytartą, wyszlizganą ze starości mosiężną kławką, w domu, który stoi przy ulicy brukowanej cegłą i w którym lokatorzy bez przerwy dzwonią na służbę. Myśl ta napełniła ją taką radością, że odruchowo, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, powiedziała:

*Arden, Arden, Arden śliczny —
Park i zamek historyczny.
Darń zielona, zapach słodki,
Łubin, chabry i stokrotki —
Rada jestem między nimi...
Krecie Biały, wyjdź spod ziemi!*

— To naprawdę przypomina wierszyk — orzekł Biały Kret sadwiąc się pomiędzy dziećmi na zielonej trawie. — Bardziej to poetyckie niż wszystkie wierszyki, jakimi dotąd mnie przywoływaliście. A teraz, co mam dla was zrobić w tym pięknym dniu?

Biały Kret wydawał się w tak znakomitym humorze, że Elfryda spytała go o coś, co nasuwało się jej już od dawna.

— Dlaczego — zabrzmiało pytanie skierowane do Białego Kreta — mówisz takim językiem jak tutejsi ludzie?

— Bo wychowywałem się od urodzenia tutaj, w Sussex — odparł Kret. — Ale znam także mowę innych okolic. W hrabstwie Sussex mowa ludzi, jak powiadają, „pachnie ziemią”, pod którą mieszkam, to znaczy jest dosadna i jędrna. Ale potrafię też mówić na wszelkie inne sposoby. Kiedyś nawet mówiłem po francusku, mój młody monseigneur*.

— Musisz strasznie dużo umieć — odezwał się Edred.

— O, tak — potwierdził Kret.

— A ile też możesz mieć lat? — spytał Edred mimo ostrzeżenia Elfrydy: „Tss! To niegrzecznie”.

— Tyle mam lat, co mój język i trochę więcej niż moje uzębienie — odrzekł Kret, ukazując zęby.

— Ach, nie obrażaj się tak zaraz — przemówiła doń Elfryda — i to jeszcze przy takim pięknym dniu, i w dodatku właśnie teraz, kiedy chcieliśmy cię poprosić o wyjaśnienie, jak się cofa wskazówki zegara, i jeszcze o coś.

— Zgoda — rzekł Kret. — A wobec tego, że nie kłóciliście się w ciągu ostatnich trzech dni, możecie wybrać się, dokąd chcecie, i robić tam, co się wam podoba. A jeżeli pragniecie zatrzymać zegar, to stąd macie nawet bliżej niż z waszego domu. Musicie tylko wejść schodami na wieżę przy bramie i wyrzeć przez okno. A kiedy zobaczycie cyferblat wielkiego zegara, zejdźcie natychmiast na dół i siadźcie na wskazówce sekundnika. W ten sposób od razu zatrzymacie zegar.

Spoglądając poprzez przewiewny łuk na wieży, między zwisającymi pędami bluszczu, i wsłuchując się w szelest i furkot gołębih skrzydeł dzieci ujrzały nader osobliwy widok.

Zieleń trawy i biel stokrotek zaczęły przed ich oczyma jak gdyby falować. Trawnik w obrębie murów zamkowych był bardzo nierówny, ponieważ trawą nie zajmowali się doświadczeni ogrodnicy posługujący się walcami i kosiarkami, ale sama Przyroda, która po prostu chciała pokryć szczątki glinianych naczyń, kamienie, stare ptasia gniazda i wszelkiego rodzaju odpadki. Teraz zaś trawnik zaczął się wyciągać, niczym żywy dywan, wyprostował się i wyrównał, aż wreszcie znieruchomiał idealnie gładki.

A trawa miejscami stawała się bardziej zielona, w innych zaś miejscach utworzyły się plamy bieli, gęstszej i czystszej niż przedtem.

— Patrz! Patrz! — zawołał Edred. — Patrz! Stokrotki maszerują po trawniku!

I tak było istotnie. Równo i sztywno, jak dobrze wyćwiczeni żołnierze, stokrotki formowały najpierw pary, potem czwórki, a wreszcie całe kompanie. Oglądane z góry, z okienka wieży, wyglądały jak tysiące drobnych białych paciorków, oddzielających się od zielonych.

— Co też one zamierzają zrobić? — spytał Edred, lecz Elfryda nie mogła na to, oczywiście, odpowiedzieć.

Stokrotki maszerowały równym krokiem niczym małe ludziki, które dobrze znają swoje zadanie. Gromadziły się w pułki i całe armie. Tu i ówdzie niektóre kompanie zatrzymywały się i pozostawały nieruchome wśród gładkiej trawy.

— Układają się w jakiś wzór — zauważył Edred. — Spójrz! Widać już jakby rodzaj ogromnego koła! To na pewno jakiś wzór!

— Oczywiście, że wzór! — wykrzyknęła Elfryda. — Popatrz, popatrz! One układają się w zegar!

* Monseigneur (franc.) — pan

I tak też było. Na czystozielonej powierzchni trawnika widniało olbrzymie koło utworzone przez szeroki pas skupionych ciasno przy sobie białych stokrotek. Wewnątrz owego koła znajdowały się cyfry, takie jak na tarczy zegara. Razem dwanaście cyfr. Wskazówki były również utworzone ze stokrotek, i ta, która wskazuje godziny, i ta pokazująca minuty. A między cyfrą VI a środkiem cyferblatu widniał mniejszy krąg, także z białych stokrotek, w którym poruszała się wskazówka sekundnika, białego sekundnika powstałego ze stokrotek obracających się z dokładnością, jaka wycisnęłaby łyzy prawdziwego zachwyty z oczu najbardziej wymagającego generała w kraju.

Zgodnym ruchem dzieci poderwały się, zbiegły po ciemnych, zakurzonych, pokrytych pajęczyną, krętych schodach zamkowej wieży i popędziły na trawnik. W samym środku cyferblatu siedział Biały Kret z miną pewną siebie, a nawet trochę zarozumiałą.

— Jakżeś ty tego dokonał? — zdumiała się Elfryda.

— Zrobiły to stokrotki. Biedactwa! Same z siebie nic nie potrafią wymyślić. Ale bardzo dokładnie wykonują pomysły innych. No i, oczywiście, wszystko, co białe, musi mi być posłuszne — dodał jakby od niechcienia.

— I to jest właśnie ten zegar?

— Moje dziecko — zachichotał Biały Kret — nie bądź zarozumiała! Zegar jest o wiele za duży, żebyście go mogli kiedykolwiek zobaczyć w całości. Jego środkiem jest słońce. A to jest po prostu zegar na niby. Ale wystarczy, oczywiście, dla naszych celów, bo inaczej nie byłbym go dla was sporządził. Usiądźcie na wskazówce sekundnika... nie bójcie się, stokrotkom nic się nie stanie! Policzcie teraz do stu... O, tak, tak właśnie.

Dzieci usiadły na zwartym, białym pasku stokrotek i zaczęły z całą powagą liczyć.

— I teraz — rzekł Biały Kret, kiedy już policzyły do stu — jest, jak widzicie, ta sama chwila, co wtedy, gdy zaczęliście liczyć. Chyba teraz już rozumiecie.

Dzieci odpowiedziały, że tak, a jestem przekonana, że i wy, moi czytelnicy, też to rozumiecie.

— Ale jeżeli będziemy tu siedzieli — spytała Elfryda — to jak możemy znaleźć się gdzie indziej?

— Nie możecie — odparł Biały Kret. — Toteż jedno z was będzie musiało tu zostać, a drugie może sobie iść.

— To idź ty, Elf — rzekł Edred. — A ja zostanę tutaj aż do twojego powrotu.

— To bardzo ładnie z twojej strony — powiedziała Elfryda — ale wolałabym, żebyśmy się wybrali razem. Czy mógłbyś to jakoś urządzić? — zwróciła się do Kreta.

— Mógłbym, naturalnie — rzekł Kret. — Ale... on po prostu boi się iść bez ciebie — dodał nagle.

— Wcale się nie boi! — zawołała gorąco Elfryda. — A poza tym jest przecież o dwa lata młodszy ode mnie.

— Wobec tego idź bez niego — oświadczył Kret. — Rozumiesz chyba doskonale, prawda, że kiedy on zatrzymał zegar, to czy ty pójdziesz, czy nie, wyjdzie na jedno, tak samo jak jest bez różnicy, czy zostaniesz tu — taj, czy nie, więc... Krótko mówiąc — dodał — nie musisz się tym wcale przejmować. Twój brat nie będzie wiedział, że odeszłaś, tak samo jak nie uwierzy w to, że wróciłaś. No to w drogę, panienko! Elfryda jeszcze się wahała.

— Ach, Edred — powiedziała po chwili — co za dziwne rzeczy przeżyłam! Czy bardzo ci się dłużyło czekanie? Wiem, że okropnie się zachowałam, ale to było tak ciekawe, że po prostu nie mogłam wrócić wcześniej.

— Zawracanie głowy — odparł Edred. — No, więc idź już, jeżeli chcesz. Mnie wszystko jedno.

— Przecież mówię ci, że właśnie wróciłam — powtórzyła Elfryda ściągając brata z sekundnika stokrotkowego zegara, którego żołnierze natychmiast wznowili swój obrotowy pochód.

— Teraz sama widzisz — powiedział Kret. — I wiecie co? Kiedy następnym razem będziecie chcieli zatrzymać zegar, po prostu przytoczymy do sekundnika beczułkę. A teraz idźcie się bawić. Chyba mieliście dosyć czarów Ardeny na dzisiejszy czwartek. Co, moi mili?

Dzieci usłuchały i poszły się bawić.

A oto w jaki sposób Edred poznał przygodę z „Rozbójnikiem i...” Ale nie chcę wybiegać naprzód. Sposób, w jaki Elfryda przeżyła tę przygodę, był zupełnie odmienny.

Kiedy Kret wypowiedział słowa: „...w drogę, panienko”, Elfryda jeszcze się przez chwilę wahała, po czym ruszyła powoli w stronę zamku, gdzie czerwony dach domu widać było bardzo wyraźnie pośród starych, bluszczem porośniętych, szarych murów zamkowych. Obejrzała się za siebie i ujrzała Edreda oraz Białego Kreta, siedzących tuż obok siebie na cyferblacie cudownego zielono-białego zegara. Siedzieli zupełnie nieruchomo. Elfryda powzięła decyzję. Wbiegła do domu, szybko wspięła się po schodach i ruszyła wprost do tych drzwi. Znalazła je od razu, zamknęła za sobą, po czym otworzyła drugą skrzynię po prawej stronie.

*Zmień twój strój, moja miła,
a zmieni się epoka.
Zmień strój, moja miła,
w tym prawda tkwi głęboka.
Cuk-rru, cuk-rru, cuk-rru...*

— zagruchały gołębie, a może cisza czy też sama Elfryda.

„Ciekawa jestem — pomyślała ubierając się w zieloną pikowaną atlasową halkę haftowaną w różowe pączki róż — czy Szekspir został poetą w taki właśnie sposób. Po prostu kilka byle jakich rymów przyszło mu do głowy, ot tak, ni z tego, ni z owego, choć wcale nie miał zamiaru ich układać”.

I podczas gdy wkładała na siebie biało-różową, brokatową suknię, w głowie jej kłębiły się takie zdania, jak: „Nasza wielka poetka, panna Elfryda Arden” czy też „Panna Arden, kobiecey Milton* naszych czasów”.

Zawiązała pod brodą coś w rodzaju białego miękkiego czepeczka z różowymi wstążkami i pobiegła do drzwi. Otworzyła je bez najmniejszego strachu. Poruszała się jakby we śnie. Wszystko, co ją otaczało, wydawało się nierzeczywiste. A jednak gdy wybiegła z poddasza i koronka jej rękawa zahaczyła o wielki, zardzewiały gwóźdź, i przedarła się z przykrym trzaskiem, bardzo się zmartwiła. Gdy wszystko wydawało się tylko snem, koronka ta sprawiała wrażenie czegoś bardzo rzeczywistego i była przy tym bardzo piękna.

Ale nie zdążyła tej myśli o koronce domyśleć do końca, kiedy otwarte drzwi ukazały nie cichy korytarz ze starymi miedziorytami na zamku Arden, ale bardzo dziwaczny, wykładany boazerią pokój, pełen przemieszanych w ogromnym nieładzie, najrozmaitszych rzeczy — piór, sukien, okryć, pudeł na kapelusze, jakichś paczek, paczuszek i zawiniątek, koronek, szali, kapeluszy, rękawiczek i mnóstwa różnych ozdób kobiecego stroju. W pokoju znajdowało się sporo osób. Pokojówki — Elfryda wiedziała, że są to pokojówki — jakiś osobnik w spodniach do kolan, trzymający w rękach tacę z laki z pięknym porcelanowym nakryciem, a w samym środku siedziała śliczna młoda dama o smętnym spojrzeniu, którą to osobę Elfryda od razu szalenie pokochała. Wszystkie kobiety miały na sobie olbrzymie krynoliny, czyli suknie na obręczach.

— Co? Cały czas ukrywałaś się w schowku, kuzynko? — spytała młoda dama. — Ach, co za sprytnie stworzenie! Chodź, zobacz, jak świetnie twojej Eli w tym nowym szaliku. Czyż nie jest to ostatni krzyk mody?

* Milton — John Milton (1608–1674), poeta, historyk angielski, działacz obozu republikańskiego w czasie wojny domowej 1640–1660. Napisał dwa wielkie eposy religijno-filozoficzne: „Raj utracony” i „Raj odzyskany”.

— Tak — odparła Elfryda, nie mając najmniejszego pojęcia, co powiedzieć.

Przed jej oczyma wszystko jakby zdrząło i przesunęło się niczym drobinki szkła w kalejdoskopie tuż przed ułożeniem się w określony wzór. Po czym, jak te szkiełka kalejdoskopu, wszystko znalazło się na swoim miejscu i Elfryda, zamiast wrażenia, że patrzy na jakiś obraz, poczuła, iż jest żywą osobą pośród żywych ludzi.

Jakiś niezwykle przypadek kazał Elfrydzie przypomnieć sobie, że królowa Anna zaczęła panować w roku 1702. Doprawdy, sama nie mam pojęcia, jak to się stało, ale takie przypadki istotnie czasem się zdarzają. A poza tym Elfryda wiedziała, że za czasów królowej Anny panie nosiły krynoliny. Ponadto zaś, skoro w poprzedniej przygodzie cofnęli się o sto lat, to być może ta druga przygoda przeniosła ją wstecz o lat dwieście. A jeżeli...

— Przepraszam bardzo — spytała pospiesznie — czy to jest rok 1707 i królowa Anna umarła?*

— Uchowaj Boże! — zawołali wszyscy obecni, a Ela dodała:

— No, dosyć już, moje dziecko, nie zatrzymuj nas swoją paplaniną. Karetą będzie tu o dziesiątej i musimy zdążyć na nocleg do Tonbridge przed zapadnięciem nocy.

Wobec tego Elfryda, rozglądając się na wszystkie strony i bacznie wszystkiemu się przysłuchując, wcisnęła się między jakieś ogromne pudło i zwój grubego różowego jedwabiu.

Ela, jak się domyśliła, była jej kuzynką i też należała do rodu Ardenów. Elfryda wraz z Elą i pokojówkami, a pod eskortą całej gromady mężczyzn, miały razem udać się do Arden. Ta liczna eskorta była potrzebna ze względu na klejnoty Ardenów, które właśnie poddano renowacji według zasad ostatniej mody, oraz z powodu naszyjnika z pereł i innych prezentów, jakimi stryj Arden obdarował Elę. A rozbójnicy, jak się dowiedziała, stali się ostatnio tak zuchwali, że ośmielili się napaść na podróżną karetę w biały dzień tuż koło cmentarza przy katedrze Św. Pawła.

Zdaje się, że Ela podjęła się dokonać zakupów dla wszystkich swych przyjaciółek mieszkających w pobliżu Arden i, odkładając załatwienie większości tych spraw aż do ostatniej chwili. Swoje własne pieniądze na drobne wydatki wydawała stopniowo i z wielkim namysłem w ciągu pobytu w mieście, a teraz pospiesznie załatwiała sprawunki dla przyjaciółek. Pokój zatłoczony był kupcami i gromadą kobiet rozpychających się, aby się dostać w pobliże damy z gotówką do wydania. Jedna z kobiet dźwigała cały kosz porcelany, którą chciała wymienić na stare suknie czy obuwie, zupełnie tak, jak to obecnie robią rozmaite staruchy tłoczące się do kuchennych drzwi naszych mieszkań. Toteż pokojówka kuzynki Eli zrobiła w swoim przekonaniu doskonały interes otrzymawszy porcelanowy imbryk i dwa półmiski w zamian za zużytą niebieską lustrynową* suknię i krynolinową spódniczkę z pikowanego fioletowego atłasu.

Potem posilono się naprędce gorącą czekoladą z ciastem i wreszcie, gdy Elfryda została ubrana w długopły płaszcz i owinięta szalami tak, że ledwo mogła oddychać, dano znać, że karetą stoi przed drzwiami. Kiedy wszyscy usadowili się w pojeździe, zrobiło się bardzo ciasno, bo jakkolwiek karetą była nader obszerna, trzeba było zmieścić w niej mnóstwo osób i rzeczy, kuzynkę Elę w olbrzymiej krynolinie, pokojówki, pudła i paczki najrozmaitszych kształtów i wielkości, a także okropnego pokojowego pieska, który ciągle szczekał i warczał, i usiłował ugryźć każdego, począwszy od lokaja, a skończywszy na Elfrydzie. Ulice miasta były wąskie i bardzo brudne i w gorącym czerwcowym słońcu unosił się w nich bardzo przykry fetor.

Było też bardzo gorąco i duszno wewnątrz karety, która trzęsła sto razy bardziej, niż możecie sobie wyobrazić. Trzęsła bardziej nawet, niż trząsłby furgon, jadący na przełaj po

* Królowa Anna — Anna Stuart (1655–1714), od 1702 r. królowa Anglii, Szkocji i Irlandii, a po zjednoczeniu tych krajów w 1707 r. — królowa Wielkiej Brytanii. Elfrydzie, jak widać, pomyliła się datą śmierci królowej.

* Lustryna — cienka lśniąca tkanina wełniana lub bawełniana.

świeżo zaoranym i nie zbronowanym rżysku. Elfryda czuła coś pośredniego między bólem i zawrotem głowy, jak to się zdarza każdemu, kto płynie małym stateczkiem i wszyscy na pokładzie zgodnie powiadają, wbrew wszelkiej oczywistości, że morze wcale nie jest wzburzone. Toteż kiedy wreszcie kareta dotarła do Lewisham, Elfrydę paskudnie bolały wszystkie kości i czuła się tak, jakby była cała pobita.

Kareta nie miała resorów i Elfrydzie — bardziej niż z czymkolwiek innym — kojarzyła się z kabiną kąpielową na kółkach, a to dlatego, że jak pamiętacie, raz po raz obija się ona o kamienisty brzeg, kiedy wyciąga się ją na plażę, a wy, oczywiście, objacie się wewnątrz i w żaden sposób nie możecie się ubrać, bo wszystkie części garderoby bezustannie spadają z ławek.

Pokojówki były z pewnością wściekle, na co wskazywał wyraz ich twarzy. Kuzynka Ela tańczyła w przeddzień wyjazdu nieomal do północy, a wstała, jak twierdziła, wraz ze skowronkami. Oznajmiwszy to, usnęła w kącie karety z miną jeszcze bardziej wściekłą niż pokojówki. Elfrydę zaczęło stopniowo ogarniać, znane wam wszystkim, przykre uczucie pustki i nudy, które sprawia, iż żałujecie, żeście się gdzieś znaleźli.

Kareta sunęła z turkotem i chybotaniem poprzez jednostajnie zielone okolice, a koła raz po raz wpadały i wyskakiwały z najpotworniejszych dołów. Co jakiś czas któreś koło zapadało się w tak głęboki dół, że trzeba było zbiorowego wysiłku stangretów i lokai, żeby je wydobyć. Kuzynka Ela budziła się wówczas, bąkała, że taka podróż to prawdziwe utrapienie, po czym natychmiast zapadała ponownie w sen.

Elfryda, jako najmniejsza pasażerka karety — poza pieskiem Amorkiem — bezustannie, przy wszystkich gwałtowniejszych ruchach pojazdu, wpadała w czyjeś objęcia ku niezadowoleniu, rzecz jasna, obu stron. Była to z całą pewnością najbardziej niewygodna podróż, jaką kiedykolwiek odbyła. Przychodził jej na myśl gładki, szybki pęd wagonu kolejowego, nawet wózek do przewożenia towarów był luksusem w porównaniu z kareta. „Drogi wcale nie są jak drogi — rozmyślała — wyglądają jak pole z zagonami selerów”. Elfryda przyjaźniła się z dziećmi pewnego zamożnego ogrodnika i wiedziała, jak takie pole wygląda.

Na długo przedtem, nim kareta zatrzymała się u frontowego wejścia do zajazdu „Pod Bykiem” w Tonbridge, Elfryda żyła myślą, że gdyby tylko przyszedł jej do głowy jakikolwiek wierszyk, wypowiedziałaby go, błagając Białego Kreta o zabranie jej z powrotem do jej własnych czasów, gdzie bądź co bądź powozy mają resory, a drogi są drogami. Gdy zaś kareta wreszcie stanęła, całe ciało Elfrydy było tak zeszywniałe, że ledwo mogła ustać na nogach.

— Proszę, dziecinko, wejdź! — zwróciła się do dziewczynki jakaś tęga pani o miłej twarzy otoczonej kreażką muślinowego czepeczka. — Na stole już czeka naprawdę wyśmienita kolacja, mogę to śmiało powiedzieć, no, i łóżeczko też jest przygotowane, tak czyściutkie i miękkie, że drugiego takiego nie znajdziesz w całym hrabstwie Kent... Możesz na mnie polegać.

Przy akompaniamencie donośnych okrzyków stangretów i miejscowych stajennych wyprzęgnięto najpierw i zabrano do stajni konie, po czym dopiero podróżnicy mogli wysiąść z karety. Do kolacji nakryto w dużej niskiej komnacie na piętrze. Sprzęty i nakrycia błyszcząły, a po dwu stronach izby znajdowały się szerokie okna: jedno wychodziło na drogę, nad którą zwisał, skrzypiąc i chwiejąc się na wietrze, szyld „Byka”, drugie zaś, przeciwległe, ukazywały starannie utrzymany, zielony ogródek z rabatami otoczonymi przyszyżonym żywopłotem i z altanką z cisów.

Wniesienie do zajazdu wszystkich bagaży naszych podróżników wydawało się raczej dłuższą sprawą. Wobec czego Elfryda, zorientowawszy się, że nikt nie spostrzeże jej nieobecności, wysłiznęła się z izby jadalnej i poprzez kręte schody kuchenne oraz kuchenną sień wymknęła się do ogródka. Jakże miło było rozprostować wreszcie nogi, nie tkwić w zatłoczonej karecie, nie odczuwać wstrząsów, nie wpadać na niczyje łokcie. Kroczyła

trawiastą ścieżką w postawie nader godnej, bo wciąż jeszcze czuła wielką sztywność całego ciała.

I właśnie tutaj, w altance z cisów, dziewczynka nagle ujrzała najwytworniejszego i najprzystojniejszego dżentelmena, jakiego kiedykolwiek w życiu widziała. Na głowie miał białą perukę całą w lokach i mocno upudrowaną, ubrany zaś był w długi surdut z granatowego jedwabiu, spod którego wyglądała kamizelka całkowicie zahaftowana w bukieciki z różyczek i niezapominajek, związane złotymi wstążeczkami. Na szyi nosił koronkowy żabot z wpiętą węń broszką, wysadzaną drogimi kamieniami. A ponadto miał najśliczniejsze w świecie, bardzo błękitne oczy i tymi ślicznymi oczyma spoglądał na Elfrydę z ogromną sympatią.

— Założę się — powiedział — że mam do czynienia z damą wysoko urodzoną, podróŜującą ze swoim orszakem.

— Jestem panną Arden z Arden — odparła Elfryda.

— NajniŜszy pani sługa — zawołał młody człowiek, zrywając się na nogi, i złożył głęboki ukłon, zamiatając ścieżkę piórem swego kapelusza.

Elfryda w odpowiedzi dygnęła, a chociaż nie było to może najwspanialsze dworskie dygnięcie, musiało w tych warunkach wystarczyć.

— Cóż więc mógłbym uczynić — spytał młodzieniec — by zasłuŜyć na łaskę panny Arden z Arden? Może chciałaby pani odbyć przejażdŜkę na grzbiecie mej czarnej klaczy?

— O, nie, bardzo dziękuję! — zawołała Elfryda z taką powagą w głosie, że młodzieniec śmiejąc się powiedział:

— Doprawdy, nie podejrzewałem, że lęk kryje się za takimi oczyma!

— Ach, ja wcale się nie boję — odrzekła z pogardą Elfryda. — Ale dopiero co wysiadłam z tak potwornej karety, którą podróżowaliśmy od wczesnego rana, że już chyba nigdy nie będę miała ochoty jechać w czymkolwiek ani na czymkolwiek.

Nieznamomy znowu się roześmiał.

— A, skoro tak — zawołał — to proszę sięść koło mnie i opowiedzieć mi o najnowszych miejskich nowinach!

Elfryda uśmiechnęła się na myśl o tym, jakie też to nowiny ona mogłaby mu opowiedzieć, po czym zmarszczyła czoło, z wielkim wysiłkiem próbując wynaleźć jakieś wiadomości, które nie brzmiałyby całkiem od rzeczy.

Zaczęła od tego, że opowiedziała wszystko, co wiedziała o kuzynce Eli oraz o ich wspólnej podróŜy. Młody pan słuChał z uprzejmą uwagą. Następnie opowiedziała mu o zakupach kuzynki Eli: o naszyjniku z pereł, o złotym, wysadzonym koralami puzderku na pachnidła, o maleńkim złotym zegareczku oraz o klejnotach rodzinnych na nowo oprawionych i odebranych właśnie od złotnika.

— Macie państwo — powiedział młody człowiek — całą noc przed sobą, by wypocząć po torturach w karecie.

— Tak — potwierdziła Elfryda — wyruszemy dopiero jutro rano po śniadaniu. Ach, to strasznie nudne... I tak powoli się jedzie! Czy nie chciałby pan na przykład mieć pojazdu ciągnionego przez ognistego, Źelaznego rumaka, pędzącego z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę?

— Jest pani wielce dowcipna i pomysłowa — odrzekł piękny młodzian. — Takie właśnie przymioty pragnąłbym podziwiać u mej przyszłej małŜonki. Czy wysłaby pani za mnie, gdy będzie już pani całkiem dorosłą panną?

— Nie — odparła Elfryda — bo byłby pan za stary. Nawet gdyby potrafił pan powstrzymać bieg swego Źycia aż do chwili, kiedy dorosnę, i tak byłby pan o wiele dla mnie za stary.

— A ile, według pani, będę sobie lat liczył, gdy pani ukończy siedemnaście?

— Musiałabym zrobić trochę rachunków — odrzekła Elfryda, która miała zresztą dość znaczną wprawę w posługiwaniu się czterema działaniami. Ułamała gałązkę z porzeczkowego krzaka i zaczęła coś nią gryzmolić w kurzu.

— Doprawdy nie wiem! — zawołała, unosząc zarumienioną twarzyczkę i zacierając swoje „rachunki” małymi trzewiczkami na czerwonych obcasach. — Ale wygląda mi na to, że będzie pan liczył sobie około dwustu trzydziestu lat.

Słyszając to młody człowiek wybuchnął śmiechem jeszcze głośniejszym niż przedtem i przysiągł, iż Elfryda jest w sam raz odpowiednią dla niego damą.

— Pani obliczenia dziesięciokrotnie zwiększyły moje dochody — dodał.

Był naprawdę niesłychanie uprzejmy. Poprosił Elfrydę, by skosztowała wina, które jej nie smakowało, a także żeby spróbowała ciasteczek, jakie jej podał na czerwono-niebieskiej tacce. Ciasteczka były wyborne.

— A jak pan się nazywa? — spytała dziewczynka.

— Moje nazwisko i imię — odparł młody człowiek — są tajemnicą. Czy potrafi pani dochować tajemnicy?

— O, tak! — zapewniła gorąco Elfryda.

— Ja również — zapewnił ją młodzian.

Nagle spoza żywopłotu wypadła pędem jedna ze złościących się bezustannie pokojówek i pociągnęła Elfrydę w stronę zajazdu, zanim dziewczynka zdołała wykonać należyty dyg i powiedzieć: „Dziękuję bardzo, był pan niezmiernie miły”.

— Szczęśliwej podróży! — zawołał ze swego miejsca piękny nieznajomy. — Bez wątpienia jeszcze się kiedyś spotkamy. A wówczas porwę panią i zamknę w potężnej wieży na dwieście lat, czyli aż do chwili, gdy ukończy pani lat siedemnaście i nauczy się dobrze rachować.

Pokojówka dała Elfrydzie klapsa, co dziewczynkę przyprawiło o taką wściekłość, że aż zabrakło jej tchu, po czym kazano jej siadać do kolacji w dużej izbie na piętrze. Panna służąca opowiedziała z wielkim oburzeniem, że przyłapała Elfrydę na rozmowie z „obcym dżentelmenem”. Gdy zaś kuzynka Ela wysłuchiwała jej relacji, Elfryda podała swoją wersję zdarzenia.

— I był strasznie miłusi — zakończyła.

— Strasznie co?

— Jest wprost przepięknym młodym panem... Chyba wielkim panem. Szkoda, że ciebie tam nie było, kuzynko Elu. Tobie na pewno także by się podobał.

Teraz z kolei kuzynka Ela dała Elfrydzie klapsa. I dziewczynka zaczęła marzyć, jak nigdy dotąd, o ułożeniu wierszyka dla przywołania Białego Kreta.

Nazajutrz podróżowano drogą równie wyboistą, co pierwszego dnia i Elfryda miała tego wszystkiego już powyżej uszu. „Och — myślała sobie — jakżebym chciała, żeby się coś wreszcie zdarzyło”.

Podróż tego dnia trwała znacznie dłużej i zmrok już zapadał, gdy karetka ciągle jeszcze toczyła się drogą. Słońce zaszło czerwono poza czarnymi drzewami i brunatny zmierzch gęstniał wszędzie dookoła, kiedy u rozstajnych dróg, spoza kępy krzewów, wypadł nagle na olbrzymim czarnym koniu wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu i z maską na twarzy. Pochylił się w siodle, otworzył drzwiczki karety, chwycił Elfrydę za fałdy jej zapiętego pod szyję podróżnego płaszcza (musiał być bardzo mocny, a płaszcz również), posadził ją bardzo delikatnie i bardzo zresztą wygodnie na siodle przed sobą i zawołał:

— Proszę mi oddać wszystkie wasze klejnoty, bo inaczej powystrzelam wam konie! I opuśćcie broń, bo jeśli ktoś wyceluje we mnie, zabije tym samym dziecko. A gdyby ktoś zastrzelił mego konia, runę na ziemię razem z dzieckiem!

Lecz gdy to mówił, głosem stłumionym przez maskę, zatoczył koniem, tak że jego ciało stało się tarczą ochronną między Elfrydą a pistoletami służby Ardenów.

— Czego pan chce? — zapytała kuzynka Ela głosem zupełnie podobnym do pisku myszy.
— Nie mamy żadnych klejnotów, jesteśmy zwyczajną skromną wiejską rodziną powracającą do domu, do naszego folwarku.

— Chcę otrzymać naszyjnik z pereł — odparł nieznajomy — puzderko na wonności, malutki złoty zegarek oraz te świeżo oprawione klejnoty.

Słyszając to, Elfryda pojęła, kim jest zamaskowany mężczyzna.

— Ach! — wykrzyknęła. — Pan jest nikczemny!

— Trudno, każdy musi uprawiać swój zawód — odparł nieznajomy, który zresztą przytrzymał Elfrydę na siodle bardzo delikatnie i ostrożnie. — A teraz, moja piękna damo...

Lokaje wciąż trzymali dobyte pistolety, ale wyraźnie wahali się. Konie, spłoszone nagłym zatrzymaniem, stawały dęba i tańczyły na całej szerokości drogi, a pokojówki wrzeszczały, że to wszystko prawda: obcy pochwycił dziecko i lepiej poświęcić trochę klejnotów niż życie tylu osób. Kuzynka Ela zaś szlochała i jęczała wewnątrz ciemnej karety.

No cóż, wręczono zbójcy klejnoty — tym zakończyło się całe zdarzenie — wręczono je opornie, z ociąganiem, dłoń zaś, która w mroku sięgała po nie, miała biel kości słoniowej, jak zapewniała kuzynka Ela.

Elfryda, przytrzymywana ramieniem zbójcy, zachowywała całkowite milczenie. Nagle nieznajomy pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Czy boisz się, pani, że wyrządę ci jakąś krzywdę?

— Nie — odparła szeptem Elfryda. I po dziś dzień nie ma pojęcia, dlaczego właściwie się nie bała.

— W takim razie... — rzekł nieznajomy. — Och, dzielna malutka damo...

Z tymi słowy spał nagle konia ostrogami, przesadził niskie zarośla, po czym, już za krzakami, raptownie wstrzymał wierzchowca.

— Wracajcie do domu, dzielni moi przyjaciele! — wykrzyknął spoza osłony krzaków. — I ani pary z ust o tym, co się wydarzyło tej nocy! Będę w Arden przed wami...

— Dziecko! — wrzasnęły pokojówki. — Ach, zabrał dziecko!

Nawet kuzynka Ela zrobiła krótką przerwę w swoim ataku hysterii, nader teraz gwałtownym, aby również zawołać:

— Dziecko!

— Czy mam dla pań zamówić kolację w Arden? — odkrzyknął drwiąco zbójca i pogalopował na przelaj przez pola i łąki, podczas gdy Elfryda, z trudem chwytając ze strachu oddech, lecz na zewnątrz świadomie okazując męstwo, tkwiła oparta o jego ramię. Jest to prawdziwie zdumiewające, nieomal cudowne uczucie, gdy się tak galopuje na ogromnym, mocnym, czarnym koniu w zapadającej coraz głębiej nocy, poprzez obcą zupełnie okolice, ale opierając się na ramieniu, któremu można całkowicie ufać, i czując zwisającymi nogami grające mięśnie potężnego końskiego ciała. Elfryda przestała myśleć o Białym Krecie i poniechała wysiłków stania się poetką.

Wkrótce zresztą znaleźli się na szczycie Wzgórza Arden i widać już było mrugające poniżej światła w oknach zamkowych.

— A teraz, ukochana — rzekł zbójca — zsadzę panią z konia w pobliżu bramy zamkowej i zaczekam, aż otworzą ci bramę. Może im pani opowiedzieć wszystko, co się zdarzyło, z wyjątkiem tego, co powiem ci teraz. Jeszcze mnie państwo zobaczycie. Inni nie rozpoznają mnie, lecz pani będzie wiedziała, że to ja. Proszę zachować milczenie do jutra, a przysięgam, że panna Arden odzyska wszystkie swoje klejnoty, pani zaś otrzyma złoty medalion, by przechowywać w nim pukiel włosów twego ukochanego do czasu, gdy będziesz pani miała lat siedemnaście, ja zaś dwieście trzydzieści. I proszę zostawić uchylone okno w saloniku. Kiedy zapukam do okna, proszę doń podejść. Zgoda?

— Więc nie jest pan w rzeczywistości zbójcą?

— Co powiedziałyby pani — spytał w odpowiedzi nieznajomy — gdybym ci wyjaśnił, że jestem Jakubem Trzecim*, prawowitym królem Anglii, przybyłym dla odzyskania tronu?

— O! — szepnęła ze zdumieniem Elfryda.

Nieznajomy opuścił ją łagodnie na ziemię, a dziewczynka podbiegła do bramy zamkowej i zaczęła uderzać w nią obu pięściami. Nasza bohaterka musiała szczegółowo opowiedzieć wszystko najpierw służbie zamkowej, a później kuzynce Eli oraz pokojówkom, toteż chóralne lamenty i okrzyki zdumienia zacichły dopiero, gdy wszyscy poczuli, że coś by zjedli. Tak czy owak, cała służba udała się do kuchni, by przyspieszyć podanie kolacji. Kuzynka Ela z Elfrydą pozostały same w saloniku, gdzie Elfryda, zgodnie z umową, otworzyła okno, i to nawet na rozcież.

Krzewy laurowe, rosnące wzdłuż całej południowej ściany zamku, gięły się na wietrze, a gałązki ich uderzały w szyby okienne. Elfryda usiadła na ławeczce w oknie wykuszowym. Nie, to tylko gałązka lauru. Ale w następnej chwili zapukała w okno czyjaś ręka — ręka o palcach zdobnych w pierścienie — i ukazał się biały prostokąt papieru. List.

— Dla panny Eli Arden — szepnął jakiś głos za oknem.

Elfryda podeszła z listem do fotela, w którym spoczywała jej kuzynka, i złożyła list na kwiecistym jedwabnym łonie panny Eli.

— To dla mnie, dziecinko? A skąd wzięłaś ten list?

— Przeczytaj go — odparła Elfryda — pochodzi od pewnego szlachetnego młodzieńca.

— Boże! — westchnęła kuzynka Ela. — Co za dzień! Najpierw zbójcy na drodze i strata klejnotów, a teraz list miłosny.

Otworzyła list, przeczytała... przeczytała ponownie, po czym skinęła bezwładną niemal ręką na Elfrydę, która szybko i sprawnie wyjęła list ze zwisającej dłoni i z kolei sama przeczytała. List napisany był wyraźnym i pięknym charakterem pisma.

*Kawaler Świętego Jerzego** — głosił list — *odwiedzający potajemnie swoje królestwo w pilnych sprawach państwowych, prosi o nocleg i ukrycie pod dachem wiernych mu Ardenów.*

— No, no! — zawołała ostro Elfryda. — Nie zacznij tylko szlochać czy krzyczeć! I powiedz mi, kim jest ów Kawaler Świętego Jerzego?

— Nasz król — odparła szepem Ela. — Nasz król przebywający za morzem... Ach, dlaczego mój stryj jest poza domem? Tamci zamordują króla, jeśli go znajdą. Co mam teraz zrobić? Co mam robić?

— Co robić? — zawołała Elfryda. — Po pierwsze, przestań zachowywać się tak niemądrze. To przede wszystkim musisz zrobić. Cóż za wspaniała okazja! Pomyśl tylko, jak wszyscy będą podziwiał twoją odwagę! Czy to jest książę Karolek*? Czy pewnego dnia będzie królem?

— Nie, to nie Karol, to Jakub Trzeci. Stryj chce, aby on został królem.

— W takim razie użyjemy mu pomocy — odparła Elfryda. — Kto wie, czy nie dzięki tobie zostanie królem.

W nauce historii na pensji nasza bohaterka nie posunęła się nigdy poza panowanie Edwarda IV, a to dlatego, że ze względu na nowo przyjmowane uczennice trzeba było wciąż

* Jakub Trzeci (1668–1766) — książę Walii, zwany starszym pretendentem. Bezskutecznie ubiegał się o tron, nigdy nie został królem. Jakubem Trzecim nazywali go jego zwolennicy.

*Kawaler Świętego Jerzego, czyli Kawaler Orderu Podwiązki, na którym znajduje się wizerunek świętego Jerzego, patrona rycerzy. Order Podwiązki, najwyższe odznaczenie angielskie, ustanowiony został w połowie XIV w. przez Edwarda III, nadawany jest wyłącznie panującym, najwybitniejszym mężom stanu oraz członkom czołowych rodzin arystokratycznych.

* Książę Karolek — książę Karol Edward (1720–1788), syn Jakuba III, zwany młodszym pretendentem.

wracać do roku 1066 — bitwy pod Hastings i podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Toteż księcia Karola Elfryda znała tylko z ballad i opowiadań historycznych.

— A kiedy zostanie już królem — ciągnęła — mianuje cię dożywotnią księżną czegoś tam i ofiaruje ci swoją podobiznę oprawną w brylanty. A teraz powtarzam raz jeszcze: nie krzycz. On jest tu, za oknem. Tylko gdzie możemy go ukryć?

ROZDZIAŁ VI

TAJEMNICZA PŁYTA

— Właśnie, gdzie go ukryjemy? — powtórzyła niecierpliwie Elfryda.

Kuzynka Ela, pobudzona entuzjazmem Elfrydy, zerwała się z fotela i zaczęła dotykać palcami kwiatów rzeźbionych na płycie znajdującej się nad kominkiem.

— W tajnej kryjówce — powiedziała. — Tylko zamknij drzwi na zasuwę i przekręć klucz w zamku.

Elfryda zamknęła starannie drzwi saloniku, a gdy odwróciła się, ujrzała, iż rzeźbiona płyta nad kominkiem otwiera się na dwie strony niczym drzwi szafy.

Na ten widok Elfryda podbiegła do okna i otworzyła je szeroko, po czym w oknie ukazała się postać wspaniałego dżentelmena, który zręcznie zeskoczył na posadzkę i stanął przed nimi — bardzo przystojny i wysoki. Skłonił się pannie Eli, ta zaś przyklękła na jedno kolano i ucałowała wyciągniętą ku niej białą, pokrytą klejnotami dłoń.

— Prędko! — wykrzyknęła Elfryda. — Proszę skryć się w tym otworze!

— Tam są schody! — dodała Ela, chwytając woskową świecę płonąca w srebrnym lichtarzu i unosząc ją wysoko w górę. Kawaler Świętego Jerzego wskoczył na krzesło, oparł się kolanem o półkę nad kominkiem i zniknął w otworze zupełnie jak Alicja, gdy przez lustro weszła w głąb tajemniczej krainy na ilustracji pana Tenniela*. Ela wręczyła mu świecę, po którą wyciągnął swą białą dłoń. Teraz z kolei Elfryda wskoczyła na krzesło, zatrzasnęła wejście do tajemnej kryjówki, zeskoczyła na ziemię i wreszcie otworzyła drzwi saloniku w tej samej niemal chwili, gdy tuż za nimi znalazła się pokojówka niosąc na tacy przygotowaną pospiesznie kolację.

Kiedy stryjeczne siostry pozostały same, Ela chwyciła Elfrydę w ramiona.

— Nic się nie bój, droga kuzyneczko — szepnęła. — Twoja kuzynka Ela już dopilnuje, aby nic złego ci się nie przytrafiło z powodu dzisiejszej przygody.

— No, jeszcze zobaczymy, kto czego dopilnuje! — zawołała Elfryda wymykając się pospiesznie z objęć swej stryjecznej siostry. — Przecież to ja otworzyłam mu okno i gdybym cię nie powstrzymała, zaczęłabyś krzyczeć i postawiłabyś cały dom na nogi.

— Przestań tyle gadać, dziecinko — powiedziała Ela, obejmując w rozterce swe piękne czoło obu rękoma. — I pozwól mi zastanowić się, jak mogłabym służyć memu królowi.

— Ja — odparła z pogardą Elfryda — zaniósłabym mu przede wszystkim coś do jedzenia i sprawdziłabym, czy pościel na jego łóżku została przewietrzona. Ale przypuszczam, że w twoim pojęciu byłoby to zbyt prostackie i pospolite.

Kuzynki patrzyły na siebie ponad tacą z nie napoczętą kolacją.

— Bezczelna smarkula! — wykrzyknęła Ela.

— Sama jesteś smarkula! — odparowała Elfryda.

Po czym roześmiała się.

— Posłuchaj, kuzynko Elu — powiedziała. — Twój stryj jest poza domem i ty jedna z nas jesteś dorosła. Więc chciałabym ci powiedzieć, co, jak myślę, należałoby zrobić. Musisz być mądra i wspaniałomyślna, tak by twoja podobizna znalazła się w ilustrowanych gwiazdkowych numerach pism oprawnych w biały atlas. Będiesz miała na niej zatroskany wyraz twarzy, a napis pod spodem będzie głosił: „Wybawicielka naszego króla”.

* Tenniel — John Tenniel (1820–1914), karykaturzysta angielski, ilustrator wielu książek, m. in. książek Lewisa Carrolla: „Alicja w Krainie Czarów” i „O tym, co Alicja widziała po drugiej stronie lustra”.

— Nie rozpraszaaj się tak w rozmowie, moje dziecko — rzekła kuzynka Ela, przyciskając dłoń do skroni. — I bez tego mam zupełny zamęt w głowie. Ale jeżeli chcesz mnie przeprosić — to zrób to.

— Ech, niech ci już będzie! Bardzo cię przepraszam! — wykrzyknęła Elfryda, ogromnie rozdrażniona. — A teraz może podasz swemu królowi coś do jedzenia!

— Wspinac się do tego otworu... z tacą? I służba w każdej chwili może tu wejść... Co byś im powiedziała, gdyby się tu zjawili?

— Dobrze, w takim razie ja zaniosę jedzenie — odparła Elfryda, bardzo zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

Ela dotknęła sekretnej sprężyny, a gdy Elfryda znalazła się już w otworze, co przyszło jej z wielką łatwością, kuzynka podała jej tacę z kolacją.

— Tam do licha! — powiedziała Elfryda stawiając z wielkim pośpiechem tacę u swych stóp. — To strasznie ciężkie. Będzie musiał sam tu po nią przyjść. Daj mi świecę i zamknij płytę. Tylko przedtem powiedz mi, jak się tam idzie.

— Obróć się na prawo i idź w górę schodami. I nie zapomnij przyklęknąć i ucałować jego dłoni, zanim cokolwiek powiesz.

Elfryda wyciągnęła rękę po świecę w srebrnym lichtarzu, drzwiczki zamykające sekretny otwór zatrzasnęły się i dziewczynka, z tacą u swych stóp i ze świecą w ręku, zaczęła przyglądać się cieniom i pajęczynom zasnuwającym tajemne przejście.

„To tylko jedna więcej przygoda wywołana czarami Białego Kreta” — pomyślała sobie dla pokrzepienia, skrzyła na prawo i ruszyła w górę schodkami. Schodki były strome i wąskie. U ich szczytu widniała długa linia światła płynącego z lekko uchylonych drzwi. Elfryda uznała, że nie należy pukać, by ktoś nie usłyszał. Zamiast tego powiedziała tylko półgłosem, przykładając usta do linii światła:

— To ja.

Drzwi natychmiast się rozwarły i przed dziewczynką stanął przepiękny, szlachetny młodzian.

Sekretna komnata była bardzo skąpo umeblowana — tapczan, stolik, krzesła — i wszystkie te meble były bardzo stare. Ich kształty rysowały się pięknymi liniami nawet w nikłym świetle dwóch świeczek.

— Taca z kolacją — oświadczyła Elfryda — znajduje się u dołu schodów. Ale jest dla mnie za ciężka, więc nie udało mi się jej tu przydzwigać. Czy Wasza Wysokość zechciałby się sam potrudzić?

— Tak, jeśli tylko pani mi poświeci — odparł i zbiegł schodami w dół.

— Czy zechcesz pani zostać tu i spożyć kolację ze mną? — zapytał, gdy przy słabym blasku świec Elfrydy wniósł tacę z jedzeniem po schodach i umieścił na stole.

— Nie mogę — odparła Elfryda. — Kuzynka Ela jest taką niezdara, że nie wiedziałaby, co powiedzieć, gdyby wszedł ktoś ze służby i zdziwił się, że mnie nie ma... Ojej! Tak mi przykro, że zapomniałam. Ela nauczyła mnie, że mam przyklęknąć i ucałować rękę pana, zanim powiem choć słówko o kolacji. Więc zrobię to teraz.

— Nie — odparł piękny młodzian. — Zamiast tego ja ucałuję cię w policzek, moja malutka damo, i wypiję za zdrowie tego, kto otrzyma twe usta, kiedy osiągniesz siedemnaście lat, a ja będę miał... ile to?... pięćset?

— Dwieście trzydzieści — powiedziała Elfryda odwzajemniając serdecznie jego pocałunek. — Wasza Wysokość jest naprawdę miły. Jakżebym chciała, żebyś był prawdziwy. Ale teraz powinnam wrócić do Eli.

— Prawdziwy? — zdumiał się młody człowiek.

— Och, głupstwa plotę, wiem — odparła Elfryda. — No, pójdę już.

— Brak tacy zdradziłby was, moje panny — rzekł piękny młodzian, zdejmując jedzenie i wino z tacy i ustawiając na stole. — Zniosę tę ciężką tacę na dół. Masz pani całą odwagę, lecz niecałą przemyślność spiskowca.

— Jak długo Wasza Wysokość tu pozostanie? — spytała Elfryda. — Przypuszczam, że Wasza Wysokość ucieka przed kimś czy przed czymś, jak w podręczniku historii?

— Nie pozostanę tu długo — odparł. — A gdyby ktokolwiek spytał cię, pani, czy spotkałaś króla, co byś na to odpowiedziała?

— Odpowiedziałabym po prostu: Nie! — wyjaśniła śmiało Elfryda. — Bo przecież ja w gruncie rzeczy nie wiem, czy Wasza Wysokość jest królem. To tylko ty, panie, tak twierdzisz. A może w rzeczywistości wcale nie jesteś.

— Znakomicie! — zawołał młodzian. — Więc pani mi nie wierzy?

— Owszem, wierzę! — odparła Elfryda. — Chociaż wcale nie muszę.

— No tak — zauważył młodzieniec. — Takie jest życie. Ale chciałbym już być... Znalazłaby się wtedy dla kogoś korona hrabiowska.

— Gdzie chciałby pan być?

— Z dała stąd, moja malutka damo, w miejscu zupełnie bezpiecznym. Wracając zaś do koron hrabiowskich, mogę ci, pani, powiedzieć, że klejnoty są bezpieczne. Umieściłem je w sekretarzyku stojącym w rogu. Proszę sprawdzić.

I tak było istotnie.

Po tej rozmowie piękny pan zniósł na dół tacę, a Elfryda, sama będąc głodna, usiłowała przekonać Elę, że obie muszą porządnie się najeść, choćby po to, by zachować siły na sprostanie czynom wielkiej odwagi, jakich sytuacja może od nich w każdej chwili wymagać.

Ela oświadczyła jednak, że nie byłaby w stanie nic zjeść, że najmniejszy kąsek stanąłby jej w gardle i zadławił. Co zaś do pójścia spać, zapewniła kuzynkę, że doskonale zna swoje obowiązki wobec króla i że jeśli zajdzie potrzeba, bronić będzie osoby swego władcy nawet z poświęceniem własnego życia. W chwili gdy w swych wzniosłych wyznaniach doszła do szczytu, nagle jej przerwano.

Albowiem w głębokiej ciszy wieczornej rozległo się raptem potężne walenie w drzwi zamkowe i jakiś posępny głos męski zawołał:

— Otwierać! W imię Jej Królewskiej Mości!

— Już przyszli po niego! Wszystko stracone! Ktoś nas zdradził! Co teraz robić? Co robić?

— Jeść! — odparła Elfryda. — Jedz, jeśli ci życie miłe.

Pchnęła Elę na fotel, postawiła przed nią na stoliku talerz, prędko nałożyła nań kawałek pasztetu, drugi kawałek na swój własny talerz, a między talerzami umieściła koszyk z pieczywem.

— Napchaj sobie pełno pasztetu do ust — szepnęła kuzynce, sama dając jej przykład. — Zapchaj sobie usta tak, żebyś nie mogła wymówić słowa! Da ci to czas do namysłu.

W następnej chwili drzwi otworzyły się i salonik wypełnił się tłumem szlachty, ludzi o surowych obliczach, ubranych w stroje do konnej jazdy. Wszyscy trzymali w rękach szpady.

Ela, z ustami rzeczywiście pełnymi pasztetu, starała się nie patrzeć w stronę półki nad kominkiem.

Elfryda, z ustami również pełnymi pasztetu, spoglądała na tego z przybyłych panów, który zdawał się być przywódcą wszystkich. W końcu przełknęła i odezwała się:

— Piękny sposób budzenia ludzi o tak późnej godzinie!

— Wszystkie godziny są dobre dla lojalnych poddanych — odezwał się okrągły, tłusty, błękitnooki jegomość w zielonym ubraniu. — Czy dzisiaj przypadkiem nie nocuje pod waszym dachem ktoś obcy?

— Ach! — zawołała Ela. — Wszystko przepadło!

Tłum panów wymienił między sobą spojrzenia. Zaczęli tłoczyć się wokół Eli. Natomiast Elfryda wzruszyła tylko — ramionami swego rozumku — jeśli przyjąć, że rozum posiada

ramiona — i powiedziała sobie, że jest to bez znaczenia. Podręczniki historii z pewnością wiedzą wszystko najlepiej, a przecież to, co się niby dzieje obecnie, jest w gruncie rzeczy rozdziałem z podręcznika historii.

— Więc jest tutaj ktoś obcy? — wołali jeden przez drugiego panowie. — Gdzie on jest? Musi pani go wydać!

— Serce mówiło mi, że tak będzie! — zawodziła Ela.

— Wiedziałam, że to jego szukacie...

Z tymi słowy wytwornie zemdląła i padła w ramiona najbliższego z panów, ubranego w strój śliwkowego koloru. Pan ów zdawał się zwalczać w sobie jakieś uczucia, co sprawiało, że wyglądał, jak gdyby się śmiał.

— Zapytajcie dziecka... Dzieci i wariaci mówią prawdę — zawołał tłusty, błękitnooki jegomość.

Elfrydę uniesiono nagle w powietrze i postawiono na stole, skąd mogła widzieć wszystko ponad głowami otaczających ją panów. Widziała Elę spoczywającą na sofie oraz otwarte drzwi, w których tłoczyła się służba, przyglądająca się wszystkiemu z wytrzeszczonymi oczami.

— A teraz — ryknął tuzin głosów — prosimy mówić prawdę, panienczko!

— Co chcecie, panowie, wiedzieć? — spytała głośno Elfryda. Po czym, znacznie już cichszym głosem, dodała:

— Nic wam, panowie, nie powiem, dopóki nie odeślecie stąd służby.

Drzwi zamknięto, a następnie znów zażądano prawdy.

— Dobrze, ale najpierw musicie wyjaśnić mi, panowie, co chcecie wiedzieć — powiedziała dziewczynka.

— Czy jakikolwiek obcy śpi dzisiaj tu?

— Nie! — odparła stanowczo Elfryda. Wiedziała bowiem dobrze, iż piękny dżentelmen, ukryty w tajemnej komnacie, wcale nie śpi, lecz siedzi przy kolacji.

— Ale panna Arden powiedziała, że „wszystko przepadło”. I doskonale wie, że to jego poszukujemy!

— Dobrze więc — zaczęła z namysłem Elfryda — to było tak. Musicie, panowie, wiedzieć, że dzisiaj zostałyśmy ograbione na drodze przez rozbójnika, i myślę, że to właśnie rozstroiło nerwy mojej kuzynki. Niestety, jak mi się zdaje, raczej łatwo przyprawić ją o rozstrój.

— Bardzo łatwo! — przytaknęły liczne głosy, a ktoś dodał, że cała ta historia jest zupełnie zwariowana.

— Im krócej, tym lepiej — odezwał się jegomość w śliwkowym stroju. — Proszę nam powiedzieć, czy sir* Edward Talbot jest tutaj?

— Nie! — kategorycznie zaprzeczyła Elfryda. — Tutaj go nie ma! I zupełnie pojąć nie mogę, jakim prawem nachodzą panowie cudze domy i straszą ludzi tak, że dostają palpacji. Skoro tylko wróci lord Arden, zaraz mu o tym powiem. To wszystko, co mam do powiedzenia.

— Racja! — wykrzyknął ktoś, — Ta mała nie daje się zbić z pantalyku. I powtarzam, ma rację, niech mnie kule biją!

— Tam do licha! — zawołał inny głos. — Przecież chronimy dom lorda Ardena pod jego nieobecność!

— Jeżeli — odparła Elfryda — sądzą, panowie, że ten wasz Talbot zabawia się tu w chowanego, a na dobitkę uczynił coś złego, to możecie go sobie szukać, jeśli tylko macie po temu ochotę. Ale nie wydaje mi się, by Arden ucieszył się z tego. A teraz to już chyba wszystko. I chciałabym, jeśli łaska, znaleźć się z powrotem na podłodze!

* Sir (ang.) — pan, angielski tytuł szlachecki poprzedzający imię; także zwrot grzecznościowy stosowany w nagłówkach listów lub wobec osób starszych i przełożonych.

Nie sędę, drodzy czytelnicy, by Elfrydzie starczyło dość odwagi, by wszystko to powiedzieć, gdyby nie pamiętała, że przebywa w czasach historycznych, nie zaś dzisiejszych. Ale zebrana w saloniku gromada szlachty zdawała się być zachwycona jej męstwem.

Postawiono ją z wielką ostrożnością na posadzce, po czym przeprasząc w nieskończoność damy za przykre zamieszanie, cała gromada opuściła salonik, a następnie zamek. Elfryda słyszała przez okno roześmiane głosy oraz stukot kopyt końskich, gdy obcy dosiadali swoich wierzchowców i odjeżdżali. Wszyscy wydawali się czymś mocno rozbawieni. Elfryda miała świadomość, że obraca się w samym środku tajemnic.

Nie była w stanie znieść myśli, że mogłaby powrócić do swych czasów nie dowiedziawszy się, jaki będzie koniec przygody. W towarzystwie kuzynki Eli udała się na spoczynek do olbrzymiego łoża z baldachimem. Palpitacje kuzynki Eli trwały bowiem tylko tak długo, dopóki obcy panowie znajdowali się na zamku, i skończyły się z tą samą chwilą, gdy obcy zamek opuścili, co było rzeczą nader wygodną.

Nazajutrz Elfryda zerwała się już o świtaniu i pobiegła do saloniku. Chciała zobaczyć, jak miewa się król i czy przypadkiem nie życzy sobie w pierwszej kolejności wody do golenia jak tatuś Elfrydy. Ale było tak strasznie, strasznie wczesnie, że postanowiła chwilę zaczekać. Król na przykład mógłby jeszcze być senny, a senni panowie, jak wiedziała, nie zawsze byli wdzięczni za bardzo wczesne przyniesienie wody do golenia. Wobec tego wyszła z zamku na łąki, gdzie rosa pokrywała trawy siwą mgiełką, i wspięła się na Wzgórze Arden. Stała tam samotnie, słuchała śpiewu skowronków, spoglądała na zamek i podziwiała świeżość tynków powlekających mury, które otaczały domek mieszkalny dziadka. Aż wreszcie ujrzała dwie postacie nadchodzące polami od tej strony, gdzie wieża ardeńskiego kościoła wznosiła się ponad wierzchołkami drzew tak okrągłymi i zielonymi, jak pokarbowana nacina najlepszej pietruszki. Jeden z mężczyzn miał na sobie zielony płaszcz, drugi zaś — czerwony. Elfryda pomyślała, jaka to wygoda móc rozpoznawać ludzi z odległości pół mili tylko po kolorze ich ubioru.

Dwaj panowie najwyraźniej podążali w kierunku zamku, toteż Elfryda szybko zbiegła ze wzgórz i przywitała ich u bramy zamkowej grzecznym „Dzień dobry”.

— Panienska w każdym razie nie spoczywa w łożku — odezwał się osobnik w zieleni. — No i żaden obcy też nie spoczywał w Arden tej nocy, co?

Elfrydzie trudno było znaleźć odpowiedź. Niewątpliwie król spoczywał — a może i jeszcze spoczywa — w tajemnej komnacie. Ale czy on był obcym? Nie, oczywiście, że nie. Wobec tego...

— Nie — odpowiedziała dziewczynka.

W tej samej chwili w otwartym oknie saloniku ukazała się nagle i nieoczekiwanie noga w bucicu do konnej jazdy, następnie druga noga, aż wreszcie piękny dżentelmen w całej swej okazałości stanął przed zdumioną trójką.

— Hm, tak — mruknął. — Proszę mówić cicho, gdyż służba jeszcze nie wstała.

— Owszem, wstała — odparła Elfryda — tylko znajduje się w pomieszczeniach z tamtej strony zamku. Niech pan przekradnie się pod murem: w ten sposób wydostanie się pan stąd nie zauważony przez nikogo.

— Pani zawsze jest znakomitym doradcą — rzekł piękny dżentelmen składając dziewczynce głęboki ukłon. — Proszę udać się z nami, panienczko. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic.

Wszyscy wobec tego prześliznęli się wzdłuż murów zamkowych aż do narożnika, skąd między dwoma garbami wydm można było zobaczyć morze. Tam zatrzymali się.

— A zatem wygrałem zakład — powiedział piękny młodzieniec — mimo wszystkich twoich wysiłków, Fitzgeraldzie, aby mi w tym przeszkodzić. Bo przecież wcale nie było w planie wtargnięcia do zamku Arden o dziewiątej wieczorem, by ścigać mnie tam na wzór sfory gończych ścigających lisa.

— W niczym nie przeszkadziliśmy ci — odparł pan w zieleni. — Usiłowaliśmy zaskoczyć cię na drodze, ale byłeś tam o godzinę wcześniej.

— Ach! — zawołał przepiękny młodzian. — Nie ma nic łatwiejszego niż cofnięcie zegara. A oberżysta zajazdu „Pod Bykiem” lubi zawierać korzystne zakłady niemal tak, jak lubi złote gwineje.

— Chciałabym, żebyście, panowie, wyjaśnili mi wreszcie to wszystko! — wtrąciła Elfryda, niemal tupiąc nogami z zaciekawienia i niecierpliwości.

— Ależ wyjaśnimy, zaraz wyjaśnimy, moja droga — odparł śmiejąc się piękny młodzieniec.

— Czy pan nie jest królem? Przecież mówiłeś, że jesteś.

— Zaraz, zaraz, nie tak szybko. Pytałem cię, panieczek, co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że jestem królem Jakubem.

— Więc kim pan jest ostatecznie? — spytała Elfryda.

— Najzwyklejszym baronem Edwardem Talbotem, do usług waszej lordowskiej mości — odparł, składając znów jeden ze swych wdzięcznych ukłonów.

— Ale ja w dalszym ciągu nic nie rozumiem — oświadczyła Elfryda — więc proszę mi całą rzecz opowiedzieć od samego początku.

Wobec tego piękny pan opowiedział dokładnie całą historię, a pozostali panowie słuchali tego w milczeniu, tylko co jakiś czas wybuchając śmiechem.

— Ubiegłego wieczoru spożywałem kolację z obecnym tu panem Fitzgeraldem. Rozmowa zeszła, pośród innych tematów, na sprawę rozbojów na gościńcach, a także na pobliski zamek Arden. Wówczas ci dwaj panowie oraz jeszcze inni biorący udział w wieczerzy założyli się ze mną o pięćset funtów w złocie, że nie potrafię ograbić podróźnej kolasy. Przyjąłem ten zakład. Ponadto założyłem się, że ograbię kolasę z klejnotami Ardenów, a prócz tego spędzę noc w zamku ardeńskim, przy czym nikt nie będzie mnie tam znał z nazwiska. Dokonałem wszystkich tych trzech rzeczy, a więc wygrałem zakład. Przybyłem bardzo niedawno z zagranicy, toteż twoja kuzynka, panienko, nie mogła znać mnie z widzenia. Ale na rany boskie, dziecinko, gdyby nie ty, przegrałbym zakład. Liczyłem na pomoc panny Arden, tymczasem zastałem w zamku damę wytworną, lecz ustawicznie blednącą i mdlejącą, która w niczym nie potrafiłaby mi pomóc. Ty natomiast jesteś taką dziewczynką, jaka zdarza się chyba raz na tysiąc. Toteż przy najbliższej bytności w Londynie kupię dla ciebie najpiękniejszy, jaki zdołam nabyć, podarek... My wszyscy tu obecni jesteśmy przyjaciółmi. Nakłoń tylko swą piękną kuzynkę, by nie paplała, bo od nas nikt się o tej całej przygodzie nie dowie.

— Dobrze, ale co z tymi wszystkimi panami, którzy naszli zamek zeszłej nocy? Cała służba widziała ich i wie wszystko o najściu.

— Tamci panowie niewątpliwie przybyli po to, by bronić panny Arden na wypadek, gdyby nikczemny rozbójnik ukrył się za storą okienną. Ach! Cóż za mądre dziecko z ciebie, panienko! Dbasz o każdy słaby punkt w naszym pancerzu!

Po tych słowach opowiedział swym przyjaciółom pozostałe szczegóły przygody, oni zaś wciąż wybuchali wesołym śmiechem, chociaż przegrali zakład. Następnie poprzez skąpane w rosie łąki udali się każdy do swego domu na śniadanie.

„To bardzo pięknie z jego strony — powiedziała sobie w duchu Elfryda — że uważa mnie za bardzo dzielną i tak dalej, ale mimo wszystko wołałabym, żeby on był naprawdę królem”.

Kiedy po powrocie na zamek opowiedziała Eli o całym zdarzeniu, wszystko nagle straciło w jej oczach wartość. Już nie zależało jej na dalszym pozostaniu w tym okresie przeszłości. Wobec tego pobiegła na poddasze i poprzez mansardowy pokoik i gołębie gruchania wróciła do swoich własnych czasów. Zbiegła na dół i zastała Edreda siedzącego na sekundniku stokrotkowego zegara. Edred zaś w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że jego siostra oddaliła

się choćby na chwilę. Albowiem cały czas jej nieobecności nie był dla niego nawet mgnieniem oka, ponieważ siedział na sekundniku. Toteż kiedy Biały Kret ukazał się mówiąc, aby już wracali, dzieci wróciły, ale droga powrotna wiodła nie przez wnętrza, lecz na zewnątrz, wokół murów zamkowych, aż do narożnika, skąd można było zobaczyć morze. Tam położyli się oboje na ciepłej, nagrzanej od słońca trawie i Elfryda opowiedziała Edredowi o całej przygodzie. W pierwszej chwili nie chciał uwierzyć ani jednemu jej słowu.

— Ale kiedy to prawda, zapewniam cię — gorączkowała się. — Chyba nie wyobrażasz sobie, że wymyśliłam całą taką historię, co?

— Nie — odparł Edred. — Wcale sobie nie wyobrażam, nie jesteś na to dość pomysłowa. Ale mogłaś tę całą historię przeczytać w jakiejś książce.

— Ale nie przeczytałam! — obruszyła się Elfryda. — Co za gadanie!

— Jeżeli to wszystko działo się naprawdę, to mogłaś wrócić tu po mnie! Wiesz przecież, jak zawsze marzyłem o spotkaniu rozbójnika! Dobrze wiesz!

— Jak mogłam wrócić po ciebie? Jak mogłam zeskoczyć z konia, pobiec do domu, wejść między te skrzynie, gołębie gruchanie, przyjść tutaj i zabrać cię tam? Rozbójnik — to znaczy pan Talbot — odjechałby już dawno, nimbyśmy wrócili.

— Nie, nie odjechałby — upierał się Edred. — Zapominasz, że siedziałem na sekundniku i trzymałem zegar w bezruchu. Nie upłynęła ani odrobina czasu od chwili, kiedy znikłaś. Jeżeli w ogóle znikłaś...

— Czas był tam, ze mną... — zaczęła Elfryda. — Czy ty nie rozumiesz...

— Nie byłoby go tam — przerwał jej Edred — gdybyś wróciła po mnie.

— Ach, ty możesz doprowadzić człowieka do wściekłości! — Elfryda poczuła nagle, że traci opanowanie. — Przecież doprawdy nie możesz być aż tak głupi!

— O, doprawdy? Nie mogę? — wykrzyknął Edred. — A właśnie, że mogę, jeśli tylko zechcę! A nawet mogę być jeszcze głupszy... O wiele głupszy — dodał ponuro. — Poczekaj, to się przekonasz!

— Edred — powiedziała jego siostra powoli, lecz z wielką żarliwością. — Czasem wydaje mi się, że muszę tobą potrząsnąć.

— Nie ośmielisz się! — krzyknął Edred.

— A kto mi zabroni? Ty?

— Tak, ja! — zawołał ze złością Edred.

Oczywiście, rozumiecie sami, moi czytelnicy, że zgodnie z wszelkimi rodzinnymi prawami Elfryda miała obowiązek potrząsnąć bratem. Uczyniła to i wybuchnęła płaczem. Edred patrzył na nią przez chwilę, a potem... ale nie, łzy są rzeczą niemęską. Toteż nie zdradzę wam słabości mego bohatera. Opuśćmy więc zasłonę albo — jeszcze lepiej — obejdźmy zamek dokoła i wróćmy do rodzeństwa dopiero za chwilę.

* * *

Bardzo dobrze się stało, żeśmy na chwilę od nich odeszli, gdyż dzięki temu nie byliśmy świadkami bardzo przykrej sceny. A teraz, kiedy wróciliśmy, to jakkolwiek płacz trwa nadal, Elfryda jednak mówi bratu, że bardzo jej przykro, i stara się odnaleźć swoją chusteczkę do nosa, by pożyczyć ją Edredowi, ponieważ jego chustka gdzieś się właśnie zapodziała.

— Ach, już dobrze — powiedział chłopiec. — Ja także bardzo cię przepraszam. Więc jesteśmy kwita! Ale to, żeśmy się przeprosili, nie odrobi naszej kłótni. I to jest najgorsze! Bo teraz przez całe trzy dni nie będziemy mogli odnaleźć tych drzwi. Jaka szkoda, żeśmy się pokłócili. Aż niedobrze się robi!

— Nic nie szkodzi — odrzekła Elfryda. — Bo to nie była prawdziwa kłótnia z rodzaju tych: nigdy–już–nie–odezwę–się–do–ciebie–ani–słowem. Prawda?

— Nie przypuszczam, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie — powiedział posepnie chłopiec — jakiego rodzaju była nasza kłótnia. Ale poczekaj! Coś ci powiem! Opowiedz mi jeszcze raz wszystko o swojej przygodzie, a ja postaram się uwierzyć ci. Naprawdę będę się starał, dając na to słowo honoru Ardena.

Wobec tego Elfryda opowiedziała mu jeszcze raz swoją przygodę.

— A gdzie — spytał Edred, kiedy już skończyła — gdzie znajdują się klejnoty?

— Ja... oni... on włożył je do sekretarzyka w rogu tajemnej komnaty — wyjaśniła Elfryda.

— Gdybyś mnie zabrała z sobą i nie spieszyła się tak, strasznie... nie, nie, wcale nie chcę się z tobą kłócić, tylko rozumiem razem z tobą, jak ciocia Edyta, słowem, gdybym ja tam był na twoim miejscu, to zakopałbym gdzieś te klejnoty, a potem, po powrocie do mnie, odkopalibyśmy je i stalibyśmy się bogaci jak... jak kto? Jak to się mówi?

— Ja ani razu nawet nie wspomniałam kuzynce Eli o tym, gdzie są klejnoty. Może są tam jeszcze i teraz. Chodźmy i spróbujmy przekonać się.

— Jeżeli tam są — odparł Edred — to uwierzę we wszystko, co mi opowiedziałaś, i wcale nie będę się musiał wysilać. — Uwierzysz na pewno! Oczywiście, jeżeli tylko w zamku jest tajemna komnata, prawda?

— Może — rzekł z namysłem Edred. — W każdym razie chodźmy na poszukiwania. Boję się, że z tego wszystkiego dostanę bólu głowy. Nie powinnaś była mną potrząsać. Pani Honeysett mówi, że to bardzo niezdrowo, jak się kimś potrząsa, bo miesza się mózg w środku głowy i głowa boli, i ten potrząśnięty głupieje. Pewnie nawet dlatego powiedziałaś, że jestem głupi.

— Boże święty! — zawołała z rozpaczą Elfryda. — Wiesz przecież dobrze, że powiedziałam to, jeszcze nim tobą potrząsnęłam, a w dodatku potem cię przeprosiłam.

— Wiem o tym doskonale, ale to wychodzi na jedno. A teraz chodźmy i obejrzyjmy tę twoją tajemną komnatę.

Niestety, nic z tych zamiarów nie wyszło, bo właśnie była pora obiadu. Jeżeli wam się przydarzy, drodzy czytelnicy, poznać tajemnicę rzeźbionej płyty z ukrytymi za nią schodami, to nikt z was na pewno nie zechce wyjawić łatwo tej tajemnicy — tak na przykład, jak się mówi, który jest dzisiaj dzień tygodnia albo kiedy stoczono bitwę pod Waterloo, czy ile będzie siedem razy dziewięć — nie zdradzicie tego sekretu nikomu dorosłemu, nawet tak sympatycznemu jak pani Honeysett. Poza tym zaś świeżo usmażone befsztyki z jarzynami nie zdają się zbyt pasować do romantycznych zdarzeń z dawnych czasów. Poszukiwanie sprężyny owej płyty, podczas gdy obiad parował na stole; byłoby czymś tak niestosownym, jak przymierzanie nowej złotej korony na głowie pokrytej papilotami. Elfryda doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Edred zaś i tak tylko w niewielkim stopniu wierzył w tę tajemnicę. Zresztą, był bardzo głodny.

— Poczekajmy, zrobimy to później — szepnęli do siebie oboje, podczas gdy pani Honeysett zmieniała talerze.

— Wspaniale pani gotuje — powiedział Edred, gdy pokrojony placek agrestowy ukazał swe wnętrze w pięknym zielonym kolorze chryzolitów.

— A wy wobec tego wspaniale zajadajcie — odpowiedziała pani Honeysett — i trochę się z tym pospieszcie. Mam nadzieję, że nie splataliście dzisiaj żadnej psoty, co? Bo, prawdę mówiąc, macie takie miny, jakby nawet masło nie mogło rozpuścić się wam w ustach, a to u większości dzieci oznacza zawsze, że coś jest nie w porządku.

— Nie, naprawdę nic nie spsobiliśmy — oświadczyła z głębokim przekonaniem Elfryda. — I nie zamierzamy nic spsocić. A miny może i mamy trochę inne niż co dzień, ale to najprawdopodobniej dlatego, że uczesaliśmy się mokrymi szczotkami, a przez to wygląda się lepiej. Nieraz to zauważyłam.

— Byłam w domu ciągle zajęta przez cały ranek — ciągnęła pani Honeysett — ale uporałam się ze wszystkim, żeby po południu móc zajrzeć na chwilę do mojej siostry. Biedaczka znowu czuje się nieszczególnie, więc może zostanie u niej do późna. Ale Emilka, moja siostrzenica, przyjdzie mnie zastąpić. To bardzo, porządna i miła dziewczyna. Przygotuje wam podwieczorek i zajmie się wami jak najstaranniej. Tylko, proszę was, nie zróbcie nic takiego, czego nie zrobilibyście, gdybym ja była w pobliżu. Dobrze, moi drodzy?

Wszystko zatem układało się jak najlepiej. Dzieci doskonale zdawały sobie sprawę, że z Emilką, młodziutką dziewczyną, łatwiej sobie poradzą niż z panią Honeysett. Toteż skoro tylko pozostały same, omówiły wszystko dokładnie i po naradzie uznały, że najlepszą rzeczą będzie poprosić Emilkę, aby poszła na stację dowiedzieć się, czy nie nadeszła przypadkiem paczka dla panicza czy dla panny Arden.

— A jeżeli okaże się, że paczka nie nadeszła — chichotała Elfryda — to powiemy Emilce, żeby zaczekała na następne pociągi, aż paczka nadejdzie. A my pobiegniemy po nią i przyprowadzimy ją z powrotem, jak tylko wyjaśnimy sprawę tajemnej komnaty.

— Wiesz co? — zauważył z namysłem Edred. — Jak dotąd, nie bardzo troszczyliśmy się o znalezienie skarbu. A przecież chyba po to właśnie podróżowaliśmy w głąb historii.

— Ależ, Edredzie! — zawołała jego siostra. — Sam wiesz doskonale, że nie podróżowaliśmy w głąb historii w jakimś określonym celu.

— Tak — przyznał Edred — ale powinniśmy byli. Przypuśćmy, że skarb to były właśnie tamte klejnoty. Moglibyśmy je sprzedać i odbudować zamek Arden, żeby wyglądał tak jak kiedyś, prawda?

— No, chyba trochę klejnotów podarowalibyśmy cioci Edycie. Ona jest taka strasznie miła, sam zresztą wiesz najlepiej.

— Tak, naturalnie, ciocia Edyta miałaby prawo wybrać sobie z klejnotów, co zechce. Wiesz, wydaje mi się, jakbyśmy znaleźli się na jakiejś krawędzi, jakby lada chwila miało się coś wydarzyć. Nie w historii, tylko tutaj, w Arden — w Teraźniejszym Arden.

— Mam naprawdę nadzieję, że odnajdziemy klejnoty — rzekła Elfryda. — Och, tak! I mam także nadzieję, że damy sobie radę z tą porządną i miłą dziewczyną.

Odświętna suknia pani Honeysett miała piękny czerwony kolor, kolor, jaki dostrzec można już z bardzo daleka. Dzieci patrzyły za nią, aż jej okrągła postać znikła za pasmem wzgórz, po czym przystąpiły do uporania się z Emilką.

Okazało się, że z porządną i miłą dziewczyną bardzo łatwo można sobie poradzić. Pomysł, aby „wcisnęła na głowę kapelusz” i pobiegła na stację, spodobał jej się oczywiście znacznie bardziej niż myśl o zmywaniu talerzy i innych naczyń, użytych do befsztyków i agrestowego ciasta, a zwłaszcza niż szorowanie podłogi w kuchni, co według planu pani Honeysett miało być zadaniem Emilki na dzisiejsze popołudnie.

Najlepszy strój Emilki — wypuściła bluzkę na kretonową spódniczkę, aby wyglądać bardziej elegancko idąc przez wieś — był koloru żywego fioletu; też dobry kolor do zauważenia z oddali. Ją również dzieci obserwowały aż do chwili, gdy weszła na drogę wioskową.

— A więc teraz — zawołała Elfryda — jesteśmy zupełnie sami i możemy dokładnie zbadać wielką tajemnicę.

— Tak, ale przypuśćmy — powiedział Edred — że ktoś nagle nadejdzie, zaskoczy nas, zobaczy, cośmy znaleźli, i porwie klejnoty. Wtedy wszystko będzie stracone. A przecież wiesz dobrze, że wszędzie mogą się zjawić włóczędzy czy Cyganki z koszykami.

— Tak, to prawda! Proszą o szklankę wody albo pytają, która godzina. Wiesz co? Zamkniemy na klucz obydwójce drzwi, frontowe i kuchenne.

Tak też uczynili. Ale nawet i to nie zadowoliło Edreda, który nagle stał się niezwykle przezorny.

— Drzwi od saloniku także — oświadczył. Zamknęli więc na klucz drzwi od saloniku, a Elfryda umieściła klucz w bezpiecznym miejscu, „na wszelki wypadek”, jak powiedziała. Doprawdy, nie mam pojęcia, mili czytelnicy, co przez to rozumiała, a kiedy sama zaczęła się nad tym zastanawiać, to okazało się, że też nie wie. Ale w tamtej chwili wydawało jej się to jak najbardziej właściwe.

Dzieci zaopatrzyły się w świecę i pudełko zapalek, po czym nadeszła chwila rozstrzygająca, jak to mówią w opisach bitew.

Elfryda zaczęła w różnych miejscach dotykać rzeźbionych ram płyty, chcąc wymacać ukrytą sprężynę.

— Jak to się otwiera? — spytał Edred.

— Zaraz ci pokażę — odpowiedziała Elfryda. Ale nie potrafiła mu tego pokazać, bo w gruncie rzeczy sama nie wiedziała. Wiedziała tylko, że gdzieś znajduje się utajona sprężyna, więc macając obu rękoma rzeźbione wianuszki zdobiące ramy płyty, poszukiwała tej sprężyny stojąc nogami na dwóch poręczach bardzo wysokiego fotela, jedyne fotela w pokoju, z którego mogła sięgnąć do każdego miejsca ram. Nagle coś trzasnęło, utajone drzwiczki rozwarły się i gdyby dziewczynka nie zdążyła zeskoczyć na ziemię, uderzyłyby ją i przewróciły. Elfryda ponownie wspięła się na fotel i zagłębiła w otworze, a Edred podał jej świecę.

— A gdzie zapalki? — spytała dziewczynka.

— U mnie w kieszeni — odparł buńczucznie chłopiec. — Tym razem nie pozwolę ci wyruszyć beze mnie.

— Dobrze, to włącz tutaj, na schodki — odrzekła Elfryda, nie zważając na niesprawiedliwość jego słów.

— W porządku! — zawołał Edred, wspinając się na fotel. — Ale jak to się otwiera?

Wchodząc na fotel, przymknął bowiem połowę tajemnych drzwiczek i teraz szukał sprężyny, macając wśród rzeźbionych listków, tak jak to przedtem czyniła jego siostra.

— No, chodźże już — zawołała Elfryda. — Ach, uważaj!

Miała rację nakazując swemu nieostrożnemu bratu, by uważał. Bo gdy wyciągnął rękę, by dotknąć rzeźbionej ramy, fotel przechylił się na bok i Edred poleciał ku przodowi. Usiłował chwycić się ramy, aby nie upaść, ale jej nie dosięgnął i całym ciężarem ciała runął przed siebie na uchylone skrzydło drzwiczek. Drzwiczki zamknęły się z donośnym trzaskiem. I zaraz echo rozniosło po całym cichym domu odgłos ponownego trzasku, gdy Edred wraz z wielkim fotelem spadli na podłogę, wzajemnie, by tak rzec, spleceni ramionami.

Dzieci, przerażone tym, co się stało, zamarły. Po czym Elfryda zaczęła z drugiej strony walić pięściami w zatrzaśniętą płytę i wołać:

— Otwórz drzwi! Chyba nic ci się nie stało?

— Owszem, stało się, i to nawet bardzo — odpowiedział Edred leżąc na dywaniku przed kominkiem. — Zwichnąłem nogę w kolanie, nabiłem sobie porządnego guza na głowie i jakoś bardzo marnie się czuję.

— Tak, tak, ale przede wszystkim otwórz płytę! — zawołała Elfryda, nie przejawiając zbytniego współczucia dla cierpień brata. Na jej usprawiedliwienie można powiedzieć, że znalazła się sama zamknięta w zupełnych ciemnościach po drugiej stronie płyty.

— Kiedy nie wiem jak — odparł Edred i do Elfrydy doszły odgłosy jego wydobywania się spod wywróconego fotela.

— Wymacaj przycisk między rzeźbionymi liśćmi, tak jak ja to zrobiłam — pouczała brata.

— To bardzo łatwe. Spróbuj tylko, a zaraz znajdziesz to miejsce.

Odpowiedziało jej głucho milczenie.

ROZDZIAŁ VII

KLUCZ OD SALONIKU

Elfryda znajdowała się za sekretną płytą, a płyta zatrzasnęła się na sprężynę. Dziewczynka weszła tam w nadziei odnalezienia klejnotów ukrytych w tajemnej komnacie dwieście lat temu przez sir Edwarda Talbota, który chciał wówczas uchodzić za Kawalera Świętego Jerzego. Nie zdążyła rozejrzeć się i postanowić, od czego zacząć poszukiwania, gdy płyta się zamknęła. Teraz więc, kiedy znalazła się sama w ciemnym, zakurczonym przejściu, a od jasnego saloniku, gdzie został Edred, oddzielały ją zatrzaśnięte drzwi, klejnoty zdawały się nie mieć już żadnego znaczenia, a jedyne, co było okropne i miało znaczenie, to ta zatrzaśnięta płyta. Edred próbował ją szerzej otworzyć i spadł z fotela. No, ale miał już przecież dość czasu, żeby wstać, podnieść fotel i wspiąć się na nowo.

— Dlaczego nie otwierasz drzwiczek? — wykrzyknęła niecierpliwie Elfryda.

Ale odpowiedzi nie było. Cisza panująca w kryjówce za płytą zdawała się tysiąc razy głębsza niż kiedykolwiek przedtem. Na dobitkę było zupełnie ciemno. A zapalki znajdowały się w kieszeni Edreda.

— Edred! Edred! — wykrzyknęła znów na cały głos. — Dlaczego nie otwierasz tych drzwi?

Tym razem chłopiec odpowiedział.

— Bo nie mogę trafić na sprężynę — wyjaśnił.

Zdaje mi się, drodzy czytelnicy, że powinnam w tym miejscu zakończyć niniejszy rozdział i pozwolić wam aż do następnego rozdziału snuć własne domysły, w jaki sposób Elfryda się wydostała oraz jak czuła się w tym zamknięciu, które najwyraźniej zapowiadało się na o wiele za długie, by komukolwiek mogło sprawiać przyjemność.

Ale rozdział w takim wypadku byłby stanowczo za krótki, zresztą są inne jeszcze powody, by go tutaj nie kończyć. Nie będę więc ukrywać przed wami, moi drodzy, że gdy Elfryda włożyła rękę do kieszonki swojej spódniczki, wyczuła tam coś twardego i ciężkiego. I wówczas przypomniała sobie, że właśnie do tej kieszonki schowała klucz od drzwi saloniku, ponieważ uznała ją za niezwykle bezpieczne miejsce, gdyż z głębokiej kieszonki klucz w żaden sposób nie mógłby wypaść. Natrafiwszy na klucz dziewczynka wydała głos, który powszechnie znany jest jako głuchy jęk.

— Aha, więc teraz już sama rozumiesz! — odezwał się Edred. — Rozumiesz, że wcale nie jestem taki głupi.

Elfryda długo się zastanawiała.

— Wiesz co? — zawołała w końcu spoza zatrzaśniętej płyty. — Myślę, że na nic się nie zda, jak będę stała tutaj. Postaram się znaleźć drogę do schodków prowadzących do tajemnej komnaty. Szkoda tylko, że nie pamiętam, czy w tej komnacie jest okno. W każdym razie na twoim miejscu wyszukałabym sobie po prostu jakąś książkę i czytałabym czekając, aż coś się wreszcie wydarzy. Pani Honeysett z całą pewnością prędzej czy później wróci.

— Nie słyszę nawet połowy z tego, co ty mówisz! — zawołał w odpowiedzi Edred. — Mówisz tak niewyraźnie.

— Weź sobie książkę! — wykrzyknęła Elfryda. — I czytaj! Pani — Honeysett — wróci — prędzej — czy — później!

Wobec tego Edred wyszukał sobie na półce bibliotecznej książkę pod tytułem „W Krainie Czerwonej Szlafmicy”, która na pierwszy rzut oka wydała mu się interesująca. Co do mnie jednak, moi mili, nie doradzam wam tej lektury. A Elfryda tymczasem, z mocno bijącym

sercem, wyciągnęła ręce przed siebie, starając się trafić do schodków na końcu ciemnego korytarza.

„Wszystko jest jak należy — mówiła do siebie. — Tajemna płyta tkwi na swoim miejscu, tam gdzie tkwiła w przeszłości. Chodzi tylko o to, czy schodki przypadkiem nie zawaliły się. A może w rzeczywistości nigdy ich tu nie było? A jeżeli na przykład natknę się na ślepy mur czy coś w tym rodzaju? Albo może nie na mur, tylko na jakąś studnię?” — przyszło jej na myśl i nagle ogarnął ją dreszcz przerażenia. Od tej chwili każdy krok stawiała z najwyższą ostrożnością, aby przypadkiem nie trafić na próżnię.

Podłoga w korytarzyku była miękka, jakby wyłożona dywanem, i podobnie miękkie były również schodki. Okazało się bowiem, że schodki rzeczywiście znalazły się na drugim końcu korytarzyka. Elfryda wstępowała na nie bardzo powoli i ostrożnie, wciąż wyciągając ręce przed siebie. Aż wreszcie dotknęła rękoma czegoś, co sprawiało wrażenie drzwi. Przesunęła ręką wzdłuż framugi, by wymacać zasuwę, i po chwili trafiła na nią.

Drzwi tych najwidoczniej nie otwierano od dawna, bo stawiały opór i nie dawały się otworzyć. Elfryda musiała naciskać z całej siły ramieniem i kolaniem. W końcu jednak uchyliły się — raczej, jak sędzę, z uprzejmości, bowiem siła ramion i kolan Elfrydy była nader wątła — i oczom dziewczynki ukazała się komnata wyglądająca zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy widziała ją, gdy Kawaler Świętego Jerzego stał na progu i składał jej z uśmiechem ukłon przy świetle łożówki osadzonej w srebrnym świeczniku. Tylko że teraz Elfryda była zupełnie samiutka, a komnatę wypełniał zielonkawy półmrok sączący się z małego okienka znajdującego się nad kominkiem, ocienionego z zewnątrz grubą zasłoną bluszczu. Gdyby Elfryda weszła tu wprost z dworu, pełnego słonecznego blasku, nazwałaby to światło zieloną ciemnością. Ale że przebywała tak długo w zupełnych ciemnościach, ten cienisty półmrok wydawał jej się wcale miłą jasnością.

Mimo to, skoro tylko zamknęła za sobą drzwi komnaty, przysunęła do kominka fotel, wspięła się i spróbowała otworzyć okienko. Otwierało się do środka i, podobnie jak drzwi, początkowo nie dawało się uchylić. Lecz i ono w końcu okazało uprzejmą zgodę na jej życzenie, a kiedy wreszcie otwarło się nagle, Elfryda sięgnęła na zewnątrz i zaczęła obrywać liście bluszczu, dzięki czemu w komnacie robiło się coraz jaśniej. Dziewczynka pilnie wystrzegала się, by liście nie spadały na zewnątrz, i rzucała je wszystkie na palenisko kominka. „Bo — jak mówiła sobie — nie chcemy przecież, żeby ktokolwiek obcy dowiedział się czegokolwiek o tajemnych kryjówkach Ardenów. Cieszę się, że o tym zawczasu pomyślałam. Uważam, że naprawdę zachowuję się jak detektyw w książce”.

Kiedy już zerwała wszystkie liście zasłaniające otwór okienny, pozostawiając tylko brązowe łądygi, zajęła się komnatą. Wszystkie meble pokrywała gęsta warstwa kurzu i to, że po podłodze chodziło się tak miękko, sprawiał grubo nawarstwiony kurz. Pośrodku znajdował się stół, na którym Kawaler Świętego Jerzego — nie, sir Edward Talbot — umieścił tacę. Wokół stołu stały fotele, a w rogu komnaty widniał oczywiście sekretarzyk, wewnątrz którego piękny młodzian umieścił klejnoty.

Elfryda otworzyła drzwiczki sekretarzyka z trudną do określenia mieszaniną nadziei i obaw. Wewnątrz widniały trzy półki, lecz na żadnej z nich nie było nawet śladu klejnotów. Właściwie nic w ogóle nie było na żadnej z półek. Ale po wewnętrznej stronie drzwiczek ręka Elfrydy, gdy dziewczynka je otwierała, wyczuła coś szorstkiego. Spojrzała w to miejsce i zauważyła wyryte jakieś słowo. Otworzyła więc drzwiczki szeroko, tak by padało na nie pełne światło, i wówczas przekonała się, że ów napis brzmiał „E. Talbot”. Teraz zatem wiedziała już na pewno, że wszystko to, co kiedyś widziała w tej komnacie, musiało rzeczywiście zdarzyć się dwieście lat temu i nie było żadną białokrecią sztuczką magiczną.

Jeszcze raz wspięła się na krzesło i wyrzała na zewnątrz przez okienko. Ale z tego okienka nie było widać murów zamkowych, tylko odległy łańcuch wzgórz i przecinającą go

dróżkę, która wiodła do stacji. Ach, jakże bardzo pragnęła ujrzeć zbliżającą się po tej dróżce czerwoną czy fioletową postać! Cóż, kiedy na dróżce nie było widać żadnej w ogóle postaci.

Co czynicie zazwyczaj, drodzy czytelnicy, kiedy jesteście zamknięci w tajemnej komnacie bez żadnych widoków wydostania się stamtąd przez Bóg wie ile godzin? Co do mnie, to zawsze w takich razach recytuję sobie różne wiersze. Jest to jeden z wielu pożytków, jakie daje poezja; można sobie recytować rozmaite wiersze we wszystkich krytycznych lub kłopotliwych sytuacjach czy też kiedy trzeba długo czekać na stacjach kolejowych, lub na przykład jeżeli ktoś nie może do późna zasnąć. Przekonacie się, że we wszystkich takich wypadkach wiersze przynoszą ogromną korzyść. Toteż radzę wam nauczyć się ich jak najwięcej. Uważajcie przy tym, aby to były jak najlepsze wiersze, gdyż takie przynoszą najwięcej pożytku, a zarazem dają najwięcej przyjemności. Elfryda zaczęła od:

*Czapla stara, jak to bywa,
trochę ślepa, trochę krzywa...*

ale poniechała tego, gdyż ten wierszyk najprzyjemniej deklamowało się jej w obecności innych osób. Wobec tego zaczęła recytować bajkę „Kruk i lis”. Ten wiersz powtarzała sobie przez długi czas. Następnie zaczęła recytować bajkę „Małpa w kąpielu”, ale gdy doszła do połowy, nagle, doprawdy nie wiem dlaczego, pomyślała ni stąd, ni zowąd o Białym Krecie.

„Myśmy przecież właściwie nie pokłócili się — tłumaczyła sama sobie. — W każdym razie nie była to żadna prawdziwa kłótnia. Tak czy owak mogę spróbować”.

Zabrała się więc do układania wierszyka, żeby za jego pomocą przywołać Białego Kreta.

I oto jak, po długim czasie, ułożyła się jej pierwsza część wierszyka:

*Biały Kret rodem z Arden
Przysiągł na bogów dziewięciu,
Że Elfryda z Arden
Nie będzie już dłużej w zamknięciu.*

*Przysiągł na bogów dziewięciu
I określił, kiedy się to stanie,
Wysłał gońców w cztery strony świata,
By Elfrydę uwolnić z zamknięcia.*

Ale kiedy wypowiedziała ten wierszyk na głos, nic się nie wydarzyło.

„Ciekawa jestem — rozmyślała Elfryda — czy to dlatego, żeśmy się pokłócili, czy może dlatego, że wierszyk powiada, że Biały Kret mnie uwolni, ale nie proszę go w nim o to, a może dlatego, że mówiąc Elfryda położyłam akcent na pierwszej sylabie, bo tak mi się wierszyk układał, albo wreszcie po prostu dlatego, że ten wierszyk jest tak zupełnie bez sensu. Spróbuję jeszcze raz”.

Spróbowała ponownie. Tym razem wyszło jej tak:

*Zamknięta przez sekretnej płyty drzwi,
Smutna Elfryda w mroku tkwi
I bardzo pragnie do domu wyjść.
Choć jestem w domu, oczywiście,
Lecz niemożliwe jest stąd wyjście.
O Biały Krecie, przyjdź, przyjdź, przyjdź!*

Elfryda zaczęła recytować wierszyk na głos, a gdy wypowiedziała ostatnie jego słowa, ujrzała, że u jej stóp siedzi na podłodze Biały Kret i przygląda się jej zmrużonymi oczkami.

— Jakiś ty dobry, żeś przyszedł! — zawołała dziewczynka.

— No, a czego teraz ci się zachciało? — spytał Kret.

— Ja... ja powinnam właściwie powiedzieć ci, że nie powinnam cię o nic prosić, ale pomyślałam sobie, że gdyby tamto rzeczywiście liczyło się za prawdziwą kłótnię, tobyś wcale nie przyszedł. Ale to była tylko bardzo malusieńka kłótnia i zaraz obydwójce potem przeprosiliśmy się nawzajem bez żadnego wahania.

— Masz rzeczywiście bardzo prostolinijną naturę — orzekł Biały Kret. — Ale z tym wszystkim wpakowałaś się w piękną kabałę, nie ma co mówić.

— Och, byłaby to piękna, a nawet b a r d z o piękna kabała — odparła z naciskiem Elfryda — gdyby tylko ta płyta była otwarta. Wtedy mogłabym siedzieć tutaj nie wiem jak długo. Dziwne to, prawda?

— Tak — przyznał Kret. — Ale, widzisz, gdybyście się nie pokłócili, tobym z łatwością przeniósł was w inny czas — w taki czas, kiedy płyta była otwarta — a wtedy mogłabyś sobie swobodnie stąd wyjść. Doprawdy, nie należało się kłócić. Wszystko przez to zupełnie się zmienia. To jest tak, jak nasypanie piasku w jakiś mechanizm. Albo jak zatrzymanie kółek zegara.

— Ach, prawda, zegar! — wykrzyknęła Elfryda. — Czy nie można by go troszeczkę cofnąć?

— Nie rozumiem, co masz na myśli — oświadczył Kret.

— Ja sama także nie jestem całkiem pewna, czy wiem, o co mi chodzi — przyznała Elfryda. — Ale pomyślałam o tym stokrotkowym zegarze. Kiedy usiądzie się na sekundniku, to czas przestaje płynąć, a jednocześnie czas płynie i dzieje się mnóstwo rzeczy wszędzie tam, gdzie nie siedzi się na sekundniku. Gdybym mogła usiąść na stokrotkowym zegarze, to nie minęłaby nawet chwila od teraz aż do tego czasu, kiedy ktoś przyjdzie mnie stąd wypuścić. Tylko że nie mogłabym dostać się do stokrotkowego zegara, nawet gdybyś go dla mnie zrobił. Więc to i tak na nic.

— Bardzo pomysłowa z ciebie dziewczynka i bardzo sprytna — oświadczył Biały Kret — ale na całym świecie nikt nie robi zegarów ze stokrotek. Jednakże może uda mi się coś dla ciebie uczynić. Przysuń wszystkie stoły i krzesła do ściany.

Podczas gdy Elfryda wykonywała ten rozkaz, Biały Kret stanął na tylnych łapkach i cichutkim głosikiem zaczął coś mówić w języku zupełnie dla dziewczynki niezrozumiałym. Inni natomiast, jak się zdaje, rozumieli ten język, gdyż nagle przez okienko sfrunął do pokoju biały gołąbek, a następnie przyfrunęło jeszcze mnóstwo innych białych gołębi, tak że w końcu zdawało się, że komnata pełna jest kołujących skrzydeł i cichego gruchania, i na podłogę zaczęła opadać chmura miękkich piórek, bielutkich jak śnieg.

Kret umilkł, a białe gołąbki, jeden po drugim, zaczęły wyfruwać z powrotem przez okno w błękitno-złoty świat.

— Stań na krześle i usuń się im z drogi — nakazał Biały Kret i Elfryda natychmiast to uczyniła.

Nagle przez komnatę powiał lekki wiaterek — taki wiaterek, jaki wieje łagodnie w otoczonych murkiem ogródkach i strąca płatki róż w jasne, letnie poranki. W małej komnacie lekki wietrzyk poruszył białymi piórkami zaścielającymi podłogę i zaczął je rozwiewać i zwiewać w różnych kierunkach, tworząc esy-floresy, aż w końcu na zakurzonej podłodze ukazała się tarcza zegara z wszystkimi cyframi, wskazówką godzinową i minutową oraz sekundnikiem. A w samym środku zegara stał Biały Kret.

— Wszystko, co białe, musi mi być posłuszne — oświadczył. — Chodź tutaj i usiądź na sekundniku, a w mgnieniu oka znajdziesz się tam.

— Gdzie? — spytała Elfryda, schodząc z krzeselka.

— Jak to: gdzie? W czasie, kiedy ktoś będzie otwierał płytę. Ale najpierw ja muszę zejść z zegara. A przy okazji oddaj mi klucz od saloniku. W ten sposób, w ostatecznym wyniku, zaoszczędzimy dużo czasu.

Elfryda usiadła więc na sekundniku, który natychmiast ruszył, i to o wiele prędzej, niż ktokolwiek z was mógłby sobie wyobrazić. Przy tym siedziło się na nim bardzo miękko i wygodnie, niczym na chmurce, gdyby prawa przyrody kiedykolwiek pozwoliły siadywać na chmurkach. Wskazówka z siedzącą na niej Elfryda obracała się tak szybko, że dziewczynka nie zdążyła się nawet rozejrzeć, a już znalazła się na podłodze, usłyszała jakieś głosy i wiedziała na pewno, że sekretna płyta znowu jest otwarta.

— Aha, rozumiem — powiedziała roztropnie. — Wskazówka obraca się w kierunku odwrotnym, prawda?

Ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi, albowiem Biały Kret znikł jak kamfora. Białe zaś piórka gołębie leżały całymi stosami na podłodze. Przyjrzała im się dokładnie, gdy wstała. Nie układały się w kształt zegara. I nie było żadnego cyferblatu.

* * *

Edred szybko znudził się lekturą „W Krainie Czerwonej Szlafmocy”, która to książka doprawdy nie jest nawet w części tak zabawna, jak by to sugerował tytuł, nawet dla dorosłych. Potem spróbował czytać różne inne książki. Ale czytanie jakoś go wcale nie bawiło. Ponadto w całym domu panowała niepokojąca i przygnębiająca cisza. Zegar w saloniku tykał o wiele za głośno, Elfryda była zamknięta w tajemnej kryjówce, okna saloniku były okratowane, a drzwi zamknięte na klucz. Edred krążył po pokoju, siadał na każdym fotelu po kolei, ale żaden z nich nie wydał mu się przyjemny do siedzenia, a myśli chłopca też nie były przyjemne. Bo jeżeli na przykład nikt się nigdy nie zjawi, żeby go uwolnić? Jeżeli całe lata będą płynąć, a on wciąż będzie więźniem, nawet gdy już stanie się siwym staruszkiem, jak więźniowie w Bastylji czy też słynny więzień w Żelaznej Masce? Na samą myśl o tym oczy Edreda napęłniły się łzami. Na szczęście nie uprzytomnił sobie, że jeżeli nikt nie nadejdzie dość szybko, żeby go uwolnić, to jego widoki dożycia późnego wieku będą bardzo nikłe, gdyż ludzie nie mogą żyć długo bez jedzenia. Gdyby Edred o tym pomyślał, czułby się jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

Potem zaczął się zastanawiać, czy Elfrydzie „coś” się nie przydarzyło. Bo poza zatrzaśniętą płytą panowała przerażająca cisza. Edred szalenie teraz żałował, że się z siostrą pokłócił. Wszystko było takie okropne. Podszedł do okna i — podobnie jak to uczyniła Elfryda — wyrzwał na zewnątrz, czy nie widać przypadkiem czerwonej lub fioletowej sukni zbliżającej się dróżką przecinającą łańcuch wzgórz.

Niestety, panowała tam pustka. A czas dłużył się niemiłosiernie, ciągnął się w nieskończoność jak wijący się na całą swoją długość wąż, kiedy trzyma się go w ciepłych rękach. Aż wreszcie, przywalony ogromem nieszczęść, napłakawszy się do woli i stwierdziwszy, że dawno już minęła pora podwieczorku, chłopiec zasnął na fotelu w wykuszu okiennym.

Nagle czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu i jakiś głos wypowiedział jego imię.

Już w następnej chwili znalazł się w objęciach cioci Edyty, a raczej na tyle w objęciach, na ile pozwalały żelazne kraty w oknie.

Chłopiec opowiedział cioci szczegółowo, gdzie się znajduje Elfryda i co się stało z kluczem od saloniku. Zajęło to sporo czasu, a skończywszy swoją opowieść Edred znowu wybuchnął płaczem, bo nadal nie umiał sobie wyobrazić, jak mógłby wydostać się z saloniku.

— Nie rozpaczaj, mój ty kochany głuptasku — rzekła ciocia Edyta. — Nawet gdyby nie można było uwolnić cię w jakiś zwyczajny sposób, to sprowadzę po prostu ślusarza. Ale popatrz, co znalazłam na samym środku dróżki, kiedy szłam tutaj ze stacji.

Z tymi słowy ciocia pokazała mu znaleziony przedmiot. Był to klucz. A do klucza przymocowana była tabliczka z kości słoniowej, na której widniał napis: „Drzwi do saloniku, Arden”.

— Możesz go teraz wypróbować — powiedziała ciocia Edyta.

Edred uczynił to i klucz doskonale pasował. Chłopiec otworzył więc zarówno drzwi od saloniku, jak i drzwi frontowe, tak by ciocia Edyta mogła wejść do środka.

Następnie ciocia i Edred przynieśli wspólnie drabinkę z kuchni, po czym odszukali ukrytą sprężynę, otworzyli płytę nad kominkiem i uwolnili z kryjówki Elfrydę, całą pokrytą kurzem. Ciocia Edyta natychmiast rozpałała ogień w kuchni i postawiła wodę na herbatę, toteż wkrótce mogli już zasiąść do podwieczorku, którego wszyscy byli doprawdy bardzo spragnieni. W dodatku ciocia Edyta przywiozła z sobą świetne herbatniki z różowym lukrem, bardzo miękkie i nadziewane konfiturami z moreli. Powiedziała im też, że pozostanie z nimi aż do niedzieli wieczorem. Sekretna płyta wzbudziła u cioci Edyty równie wielkie zainteresowanie, co uprzednio u dzieci i wobec tego po podwieczorku (kiedy Edred przyprowadził już z powrotem Emilkę z owej zwariowanej wyprawy na stację po paczkę, na którą dziewczyna wciąż jeszcze czekała) ciocia wraz z bratanicą i bratankiem zbadali gruntownie tajemne schodki i tajemną komnatę.

— Co za niezwykła ilość gołębih piórek! — zawołała ciocia Edyta. — Musiały gromadzić się od Bóg wie ilu lat.

— Jakie to szczęście, że ciocia znalazła ten klucz! — odezwał się Edred. — Ciekaw jestem, kto go tam zgubił. A gdzie jest ten drugi, Elfi?

— Nie mam pojęcia — odparła szczerze Elfryda. — W każdym razie nie ma go już w mojej kieszeni.

I chociaż Edred wraz z ciocią Edytą przeszukali wszystkie zakamarki schodków i tajemnej komnaty, nigdzie nie znaleźli nawet śladu owego klucza.

Jedna jedyna Elfryda wiedziała, że dała klucz Białemu Kretowi. Ponieważ zaś pani Honeysett oświadczyła, że od kiedy ona nastąpiła, nigdy nie było klucza do saloniku z przymocowaną do niego tabliczką, wszystko więc przemawiało za tym, że to Kret musiał położyć klucz na dróżce do stacji, i to na tak widocznym miejscu, by go ciocia Edyta z całą pewnością mogła znaleźć, a ponadto, żeby zapobiec pomyłce, przymocował do niego tabliczkę z napisem. Skąd Biały Kret wziął tabliczkę, to całkiem inna historia, ale ja osobiście sądzę, mili czytelnicy, że znalezienie odpowiedniej tabliczki do klucza jest rzeczą bardzo prostą; mnie samej nieraz się to udawało. Natomiast sporządzenie cyferblatu z piórek białych gołębi to już sprawa nader trudna, w każdym razie mnie się to nigdy nie udało. Jeśli zaś chodzi o zrobienie cyferblatu, który by potrafił skłonić czas do posuwania się szybko lub powoli, zależnie od czyjegoś życzenia — no, to już jest rzecz, jakiej nawet wy, moi drodzy, nie zdołalibyście dokonać.

Elfryda poczuła wielką ulgę, gdy wróciła do zwyczajnego świata, w którym czarodziejskie krety nie urządzają żadnych sztuk z zegarami, świata bardzo przyjemnego dzięki obecności przemyśłych cioci. A także dzięki uroczym grom, jakimi rozkoszują się wszyscy zwyczajni ludzie. Grom takim, jak „Łowienie naparstka”, „O czym w tej chwili myślę” albo też „Przysłowia”. Wszyscy troje spędzili w znakomitym nastroju cały sobotni wieczór i niedzielę, a ciocia Edyta opowiedziała dzieciom wszystko, czego tylko chciały się dowiedzieć o lokatorach i domku nad morzem, który zdawał się być już czymś bardzo odległym w czasie i przestrzeni.

W niedzielę wieczorem, gdy wszyscy troje wracali do domu z ardeńskiego kościoła, gdzie dzieci usilnie starały się skupić wyłącznie na nabożeństwie i nie przyglądać się zbyt grobowcom i pomnikom dawno zmarłych Ardenów, wypełniającym wszystkie wnęki z obu stron prezbiterium, cała trójka siadła dla odpoczynku na Wzgórzu Arden i ciocia Edyta usiłowała wytłumaczyć dzieciom niektóre rzeczy. Opowiedziała im znacznie więcej, niż

mogły zrozumieć, o testamentach, kuratorach i dochodach. A dzieci czuły się zaszczycone okazaniem im przez ciocię zaufaniem i faktem, iż zdawała się sądzić, że potrafią zrozumieć sprawy przeznaczone wyłącznie dla osób dorosłych.

W wyniku tych wszystkich wynurzeń cioci jedna rzecz utkwiła w ich młodocianych umysłach tak, jak tkwi na mieliźnie statek wyrzucony przez fale przypływu. A mianowicie, że zamek Arden należy do nich, ale że mają o wiele za mało pieniędzy, aby go utrzymać w należytych stanie. Wobec czego wszyscy muszą być bardzo oszczędni w wydatkach i nikt nie może sobie pozwolić na rozrzutność. Ciocia Edyta wybiera się ponownie w świat prawników, testamentów i kuratorów wczesnym rankiem w poniedziałek, dzieci więc powinny być bardzo grzeczne, nie sprawiać żadnego kłopotu pani Honeysett, a zwłaszcza nigdy nie zamykać się na klucz ani też chować klucza w jakimkolwiek „pewnym i bezpiecznym miejscu”.

Wszystko to pozostało w ich pamięci jako trwałe efekt bardzo skądinąd przyjemnej rozmowy, toczącej się na Wzgórzu Arden, w łagodnym zapadającym zmierzchu.

I jeszcze jedna rzecz pozostała im w pamięci, rzecz, którą Edred ujął w bardzo prostych słowach w drodze powrotnej ze stacji, dokąd dzieci odprowadziły ciocię Edytę na pociąg i serdecznie pomachały jej na pożegnanie.

— To naprawdę jest bardzo ważne — powiedział Edred — żebyśmy odnaleźli ten skarb. Bo wtedy bez najmniejszego kłopotu moglibyśmy „utrzymać” zamek. Musimy, oczywiście, najpierw go odbudować, a dopiero potem zająć się utrzymaniem go. Ale nie będziemy mieli żadnych starych zegarów i tym razem będziemy ciągle trzymać się razem. Jak tylko upłyną trzy dni od naszej kłótni, to obydwójce zaraz pobiegniemy na górę, odszukamy poddasze i poprosimy Białego Kreta, żeby nas wysłał do takich czasów, kiedy naprawdę będziemy mogli zobaczyć skarb na własne oczy. Zdaje mi się, że to jest dobry plan, jak uważasz? — zapytał ze skromną dumą.

— Bardzo dobry — odparła Elfryda. — I wiesz, Edred, ja naprawdę nie mam najmniejszej ochoty kłócić się kiedykolwiek, jeżeli tylko potrafię. To taka strata czasu — dodała tonem zupełnie dorosłej osoby — i tylko wszystko odwleka. A zwłoka jest niebezpieczna. Tak przynajmniej mówi się w grze w „Przysłowia”. Wyobraźmy sobie, że nadarzyłaby się prawdziwa okazja, żeby dostać skarb w swoje ręce, a tymczasem my z powodu kłótni musielibyśmy czekać całe trzy dni. Ale powiem ci o pewnym odkryciu, jakiego dokonałam: Białego Kreta można przywołać i poprosić o pomoc, nawet jeżeli się przedtem troszkę pokłóciło. Bo ja tak właśnie zrobiłam.

Po czym powiedziała mu dokładnie, jak to było.

— Ale przypuszczam — dodała — że Kret przyszedłby tylko wtedy, gdybym znalazła się w najostateczniejszych kłopotach i nie mogła liczyć na żadną pomoc ze strony ludzi.

— No, teraz nie mamy takich kłopotów — odparł Edred, strącając trzymanym w rękę kijkiem makówkę. — I nawet bardzo się cieszę, że nie mamy.

— Ciekawa jestem — powiedziała Elfryda — kto też może mieszkać w tej chatce, gdzie mieszkała czarownica. Wiem bardzo dokładnie, gdzie to jest. Tylko myślę, że chatka pewnie już dawno się zawaliła. Ale przejdźmy się w tamtą stronę. W ten sposób będziemy mieli jakiś cel spaceru.

Dzieci udały się więc w tamtą stronę i całkiem łatwo odnalazły drogę. Ale kiedy dotarły do miejsca, gdzie w czasach Napoleona stała waląca się chatka, w miejscu tym znajdował się mały, kryty dachówką domek z niebieskim afiszem nalepionym na żółtej ścianie z cegły, który głosił, że można tu dostać lemoniadę i wody mineralne. Domek wyglądał nieciekawie, a dzieci nie miały przy sobie ani grosza na lemoniadę, zawróciły więc, żeby pójść do domu, i nagle znalazły się twarzą w twarz ze starą nieznaną kobietą. Miała na sobie bluzkę w czerwono-czarną kratkę i czarną, kupioną w sklepie z gotową konfekcją spódnicę, a na głowie spiczastą męską czapkę, jakie obecnie kobiety na wsi noszą zamiast ślicznych czepeczków noszonych w czasach, kiedy ja, moi mili, byłam małą dziewczynką.

— No więc zwalili starą chatynkę — powiedziała kobieta. — Założę się, że ten nowy domek będzie wygodny i suchy. W dawnej chatce deszcz tak lał się przez dach, że właściwie równie dobrze można było nocować na dworze.

Dzieci słuchały bardzo grzecznie i zastanawiały się, gdzie też już przedtem widziały tę kobietę, bo jej twarz wydawała im się jakoś dziwnie znajoma, choć równocześnie nie miały wrażenia, że znają ją naprawdę.

— Prawie wszystkie chaty w tej okolicy — ciągnęła dalej kobieta — są już zupełnie nie do mieszkania. Kiedy Arden odnajdzie wreszcie swój skarb, to chyba dopilnuje, żeby biedni ludzie mieli do spania suche, ciepłe miejsce, prawda?

I nagle w ciągu sekundy dzieci już wszystko wiedziały, a stara kobieta widziała, że one wiedzą.

— Ależ — zawołał Edred — pani jest...

— Tak — potwierdziła nieznajoma. — Ja jestem tą czarownicą, którą spotkaliście w pradawnych czasach. Jeżeli wy możecie cofać się w przeszłość, to ja dla odmiany mogę wybierać się w przyszłość. Bo i kiedyś, i teraz jest tym samym, jeżeli tylko potrafię sporządzić zegar.

— Czy pani potrafi sporządzać zegary? — zapytała Elfryda. — Bo ja myślałam, że tylko...

— Bo tak jest — odparła czarownica. — Ja sama nie potrafię sporządzić zegara, ale znam takich, co potrafią. A zjawiłam się tutaj, żeby was odszukać, boście mi wtedy przynieśli herbatę i cukier. Ja mam oczy, które widzą wszystko. Mogę, kiedy chcę, zobaczyć to, co było, i to, co będzie... Popatrzyłam w przód i zobaczyłam was obydwój, a potem obejrzałam się wstecz i zobaczyłam to, czego szukacie. Wiem, gdzie jest ten skarb...

— Ale skąd pani wzięła tę dziwną bluzkę i spódnicę? — spytał Edred. A było to pytanie, którego później miał wszelkie powody żałować.

— Och, ubranie to rzecz najłatwiejsza — odparła czarownica. — Gdyby chodziło tylko o ubranie, mogłabym nawet w tej chwili zmienić się w królową w koronie.

I nagle dzieci doznały przelotnego wrażenia, że stoi przed nimi na tle ogrodzonego pólka kartofli wspaniała dama w purpurze, gronostajach i złotej koronie na głowie. Zamrugwały oczami, przestraszone, i stwierdziły, że wcale nie widzą purpury ani złota, tylko nędzny przyodziewek czarownicy na tle kartofliska.

— A jak się pani tutaj dostała? — spytał Edred.

— Moja stara kwoka wysiaduje teraz na cyferblacie zegara — odpowiedziała czarownica. — Unieruchomiłam ją nakreśliwszy za pomocą kawałka kredy linię od jej dzioba prosto w świat czarów. Kiedy kura ocknie się, muszę tam powrócić, a nie mogę zjawić się tu więcej niż jeden raz, moi drodzy. Chodźmy więc prędko na zamek, a pokażę wam miejsce gdzie ukryty został skarb. Moja prababka, będąc małą dziewczynką, widziała przypadkiem, co z nim zrobiono.

Cała trójka ruszyła pospiesznie stroną dróżką wiodącą przez łąki.

— Ileż to razy — ciągnęła czarownica — moja prababka pokazywała mi to miejsce. To jest akurat tam...

Nagle czarownica znikła, jakby się rozplynęła w powietrzu. Edred i Elfryda byli zupełnie sami na dróżce. Stara kwoka musiała widocznie, nie zważając na kredową linię, zejść z cyferblatu.

— Znikła bez najmniejszych wątpliwości — rzekł Edred — i teraz już nigdy niczego się nie dowiemy. I znikła akurat w chwili, kiedy miała nam pokazać kryjówkę. To już jest tak głupie, że przechodzi wszelkie pojęcie!

— To ty jesteś tak głupi, że przechodzi wszelkie pojęcie — zaperzyła się Elfryda. — Co cię też skusiło, żeby ją wypytywać o jej idiotyczne ubranie? To wszystko przez to. Do tej pory zdążyłaby już pokazać nam kryjówkę, gdybyś ty nie zabrał jej czasu rozpytywaniem o

jej ubranie. Jakby to ubranie miało jakiegokolwiek znaczenie! Doprawdy, bardzo bym chciała, żebyś przynajmniej czasami zachowywał się tak, jakbyś miał choć odrobinę rozumu!

— Gadaj tylko w ten sposób dalej! — wykrzyknął z goryczą Edred. — Jakby i tak wszystko nie szło jak z kamienia! A teraz przez twoje zrzęczenie będziemy musieli czekać trzy dni. Ale nie ma co się dziwić, zachowujesz się po prostu jak dziewczyna!

— Ja... ja cię bardzo przepraszam — powiedziała ogarnięta przerażeniem Elfryda. — Spełnijmy więc jakiś dobry uczynek, żeby to odrobić. Podaruję ci mój notesik z ołówkiem w oprawie z masy perłowej, a oprócz tego obejdźmy wszystkie chaty we wsi i zobaczmy, w których przecieka dach, żeby zaraz, jak tylko zdobędziemy skarb, wszystkie te dachy załatać.

— Ale ja wcale nie chcę być dobry! — odparł z goryczą Edred. — To nie ja się kłóciłem i popsułem wszystko, ale teraz właśnie to zrobię! — zawołał zdecydowanym tonem. — Nie widzę powodu, skoro i tak wszystko zostało zmarnowane, dlaczego nie miałbym powiedzieć ci tego, co chcę powiedzieć.

— Och, przestań! — zawołała Elfryda. — I tak jest bardzo źle kłócić się, kiedy się wcale nie ma zamiaru, a cóż dopiero kłócić się naumyślnie?! Daj spokój!

Ale Edred jej nie usłuchał. Zaczął tupać mocno w ziemię obiema nogami, wzbijając tumany kurzu, i rodzeństwo wróciło do zamku w ponurym milczeniu.

Przy bramie Edred przystanął.

— Jeżeli chcesz, to mogę to teraz odrobić — powiedział. — W gruncie rzeczy myślałem o tym... Poza tym może te trzy dni liczą się od zakończenia kłótni.

— Rozumiem — odrzekła Elfryda. — Więc im dłużej...

— Tak — potwierdził Edred. — Więc niech będzie zgoda i nie marnujemy już czasu.

ROZDZIAŁ VIII

SPISEK PROCHOWY

Trzy dni — ponieważ doszło do kłótni. Ale dni szybko mijają, kiedy słońce świeci i jest okres wakacji, a w dodatku ma się do spenetrowania i zbadania ogromny, zrujnowany zamek. Własny zamek czy, powiedzmy, zamek brata.

— Ostatecznie — orzekła roztropnie Elfryda — możemy równie dobrze odnaleźć skarb sami, na własną rękę, bez żadnych krecich czarów. Przeszukamy wszystko dokładnie. Poruszmy każdy kamień.

— Nie poruszmy bardzo wielu kamieni — odparł Edred, spoglądając na olbrzymi, szary masyw wieży, która piętrzyła się nad nimi wysoka i wyzywająca.

— Nie chwytaj mnie za słowa! — zawołała Elfryda. — Wiesz dobrze, co mam na myśli. Chodźmy!

Ruszyli do zamku.

Wspięli się po stromych, wyślizganych stopniach schodów krętymi zawijasami wiodących w górę w mrocznym wnętrzu wieży; schodów pokrytych zwiędłymi liśćmi, pleśnią i piórkami rozmaitych ptaków, omijając wyschłe, opuszczone gniazda sów i kawek; schodów, których górny wylot, zakończony bardzo wysokim ostatnim stopniem, tonął w blasku słonecznego dnia. Ze szczytu szerokiego muru porośniętego bluszczem można było patrzeć głęboko, głęboko w dół. Widać stąd było otwory w murze, w których za dawnych czasów tkwiły potężne belki; stare kominki, ciągle poczerniałe od dymu od dawna wygasłego ognia; drzwi i okna komnat, których podłogi dawno się zapadły, a jeszcze niżej, już u samych stóp wieży, kłębiące się gęste, zielone paprocie, trawę i jeżyny.

Nieco dalej wśród ruin zamkowych widniały łukowato sklepione drzwi wiodące do galerii z małymi, mocnymi filarami i z wąskimi okienkami; małe pokoiki umieszczone w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i najrozmaitsze inne zakątki — słowem, było to najlepsze pod słońcem miejsce do znakomitej zabawy w chowanego.

— Jakie by to było wspaniałe — odezwała się Elfryda, kiedy wreszcie usiedli, czerwoni i zdyszani z wysiłku — gdyby wszystkie te zrujnowane fragmenty zostały odbudowane, i to tak, żeby nikt nie mógł rozpoznać, co zostało naprawione. I żeby wszystko razem wyglądało dokładnie tak jak wtedy, kiedy zamek był zupełnie nowiutką budowlą.

— Kiedy zamek był nowiutką budowlą — zauważył Edred — to na pewno nie było domu... Mam na myśli ten dom, gdzie teraz mieszkamy — dodał — i jestem pewny, że nie było także poddasza ze skrzyniami, kiedy zamek był nowy.

— To prawda — przyznała Elfryda — nie mogło go być. W każdym razie nie mogło być tych wszystkich skrzyń. Oczywiście, że nie, bo niektóre ubiory były szyte w długi czas po zbudowaniu zamku. Przypuszczam, że dorośli na podstawie kształtów zrujnowanej budowli po — trafią określić, jak wyglądała, kiedy była nowa. Wiem, że umięją to zrobić, kiedy chodzi o kości mastodontów i innych stworów. I odtworzyli także wygląd Herkulesa tylko na podstawie jednej znalezionej jego stopy... O ile dobrze pamiętam — dokończyła niepewnie.

— Mam myśl — rzekł Edred. — Gdybyśmy mogli wrócić do czasów, kiedy zamek był w doskonałym stanie, to moglibyśmy porobić rysunki wszystkich jego części. A wtedy, po odnalezieniu skarbu, wiedzielibyśmy dokładnie, jak zamek odbudować. Co o tym myślisz?

— Tak, to prawda — przyznała bardzo miękko Elfryda. — Wiedzielibyśmy z całą pewnością. Ale w tym celu musielibyśmy przedtem dobrze nauczyć się rysować i kreślić plany, prawda?

— Pewnie, że musielibyśmy — zgodził się z nią Edred. — Ale nie zabraloby nam to dużo czasu, gdybyśmy się naprawdę porządnie przyłożyli. Ja w szkole nigdy nie przykładam się do rysunków, bo ich bardzo nie lubię. Ale są śmiesznie łatwe. Wiem z całą pewnością. Na przykład Burslem młodszy zawsze dostaje nagrody za rysunki, a przecież wiesz, jaki z niego matoł. Moglibyśmy zacząć naukę rysunków nawet teraz, jak myślisz?

Elfryda siedziała na dużym kamieniu pośrodku zamkowego podwórca i wpatrywała się w cudowne zawilości sklepień, filarów i kolumn, w blankowane strzelnice wież, we wspaniałe, potężne mury. W końcu westchnęła.

— Tak — powiedziała — zacznijmy już teraz...

— Ale będziesz musiała pożyczyć mi jeden z twoich ołówków — rzekł Edred — bo ja mój połamałem na drobne kawałki, gdy próbowałem otworzyć drzwi saloniku tego dnia, kiedy ty schowałeś klucz do kieszeni. To był jeszcze całkiem długi ołówek. Więc musisz mi pożyczyć także długi ołówek, Elf. Bo ja zupełnie nie potrafię rysować tymi małymi ogryzkami, które całe chowają się w rękę i gniotą drugim końcem.

— Dobrze — odparła Elfryda — pożyczę ci taki długi, żebyś nie mógł go włożyć do ust.

Dzieci zaopatrzyły się w wielkie arkusze papieru do pisania oraz ogromne, oprawne w skórę cielęcą tomy, żeby papier leżał płasko, i przystąpiły do szkicowania zamku Arden. A ponieważ Elfryda starała się umieścić na swym rysunku zarówno to wszystko, co widziała przed sobą, jak i to, o czym wiedziała, że się na terenie zamku znajduje, jej rysunek był wkrótce niemal całkowicie pokryty czernią ołówkowych kresek.

Dzieci nie miały gumki do wycierania, więc każda źle narysowana linia musiała pozostać na papierze. A przecież kiedy się dopiero zaczyna rysować, całe mnóstwo rzeczy wychodzi na rysunku źle, nieprawda? Zapewniam was, drodzy czytelnicy, że nikt nie domyśliłby się nawet, patrząc na czarno-szary galimatias pokrywający papier Elfrydy, iż ma on przedstawiać widok ruin zamkowych. Rysunek Edreda był łatwiejszy do rozszyfrowania, nawet zanim umieścił u spodu dużymi, nierównymi literami napis: „Zamek Arden”. Chłopiec ani na chwilę nie odrywał oczu od swego arkusza papieru i rysował po prostu z pamięci, tak jak wyobrażał sobie front zamku widziany od zewnątrz. Poza tym ustawicznie ssał swój ołówek — właściwie ołówek Elfrydy — dzięki czemu linie na jego rysunku były bardzo czarne.

— No, już skończyłem! — oświadczył wreszcie. — Zdaje mi się, że u mnie jest podobniejszy niż u ciebie.

— Tak — przyznała Elfryda — ale na moim rysunku jest w i ę c e j.

— To nic nie znaczy, ile jest na rysunku, jeżeli trudno zgadnąć, co on wyobraża — stwierdził Edred z pewną dozą prawdy. — Na moim na przykład widać wyraźnie i wieże, i wielką bramę, i okna, i te dziwaczne jakieś zębate historie na samej górze.

— Tak — powiedziała Elfryda — ale... Wiesz co, zabierzmy się teraz do czegoś innego, bo prawdę mówiąc, nie wierzę, żeby któreś z nas nauczyło się rysować aż tak dobrze, żeby z pomocą tych rysunków można było odbudować Arden. Naturalnie, już po znalezieniu skarbu. Może zamiast tego udałoby się nam spotkać prawdziwego artystę, jak ten, który malował obraz zamku wczoraj... to znaczy — chciałam powiedzieć — w przeszłości... no i poprosić go, żeby namalował zamek dla nas, a wtedy zabralibyśmy obraz z sobą i...

— Ach! — wykrzyknął Edred, zrywając się z miejsca i upuszczając na ziemię swoje arcydzieło oraz oprawną w skórę księgę i ołówek. — Już wiem! Weźmiemy Kodaka!

— Kodaka?

— Tak, zabierzemy go z sobą. Wtedy będziemy mogli sfotografować dokładnie cały zamek.

— Ależ my nie możemy zabrać z sobą aparatu!

— Nie możemy? — zawołał Edred. — To ci się tylko wydaje. Muszę ci wobec tego coś opowiedzieć. W czasie pierwszej naszej wyprawy dostał mi się do buta kawałeczek tynku, kiedy przebieraliśmy się, a potem, gdy znaleźliśmy się w dawnych czasach, ten kawałek

tyнку wciąż był w moim bucie. Więc go wyjąłem i wyrzuciłem przez okno. Ale kiedy wróciliśmy do naszych czasów i ja się całkowicie przebrałem w moje zwykłe ubranie, to ten kawałek tyнку znalazł się znowu w moim bucie. Więc jeżeli można zabrać z sobą tam i z powrotem kawałek tyнку, to można także zabrać i fotografie... chciałem powiedzieć: aparat fotograficzny.

To ściśle i inteligentne rozumowanie wzbudziło szacunek Elfrydy, która żałowała tylko, że sama na coś takiego nie wpadła. Ale przecież Elfryda nie miała ani odrobiny tyнку w swoich butach. Odrzekła więc:

— Robisz się coraz zmyślniejszy, nieprawda?

— Aha — potwierdził Edred. — Pewnie zazdrościsz mi, że sama o tym nie pomyślałaś, co? Ja też czasami potrafię być sprytny, nie gorzej od ciebie.

Jest rzeczą bardzo nieprzyjemną, kiedy ktoś odczytuje nasze myśli. Elfryda odparła więc tylko pospiesznie: — Wcale nie tak często! — po czym zamilkła. Przez dłuższą chwilę dzieci stały nieruchomo naprzeciw siebie z bardzo szczególnym wyrazem twarzy. Wreszcie jednak obydwójce odetchnęły z ulgą.

— Remis! — zawołał Edred.

— W samą porę! — wykrzyknęła Elfryda. — Klótni nie było! Nikt nie może powiedzieć, że to była klótnia. A teraz chodźmy obejrzeć zrujnowane chaty, jak nas namawiała czarownica.

Wyruszyli w drogę. Tego dnia dokonali gruntownej inspekcji części chatek, a resztę obejrzelni następnego i trzeciego dnia. Zauważyli przy tym mnóstwo różnych szczegółów, jakich dorosły inspektor nigdy by nie zauważył. Biedni ludzie zachowują się bardzo przyjaźnie i życzliwie w stosunku do każdego, kto jest dzieckiem. Dzieciom pozwalają wchodzić do swoich domostw, wdają się w długie rozmowy i pokazują im najrozmaitsze rzeczy w sposób, w jaki nie raczyliby tego uczynić w stosunku do waszych dorosłych krewnych, mili czytelnicy. Oczy — wiście, dzieje się tak tylko w tym wypadku, jeżeli jesteście naprawdę miłymi dziećmi i traktujecie biednych z szacunkiem i przyjaźnią.

Edred i Elfryda już wkrótce wiedzieli znacznie więcej o wszystkim, co dzieje się wewnątrz chat dokoła Arden, niż ktokolwiek z dorosłych dowiedziałby się w ciągu roku. Wiedzieli, ile zarabia głowa domu, wiedzieli, co się tam je na obiad, a co więcej, wiedzieli, czego często do obiadu brakuje, a także ile dzieci pozostało przy życiu, a ile zmarło w niemowlęctwie. Wiedzieli dokładnie, w jakich miejscach przecieka deszcz poprzez przegniłe strzechy, a także które deski są źle dopasowane, co powoduje przeciągi, które drzwi nie chcą się zamykać, a które nie chcą się otwierać, i wreszcie, że większość okien w izbach sypialnych tak jest wprawiona, że ich w ogóle nie można otwierać.

W chwilach wolnych od oglądania chat czy zwiedzania zamku spędzali bardzo przyjemnie czas odczytując na głos dzieje Ardenów. Czytali je obydwójce na zmianę. Elfryda starannie szukała jakiejś wzmianki o sir Edwardzie Talbocie i jego usiłowaniach, by uchodzić za Kawalera Świętego Jerzego. Ale żadnej takiej wzmianki nie było. W książce wspomniano jednak, że niejaki sir Edward Talbot wraz z ówczesnym lordem Ardenem zostali oskarżeni o spiskowanie przeciw Jego Arcychrześcijańskiej Mości, królowi Jakubowi I*.

— Ciekawa jestem, czy był taki sam jak mój Edward Talbot? — zastanawiała się Elfryda. — Chciałabym go jeszcze raz zobaczyć. Żałuję, że mu nie powiedziałam, że urodziłam się w tyle lat po jego śmierci. Tylko że bardzo trudno byłoby mu to wytłumaczyć, nieprawda? Zajrzyjmy teraz do podręcznika historii Greena i zobaczmy na ilustracjach, jak wyglądali ludzie za czasów Jego Arcychrześcijańskiej Mości króla Jakuba Pierwszego.

* Jakub I (1566–1625) — od 1567 r. król Szkocji, od 1603 r. król Anglii i Irlandii.

Może właśnie oglądanie tych ilustracji wpłynęło na decyzję dzieci, kiedy po upływie trzech dni przydziały się w stroje najbardziej przypominające te, jakie można oglądać na ilustracjach do czasów Jakuba I w podręczniku Greena...

Edred włożył bardzo szerokie bufiaste spodnie, kapelusz z podwiniętym rondem oraz rodzaj tuniki ze szkarłatnego aksamitu i koszulę zakończoną przy szyi olbrzymią, nakrochmaloną krezą, jeszcze dużo bardziej niewygodną niż słynny wysoki kołnierzyk noszony w szkole w Eton, dokuczliwy zwłaszcza, gdy go się wkłada po wielu tygodniach wakacji, kiedy to nosiło się tylko miękkie flanelowe koszule. Elfryda zaś miała na sobie długi, obcisły gorset ze zwisającym z przodu sporym płaskim kawałkiem drewna, do którego przymocowane były coraz szersze ku dołowi obręcze, i obszerną, suto sfałdowaną spódnicę okrywającą cały ten szkielet.

Kiedy upłynęły trzy dni, drzwi na poddaszu, które zawsze po każdej sprzeczce były całkowicie niewidoczne i niemożliwe do odszukania, teraz stały się zwyczajnymi drzwiami, jak zwyczajny jest nos na twarzy najzwyczajniejszej osoby pośród waszych znajomych. Dzieci weszły więc bez trudu na poddasze i przejrzały dokładnie zawartość skrzyń, aż wreszcie znalazły to, na czym im zależało.

Włożyły na siebie owe wszystkie krezy i całą resztę wybranego przez siebie stroju, przy akompaniamencie czy nawet, jak im się zawsze zdawało, przy pomocy łagodnych gołębic gruchań.

W czasie ubierania się Elfryda mocno trzymała aparat fotograficzny to w jednej ręce, to w drugiej. Toteż ubieranie się było dosyć powolne i żmudne, ale oboje zgadzali się co do tego, że jeżeli nie będzie się trzymać bez przerwy, i to mocno, Kodaka, to może on, jak wyraził się Edred, być „skłonny do zniknięcia”, podobnie jak zawsze znikają wszystkie rzeczy należące do dzisiejszych czasów, z wyjątkiem własnych ich ubrań. Doprawdy, nie mogę wam wytłumaczyć, drodzy czytelnicy, tak na poczekaniu, dlaczego ubrania dzieci nie znikają. Zabrałoby to nam zbyt wiele czasu. Powiem tylko krótko, że wszystko, co się działo, stanowiło część czarów białych piórek, które — jak wiadomo — stanowią przyodziewek białych gołębi.

Ale pod koniec przebierania się wydarzyła się nader osobliwa rzecz. W chwili gdy Edred włożył drugi trzewik — co było ostatnim aktem ich wspólnego przyodziewania się — ściany zaczęły jak gdyby drgać, wstrząsać się i przechylać, niczym domek z kart w chwili, gdy się zapada. Podłoga przechyliła się do tego stopnia, że stanie na niej było coraz trudniejsze, aż wreszcie stało się niemożliwe. Krokwie jak gdyby powykrzywiały się i pomieszały z sobą niczym zapałki wysypane z pudełka na ziemię. Pokryty dachówką dach, przez którego szpary wpadało błękitne światło dzienne, zaczął wirować jak bąk i nie można się było zorientować, czy stoi się na podłodze, czy jest się w powietrzu.

Nastąpiło to nieprawdopodobnie nagle, ale już po sekundzie, z lekkim wstrząsem, takim, jaki powoduje rozkręcająca się sprężyna budzika, wszystko na powrót znieruchomiło: skrzynie, obwiedzione błękitem dachówki, ściany i krokwie. Ale cała izdebka skurczyła się do połowy swoich dawnych rozmiarów. Stała się natomiast znacznie wyższa i już nie była poddaszem, lecz okrągłym pokoikiem o wąskich okienkach i z takim samym kominkiem, zwieńczonym kamiennym okapem, jak te, które dzieci widziały, gdy patrzyły w dół ze szczytu wieży. Musieliście nieraz słyszeć, moi drodzy, o wydarzeniach, które zapierają ludziom dech w piersi. To nagle przeobrażenie się miejsca, gdzie się znajdowali, istotnie zaparło dech w piersi Edreda i Elfrydy, tak że przez dłuższy czas wpatrywali się tylko w siebie niczym usiłujący rozpoznać się uczestnicy maskarady, jak to później określiła Elfryda.

— Już rozumiem — powiedział Edred, kiedy oddech wrócił mu na tyle, że mógł się odezwać. — To jest to miejsce, gdzie zbudowano poddasze, kiedy wieża się zawaliła.

— Ale przecież w rzeczywistości nie ma żadnego poddasza — odparła Elfryda. — Wiesz doskonale, że nie możemy go znaleźć, jak tylko się pokłócimy, a pani Honeysett nigdy go nie widziała. Więc właściwie nigdzie go nie ma.

— Owszem, jest — upierał się Edred. — Nie mogliśmy go znaleźć, gdyby go nie było.

— Niech i tak będzie — westchnęła posepnie Elfryda. — Mogę mieć tylko nadzieję, że może je jakoś znajdziemy, i to wszystko. A teraz myślę, że powinniśmy stąd wyjść. Nie ma sensu sterczeć tutaj, w tej okropnie ciasnej izdebce.

Sięgnęła ręką do drzwi, ale w tym samym momencie, kiedy manipulowała klamką, która była zrobiona z żelaza i miała kształt, jakiego Elfryda nigdy nie widziała, zdarzyło się coś nowego, jeszcze nawet bardziej kłopotliwego niż poprzednie wirowanie, w czasie którego znikło poddasze i skrzynie. Bardzo trudno opisać to, co się stało. Może przypadkiem ktoś z was, mili czytelnicy, nie lubi podróżować pociągiem, siedząc tyłem do lokomotywy? Jeżeli ktoś z was tego nie lubi, to z pewnością strasznie tego nie lubi. Bo od tego boli was głowa, macie jakieś dziwne, nieprzyjemne uczucie w karku i stajecie się tacy bladzi, że dorośli podróżujący z wami pytają was, co się wam takiego stało, a niektórzy ludzie bez serca wmawiają wam, że to ciepłe bułeczki zjedzone na stacji przesiadkowej czy też nadziewane czekoladowe batony, wciśnięte wam do rąk przy pożegnaniu przez wuja Freda czy ciotkę Imogenę, są przyczyną wszystkich waszych cierpień. A najgorsze jest to okropne wrażenie, jakby wasze serce, płuca oraz przód waszej kurtki ktoś powoli, ale stanowczo przewlekał wam przez kręgosłup i ciągnął gdzieś.

Uczucia, jakich obecnie doznawali Edred i Elfryda, były właśnie dokładnie takie, jakie — jeśli nie znosicie jazdy w pociągu tyłem — znacie sami aż nadto dobrze. A doznania te były tak ostre, że dzieci zacisnęły powieki. Ale zawroty oraz ból głowy i karku i wyciąganie serca i płuc ustały równie nagle, jak się zaczęły, i dzieci otworzyły oczy, by stwierdzić, że znajdują się w jakimś pokoju, którego przynajmniej Edred nigdy w życiu nie widział. Natomiast Elfrydzie pokój wydał się dziwnie znajomy. Jego kształt, rozmieszczenie okien i drzwi, kominek przyozdobiony osobliwymi rzeźbami — wszystko to jakby znała. A także i część umeblowania. Pokój jednak sprawiał wrażenie ogołoczonego. A nie wydawałby się jej ogołoczone, gdyby nie wiedziała, jak bardzo był kiedyś zapełniony meblami. Gdyby, krótko mówiąc, nie widziała go już przedtem.

— Ach, już wiem! — zawołała nagle stojąc na środku pokoju w swej sztywnej sukni i ciężkich trzewikach. — Już wiem! To jest stołeczne mieszkanie lorda Ardena. Tutaj właśnie byłam kiedyś z kuzynką Elą. Tylko teraz nie ma tu tych wszystkich ślicznych foteli i innych rzeczy, jakie były wtedy. No, i wtedy pokój roił się od ludzi.

Edred milczał przez cały czas i trwał w stanie zupełnego osłupienia, z półotwartymi ustami i półprzymkniętymi oczyma. Wszystko, co się obecnie działo, było zupełnie odmienne od ostatniej przygody, w jakiej brał udział. Wtedy bowiem znalazł się tylko na zamku Arden w czasach Napoleona, a znalazł się tam w bardzo prosty sposób: schodząc na dół po schodach od dawna mu już znajomych. Teraz natomiast został przeniesiony w sposób w najwyższym stopniu gwałtowny i nieprzyjemny nie tylko ze swoich czasów do czasów znacznie wcześniejszych, lecz także z zamku Arden, który był mu znany, do londyńskiej rezydencji Ardenów, najzupełniej mu obcej. Dlatego tak długo trwał w milczeniu, a kiedy się wreszcie odezwał, okazał niezadowolenie graniczące z odrazą.

— Wcale mi się to nie podoba — zaczął. — Chodźmy z powrotem. Zupełnie mi się to nie podoba. A poza tym nie zabraliśmy w końcu Kodaka. I w ogóle wcale mi się to nie podoba. A moje ubranie jest po prostu okropne. Czuję się czymś pośrednim pomiędzy balonem a „Błękitnym chłopcem”^{*} z tego słynnego obrazu. Ty nawet sobie nie wyobrażasz, jak głupio wyglądasz, zupełnie jak pani Noe z Arki, tylko bardziej beczkowata. I pojęcia nie mam, kim

^{*} „Błękitny chłopiec” — obraz Thomasa Gainsborougha (1727–1788), angielskiego malarza rokoko.

teraz mamy być. Poza tym nie wydaje mi się, że to jest pałac Ardenów. A nawet jeżeli jest, to nie wiadomo, w jakich czasach. A przypuścemy, że to są czasy Inkwizycji i że nas spalą na stosie. Zabierajmy się stąd, wcale mi się to nie podoba — zakończył.

— Posłuchaj tylko — odezwała się Elfyda, marszcząc brwi pod dziwną czapeczką, jaką miała na głowie. — Wiem doskonale, co chciałabym powiedzieć, ale nic z tego nie trafi do ciebie, jeżeli nie będziesz słuchał bardzo uważnie.

— Mów, jazda!

— Więc, po pierwsze, nawet gdyby to były czasy Inkwizycji, to i tak dla nas wszystko skończyłoby się dobrze.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, skąd wiem, ale wiem dobrze, że wiem — odparła stanowczo Elfyda. — Bo widzisz, ja tu już kiedyś byłam. I to wszystko nie jest rzeczywiste, rozumiesz?

— Owszem, jest! — upierał się Edred, kopiąc nogę stołu.

— Tak, naturalnie... ale... posłuchaj mnie! Pamiętasz ten wodospad w wesołym miasteczku, kiedy się tak przestraszyłeś?

— Wcale się nie przestraszyłem!

— Owszem, bałeś się. A mnie też się to wcale nie podobało. Żałowałam bardzo, że wsiedliśmy do tej łódki. A kiedy ruszyła z miejsca i widzieliśmy, że już nie ma rady i że popłyniemy tym wodospadem... Ach, to było okropne! A tymczasem kiedy jazda się skończyła, to chcieliśmy spróbować jeszcze raz! No i spróbowaliśmy, a potem tak przyjemnie było sobie to przypominać. Więc teraz jest tak samo. Rozumiesz?

— Nie! — odparł Edred. — Nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co mówisz. To ani trochę nie przypomina sztucznego wodospadu ani w ogóle niczego innego. Bo czyż przypomina?

Elfyda zmarszczyła czoło. Później była bardzo zadowolona, że nie uczyniła nic więcej poza tym zmarszczeniem. Jest rzeczą niebezpieczną, jak wam dobrze wiadomo, wszczynać kłótnię w łódce, ale jest o wiele bardziej niebezpiecznie kłócić się w nie swoim własnym stuleciu. Elfyda zmarszczyła się i otworzyła usta. Ale w tej samej chwili, gdy jej usta otworzyły się, drzwi poszły za ich przykładem i do pokoju wbiegła pędem niska, o ciemnej cerze i z zagniewanym wyrazem twarzy kobieta w brązowej spódnicy i dziwnym czepcu na głowie.

— A więc to tutaj schowaliście się! — zawołała. — A ja szukam was wszędzie, bo przecież musicie się przebrać.

— A po co? — spytał Edred, ponieważ nieznajoma właśnie jego chwyciła dość energicznie za ramię.

— Po co? — powtórzyła kobieta, ciągnąc go za sobą przez drzwi. — Przecież po to, żeby towarzyszyć ich lordowskim gościom, twojemu ojcu i twojej matce, na dworski bal maskowy w Whitehall*. Czyżbyś już zapomniał? I to ty, który tak bardzo chciałeś wystąpić w swoim nowym białym aksamitnym stroju, przyozdobionym pomarańczowo-brązowym haftem i brylantowymi zapinkami, w jedwabnym płaszczu, w trzewikach z klamrami, w batystowej, krochmalonej kryzie i z małą szpadą u boku.

W trakcie tej perory kobieta wyciągnęła Edreda z pokoju i powlokła go schodami. Elfyda, podążając za nimi, uznała, że kobieta ta jest gorsza z pozoru niż w rzeczywistości.

„Gdyby rzeczywiście była tak okropna — myślała sobie dziewczynka — jak na to wygląda, to nie starałaby się go pocieszyć mówieniem o aksamitach i szpadach, i brylantowych zapinkach”.

— A czy ja także mogę pójść na bal? — spytała.

Kobieta odwróciła się w jej stronę i dała jej klapsa — nie mocno, ale demonstracyjnie.

* Whitehall — spalony w 1697 r. pałac królewski. Obecnie nazwa ulicy w śródmieściu Londynu, przy której stoi wiele budowli rządowych.

— Powiedziałam już, co cię czeka, jeżeli nie będziesz trzymała tego przeklętego języka za zębami. Nie, ty nie pójdziesz. Młode panienki siedzą w domu i zajmują się haftowaniem. I tak zostaniesz już niedługo przedstawiona u dworu, mogę ci zaręczyć.

Elfryda usiadła więc i biernie przypatrywała się, jak Edreda umyto do pasa — przy czym mydło dostało mu się do oczu zupełnie tak samo, jak to obecnie dzieje się z wami, moi drodzy — a następnie przystrojono go we wspaniały biały ubiór pazia, w białe aksamity, brylantowe zapinki, małą szpadę u boku i tak dalej.

— Wyglądasz wspaniale! — zawołała. — Ach, jakże bym chciała być chłopcem! — dodała, być może po raz dwutysięczny trzydziesty drugi w swoim krótkim życiu.

— Nie będziesz tego chciała — zapewniła ją nieznajoma kobieta — kiedy przyjdzie czas, żeby ci e b i e przedstawić u dworu. A teraz, mój drogi paniczku — zwróciła się do Edreda — ucałuj twoją starą nianię i bądź bardzo uważny, żebyś nie poplamił swoich pięknych piórek. A gdy usłyszysz szelest sukni twojej mamy na schodach, to podejdź i złóż taki ukłon, jakiego nauczył cię twój nauczyciel.

Bynajmniej nie nauczyciel uczył Edreda składania ukłonów, lecz zupełnie kto inny. Kiedy jednak na schodach dał się słyszeć szelest jedwabi, potrafił wystąpić naprzód i skłonić się bardzo wdzięcznie przed dostojną, wspaniałą damą, która zbliżała się w jego kierunku. Elfryda uznała, że najlepiej będzie, jeśli dygnie wraz z bratem. Ciocia Edyta nauczyła ich kiedyś tańczyć menueta i dziewczynce wydało się, że ukłon i dyg stanowiące część tego tańca były teraz jak najbardziej na miejscu. Miała widocznie rację, ponieważ dama na schodach uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Dama ta była prześlicznie ubrana. Nosiła stanik z żółtego atlasu, bogato haftowany, spódnicę ze złotej materii w paski, na tym mantylę ze szkarłatnego aksamitu podbitego żółtym muślinem przetykanym paseczkami szczerego złota i kołnierz z białego atlasu z niesłychanie delikatną krezą. I cała aż jarzyła się od blasku przepięknych klejnotów.

— Śliczny z ciebie pazik, mój drogi synu, trzeba to przyznać — oświadczyła dama. — Stań z boku i kiedy cię wyminę, ujmij w ręce mój tren. Ty także, droga córeczko, skoro tylko dojdiesz do odpowiednich lat, będziesz miała tren i pazia, który będzie go nosił.

Dama ruszyła schodami w dół, a dzieci poszły za nią. W sieni pałacowej znajdował się już lord Arden, nie mniej wspaniale ubrany jak jego żona, i wszyscy troje odjechali karocą, równie imponującą, co ciężką i niezdarną. Jej kształt przypominał Elfrydzie pojazd z dyni sporządzony dla Kopciuszka przez jej chrestną matkę, dobrą wróżkę, i gdy dziewczynka przypatrywała się odjazdowi karocy poprzez tłum lokajów w liberii, czuła się zupełnie jak Kopciuszek, a być może nawet jeszcze gorzej. Ale pocieszała się krzepiącym, ukrytym głęboko w sercu przecuciem, że coś musi się zdarzyć. I, rzecz oczywista, coś się istotnie zdarzyło. I o tym właśnie chcę wam teraz opowiedzieć, moi drodzy czytelnicy. Przyznaję, że chciałabym opowiedzieć wam również, co przydarzyło się Edredowi, ale jego udział w tej przygodzie nie miał w sobie właściwie nic z przygody, choć było to coś, o czym nie zapomni nigdy, przynajmniej tak długo, dopóki będzie pamiętał o jakichkolwiek czarodziejskich zdarzeniach.

— Pojechaliśmy do pałacu królewskiego — opowiadał później Elfrydzie. — Pałac nazywa się Whitehall, co znaczy Biały Dom. Bardzo chętnie nazwałbym mój własny dom Białym Domem, gdyby nie to, że nosi już nazwę zamku Arden, sama zresztą wiesz. I były tam chyba całe tysiące służby tak wspaniale ubranej, że nawet we śnie trudno o coś wspanialszego. I pełno było lordów i dam, i całe mnóstwo jedzenia, i szczucie psami niedźwiedzia, i walki kogutów w ogrodzie.

— To okrucieństwo! — zawołała Elfryda. — Spodziewam się, że nie przyglądałeś się temu.

— Owszem, troszeczkę — odparł Edred. — Chłopcy muszą być mężni, żeby umieć znosić widok krwi i okrucieństwa, choćby dlatego, że jak dorosną, zostają żołnierzami. Ale

najbardziej podobała mi się maskarada. Sama królowa brała w niej udział. Nie prowadzono żadnych rozmów, rozumiesz, nic — tylko kostiumy i tańce. To było bardzo podobne do pantomimy*, ale nie takie żywe. I było tam morze, którego poruszające się fale błyszczały srebrzyście, i żywe obrazy, i delfiny, i przeróżne ryby, i ogromna muszla, która otworzyła się, a z niej wyszła królowa z damami dworu i tańczyła, a ja dostałem mnóstwo do jedzenia, same pyszności, a potem zasnąłem, a kiedy zbudziłem się, sam król patrzył na mnie i powiedział, że mam urodziwą twarz. Urodziwa, to znaczy ładną. Można chyba uważać, że król zna się na tym najlepiej, jak myślisz?

I to było wszystko, co Edred miał do powiedzenia. Ja zaś, mili czytelnicy, mogłabym dodać od siebie jeszcze wiele rzeczy, ale nie sposób opowiedzieć wszystkiego, co się wie, a przecież jest jeszcze do opowiedzenia przygoda Elfrydy.

Kiedy karoca znikła pośród mgły i błota — pogodzie bowiem daleko było do letniej pogody — Elfryda wróciła na górę do pokoju, gdzie pozostała stara niania. Dziewczynka nie знаła po prostu żadnego innego miejsca, dokąd mogłaby się udać.

— Usiądź sobie — powiedziała niania — i weź się do haftowania twojej serwetki.

Istotnie, na stoliku do robótek leżała bardzo piękna serwetka, napięta na obszernej, polerowanej drewnianej ramie.

— Wolałabym tego nie robić — powiedziała Elfryda rzucając zatroskane spojrzenie na delikatne nitki jedwabiu.

— Tralala — odburknęła niania. — Jak chcesz wyrosnąć na damę, jeżeli nie potrafisz obchodzić się z igłą?

— Dużo bardziej wolałabym pogadać sobie z nianią — rzekła Elfryda, usiłując ugłaskać staruszkę.

— Możesz gadać do woli, a jednocześnie haftować — odparła niania. — Wiem, że możesz, bo sama tak robię. Oby tylko twoja igła była równie szybka co język. Zabieraj się więc do roboty i jeżeli do obiadu zdążysz wyhaftować to małe drzewko, wolno ci będzie zobaczyć się z kuzynem Ryszardem.

„Domyślam się — powiedziała sobie w duchu Elfryda, biorąc igłę do ręki — że zapewne przepadam za kuzynem Ryszardem”.

Haftowanie przychodziło jej z trudem i wywoływało ból oczu, ale dziewczynka trwała przy swojej robótce. Wreszcie ktoś zawołał nianię i Elfryda została sama. Wówczas przerwała haftowanie. „Co za pożytek z tego — zadała samej sobie pytanie — że będę pracowała nad czymś, czego i tak nie zdążę wykończyć i co zresztą z całą pewnością zostanie zupełnie zużyte na wiele lat przed moim urodzeniem? Chociaż Elfryda, która teraz haftuje, jest dokładnie w moim wieku, a nawet urodziła się tego samego dnia, co ja” — przyszło jej na myśl. I zaczęła zastanawiać się, jaka też dzisiaj może być data i który jest rok? Wciąż jeszcze zastanawiała się nad tym, przy czym zupełnie mechanicznie wbijała igłę w naciągnięty na ramę materiał i wyciągała ją, choć zapomniała nawlec jedwab, gdy nagle rozległ się odgłos szybkich kroków po schodach, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wbiegł bardzo miły chłopiec, mniej więcej w wieku Elfrydy.

— Uporałeś się już ze swoją robotą? — zawołał. — Ja także. Stary Kaczy Dziób trzyma mnie ostro, ale pomyślałem o tobie i tym razem zrobiłem wszystko, czego chciałem. Więc teraz jesteśmy wolni. Chodź, będziemy grać w piłkę nożną w ogrodzie.

Elfryda doszła do wniosku, że musi to być właśnie kuzynek Dick*, i natychmiast stwierdziła, że istotnie za nim przepada.

Na tyłach domu był duży, piękny ogród. Dzieci grały tam w piłkę, biegały po strzyżonych trawnikach i bawiły się w chowanego w gęstwinie krzewów i pośród mnóstwa kamiennych

* Pantomima — nieme przedstawienie sceniczne, którego treść aktorzy wyrażają za pomocą gry twarzy i gestów.

* Dick — zdrobniła forma imienia Ryszard.

ław, posągów i postumentów. Stary Kaczy Dziób, który był gubernierem kuzyna Ryszarda i który ubierał się na czarno i wyglądał, jakby odżywiał się samymi tylko cytrynami i octem, siedział na jednej z kamiennych ław i patrzył na dzieci albo też przechadzał się tam i z powrotem po wyłożonym kamiennymi płytami tarasie, z wielkim palcem wetkniętym w jakąś nieciekawie wyglądającą książkę.

Kiedy dzieci przerwały swe zabawy, aby odpocząć, i siadły na kamiennym stopniu, opierając się plecami o kamienną ławę, stary Kaczy Dziób, skradając się po cichutku, stanął z tyłu za ławą, tak by dzieci nie mogły go widzieć, i zaczął podsłuchiwać. Podsłuchiwanie, jak wiemy, jest rzeczą bardzo niehonorową, ale w owych czasach gubernierzy nie zawsze poczuli się do obowiązku honorowego postępowania wobec swych wychowanków.

Zawsze byłam zdania, mili czytelnicy, i nadal będę trwała w tym przekonaniu, że to właśnie podsłuchiwanie tego okropnego nudziarza, jakim był stary gubernier, czyli tak zwany Kaczy Dziób, stało się przyczyną całego zła. Elfryda natomiast zawsze uważała, a i nadal uważa, że katastrofę spowodowała jej nadmierna znajomość historii. Toteż obecnie bardzo się wystrzega, aby żadne nieszczęście nigdy już nie wydarzyło się z tego powodu. I dlatego nigdy nie zabiega w szkole o uzyskanie nagrody za naukę historii. „Bo nigdy nic nie wiadomo” — powiada. I rzeczywiście, kiedy pada jakieś pytanie na egzaminie z historii, Elfryda naprawdę nigdy nic nie wie.

A oto jaki był przebieg wydarzeń.

Elfrydzie, kiedy już przestali biegać po ogrodzie, przypomniało się pytanie, jakie zadawała sobie schylona nad ramą z rozpiętym haftem. I pomyślała, że warto powtórzyć je komuś, kto mógłby na nie odpowiedzieć. Zwróciła się tedy do kuzyna:

— Powiedz mi, kuzynie Ryszardzie, jaka jest dziś data.

Z jego odpowiedzi Elfryda dowiedziała się, że był to piąty listopada.

— Ach, doprawdy?! — wykrzyknęła. — W takim razie to rocznica Spisku Prochowego*. Czy będziemy oglądać fajerwerki?

Po czym z całą naiwnością serca zaczęła nucić:

*Pamiętać zawsze wypada
O dniu piątym listopada,
O słynnym Spisku Prochowym,
Niezapomnianym dniu owym,
Gdy była tu zdrada, zdrada!*

— Nie jest to wesoła piosenka, kuzynko — rzekł kuzyn Ryszard — ani też bezpieczna do nucenia. Lepiej nie opiewać zdrady.

— Ale kiedy sam dobrze wiesz, że nic z tego nie wyszło i że Guy Fawkes zawsze w końcu zostaje spalony — odparła Elfryda.

— A czy są jeszcze jakieś dalsze zwrotki? — spytał kuzyn Dick.

— Nie.

— Ciekaw jestem, o jakiej zdradzie mówi ta ballada — powiedział chłopiec.

— Jak to, czyżbyś nie wiedział? — spytała Elfryda i w tym właśnie momencie popełniła błąd, bo chciała popisać się swoją znajomością historii. — Ja wiem. Znam także nazwiska niektórych spiskowców, wiem, kogo chcieli zabić i jak się to wszystko odbyło.

* W roku 1605 ugrupowanie katolickie, którego przywódcą był Guy Fawkes, zawiązało spisek, nazwany później „prochowym”, przeciwko królowi Jakubowi I. Postanowiono wysadzić w powietrze gmach parlamentu w Londynie wraz z królem i jego zwolennikami i w tym celu umieszczono w piwnicy trzydzieści sześć beczek prochu. Spisek jednak wykryto i 5 listopada Guy Fawkes został ujęty w chwili, gdy miał zapalić lont. Guya Fawkesa i wielu uczestników spisku stracono. Rocznice tego wydarzenia obchodzi się w Anglii paląc kukły spiskowców i puszczając fajerwerki.

— Opowiedz mi — rzucił od niechcienia kuzyn Ryszard.

— Bo, widzisz, król postępował niesprawiedliwie w stosunku do katolików — zaczęła Elfryda z całym poczuciem swojej ważności — toteż wielu spośród nich postanowiło zabić go i zniszczyć gmach parlamentu, Zawiazali spisek — bardzo wielu do niego należało. Mówiono, że lord Arden też należał, ale to nieprawda. Jedni mieli udawać, że wybierają się na polowanie, by porwać królową Elżbietę i ogłosić ją królową, pozostali zaś mieli wysadzić w powietrze parlament w chwili, gdy król będzie dokonywał otwarcia sesji.

— Nigdy nie słyszałem tej opowieści od mego nauczyciela — roześmiał się kuzyn Ryszard. — No, ale mów dalej, kuzynko.

— Pan Piercy wynajął dom przylegający do gmachu parlamentu i spiskowcy wykopali tajemne przejście podziemne aż do piwnic znajdujących się pod budynkiem parlamentu. Następnie umieścili tam trzy tuziny beczek z prochem, które przykryli dla niepoznaki pękami chrustu. I byliby wysadzili w powietrze cały gmach razem ze wszystkimi, którzy tam byli obecni, gdyby nie to, że pan Tresham napisał do swojego krewnego, lorda Monteagle, że zamierzają wysadzić w powietrze króla...

— Którego króla? — spytał kuzyn Ryszard.

— Króla Jakuba Pierwszego — odrzekła Elfryda. — Co... dlaczego!... — wykrzyknęła, gdyż kuzyn Ryszard zerwał się na równe nogi, a stary Kaczy Dziób schwycił dziewczynkę za rękę.

Kaczy Dziób usiadł następnie na kamiennej ławie i przyciągnął łagodnie Elfrydę, tak że stanęła twarzą do niego. Uczynił to delikatnie, ale jakby żelazną dłonią w aksamitnej rękawiczce (o czym niewątpliwie nieraz już czytaliście).

— A teraz, panno Arden — rzekł ściszym głosem — proszę mi jeszcze raz opowiedzieć tę romantyczną historię, którą opowiedziałaś swemu kuzynowi.

I Elfryda opowiedziała mu.

— A wolno wiedzieć, gdzie panienka usłyszała tę śliczną historyjkę? — spytał Kaczy Dziób.

— Zaraz, gdzie my teraz jesteśmy? — ledwo dysząc spytała Elfryda, która zaczynała już coś rozumieć.

— Tutaj, w ogrodzie, gdzie by indziej? — odpowiedział kuzyn Ryszard, który nic nie rozumiał z całej tej sprawy.

— Tutaj, pod moją opieką — wyjaśnił guwerner, któremu zdawało się, że rozumie wszystko. — A teraz proszę mi dokładnie wszystko powiedzieć: wymienić wszystkie nazwiska i wszystkie szczegóły, bo inaczej bardzo źle będzie i z tobą, i z twoim ojcem.

— Proszę tak nie mówić! — zawołał kuzyn Ryszard. — Straszy pan moją kuzynkę. Przecież ona opowiedziała tylko taką ot sobie wymyśloną bajeczkę. Bo zawsze jest wesoła i pełna najrozmaitszych pomysłów.

— Tę bajeczkę będzie musiała powtórzyć jeszcze raz przed stojącymi wyżej ode mnie — oświadczył guwerner ogromnie nieprzyjemnym tonem i jego dłoń zacisnęła się na przegubie ręki Elfrydy.

— Ależ... ależ... to jest historia! — wykrzyknęła z rozpaczą Elfryda. — Można o tym przeczytać we wszystkich książkach.

— W jakich książkach? — spytał skwapliwie guwerner.

— Nie wiem dokładnie. Chyba we wszystkich — odparła posepnie dziewczynka. Posepnie, ponieważ zrozumiała wreszcie dokładnie, w jaki rodzaj przygody wpakowała ją jej niezwykła wiedza historyczna, a także, aby być w pełni sprawiedliwym, jej niemal równie niezwykle pragnienie popisania się.

— A teraz — rzekł wstrętny guwerner (budził bowiem w Elfrydzie bardzo wyraźną odrazę) — proszę mi wymienić nazwiska spiskowców.

„Nie mogę nikomu wyrządzić krzywdy — pomyślała Elfryda. — To są czasy Jakuba Pierwszego i ja w nich się znalazłam. Ale przecież było to trzysta lat temu i wszystko to już się wydarzyło, cokolwiek więc powiem, nie będzie miało żadnego znaczenia. I chyba lepiej, jeśli wymienię wszystkie nazwiska, jakie pamiętam”.

Ziejący nienawiścią gubernier potrzęsął dziewczynką.

— Dobrze, wymienię — oświadczyła Elfryda, a w myśli dodała: „Przecież to rodzaj snu, mogę więc równie dobrze wymienić te nazwiska”. Kiedy jednak otworzyła usta, by powiedzieć zapamiętane przez siebie nazwiska spiskowców biorących udział w owym nieszczęsnym Spisku Prochowym sprzed tylu lat, który się nie udał, stwierdziła, że wcale nie mówi nazwisk, lecz coś zupełnie innego:

— Nic panu nie powiem. Nie dbam wcale o to, co pan ze mną zrobi. Żałuję, że w ogóle o tym wspominałam. Bo to wszystko nie ma żadnego sensu. To znaczy, mam na myśli, że to tylko kawałek historii. A pan powinien się wstydzić, żeby tak podsłuchiwać za drzwiami... to znaczy... nie za drzwiami, ale za kamienną ławą, na której ktoś plecie głupstwa dla zabawienia swojego kuzyna.

Elfryda nie pamięta dokładnie, co potem się stało. Była zupełnie wściekła ze złości a kiedy się jest zupełnie wściekłym ze złości, wszystko miesza się i kłębi, tworząc rodzaj okropnej, czerwonej mgły. Zapamiętała tylko, że gubernier zachowywał się po prostu strasznie, wykręcał jej ręce, żeby zmusić ją do mówienia, a ona krzyczała i usiłowała go kopnąć, że kuzyn Ryszard nie krzyczał, ale za to z powodzeniem kopał guberniera. W końcu wciągnięto ją do pałacu i zamknięto w izdebce pozbawionej okna, tak że było tam zupełnie ciemno. Gdybym tylko mogła sprowadzić tutaj Edreda — myślała, zalewając się łzami wściekłości i upokorzenia. — Spróbowałabym ułożyć jakiś wiersz i przywołać Białego Kreta, żeby nas stąd zabrał. Ale na razie nic z tego, póki Edred nie wróci do domu”.

Kiedy Edred wrócił — po szczuciu psów na niedźwiedzia i walkach kogutów, po bankiecie i maskaradzie — lord i lady Arden powrócili, oczywiście, razem z nim. I zastali cały dom obsadzony przez zbrojną straż, a w małej, ciemnej izdebce natknęli się na bladą dziewczynkę, ledwo żywą od płaczu, która raz po raz zapewniała ich, że to wszystko jest zupełnie bez sensu, że to tylko historia i że ona nie miała zamiaru nikogo wydać. I rzeczywiście nikogo nie wydała. Lady Arden wzięła ją w ramiona i tuliła do siebie bardzo czule, nie zważając na wspaniałości szkarłatnych aksamitów ani na klejnoty.

— Nie zrobiłaś nic złego — rzekł lord Arden. — Opowiedziałas po prostu niemądrą bajeczkę. Jutro zobaczę się z lordem Salisbury i przekuję tę głupią bańkę mydlaną. A ty idź już do łóżka, kochanie — zwrócił się do żony — i pozwól tej małej spać przy sobie. Przecież ona cała drży ze strachu i płaczu. Jutro lord sekretarz stanu pouczy tych fanfaronów, gdzie ich miejsce, a wtedy opróżnią pałac Ardenów, a my będziemy sobie kpić z tej głupiej intrygi, jaką wścibski nadgorliwiec uknuł na podstawie jednego czy dwóch nazwisk i pomysłów dziecka o bujnej wyobraźni. Do jutra wieczór wszystko będzie w porządku i będziemy mogli spokojnie położyć się do snu.

Ale gdy nadszedł następny wieczór, miał on za sobą, jak wszystkie wieczory, dzieło całego dnia. Lord Arden ze swą małżonką oraz małymi dziećmi spali nie w pałacu Arden w pięknej dzielnicy Soho ani w zamku Arden nadmorskimi wydmami, ale w słynnym londyńskim więzieniu Tower*, oskarżeni o zdradę stanu i oczekujący procesu.

Albowiem lord Salisbury udał się do owych piwnic pod gmachem parlamentu i zastał tam zuchwałego najemnego żołnierza, Guya Fawkesa, o ciemnych oczach, z ciemną latarnią w rękę i z równie ciemnymi zamiarami. Wydobyto z niego nazwiska uczestników spisku i król Jakub ocalał, podobnie jak obie izby parlamentu; natomiast katolicy, których król oszukał i którzy zwrócili się przeciw niemu i jego oszustwom, stanęli teraz w obliczu tortur i szafotu.

* Tower — zamek warowny w Londynie, wzniesiony w czasach Wilhelma Zdobywcy; do XVI w. siedziba królewska, potem więzienie, obecnie muzeum.

Trudno mi to wszystko wytłumaczyć wam, mili czytelnicy, bo, rzecz jasna, Elfryda wiedziała równie dobrze, jak ja, że to wszystko zdarzyło się trzysta lat temu. Albo też, jeśli wolicie tak to ująć, że nie wydarzyło się to wcale. I że w każdym razie nie tamta głupiutka piosenka, zanucona przez Elfrydę, ale list pana Treshama do lorda Monteagle był powodem znalezienia się rodziny Ardenów oraz innych panów w więzieniu Tower oraz w cieniu śmierci. A jednak dziewczynka miała nadal uczucie, że to ona ich wydała. Uważała też, że skoro ujawniła bardzo podły spisek, to powinna być zadowolona, a tymczasem wcale nie odczuwała zadowolenia. Miała przeświadczenie — nawet powiedziała to sobie — że jest donosicielką. Wykorzystała okoliczność, że urodziła się znacznie później niż wszyscy ci ludzie i że była dość biegła w historii, aby narazić na śmierć tylu szlachetnych panów. Że dopuścili się oni zdrady wobec króla i parlamentu, nie odgrywało to żadnej roli. To ona była zdrajcą i przeżywała tę świadomość aż nazbyt gorzko. Toteż w małej celi więziennej o grubych murach, na których widniało świeżo wryte nazwisko Raleigh^{*}, Elfryda leżała długo w noc z otwartymi oczyma, gdy lady Arden i Edred spali spokojnym snem. Pełna nienawiści do siebie samej, nazywała siebie zdrajcą, tchórzem i skończonym tumanem.

^{*} Raleigh — Walter Raleigh (1552–1618), angielski żeglarz, korsarz, pisarz i poeta. Jako przeciwnik króla uwięziony został w Tower i skazany na śmierć. W 1618 r. wypuszczono go pod warunkiem dotarcia do złotośnych terenów nad rzeką Orinoko w Wenezueli, skolonizowanej przez Hiszpanów. Wbrew zakazowi zaatakował Hiszpanów, a następnie burza zniszczyła mu flotę; Po powrocie do Anglii został ponownie skazany na śmierć i ścięty.

ROZDZIAŁ IX W WIĘZIENIU TOWER

Uwięziona w londyńskim zanku Tower i oskarżona o zdradę stanu po przyznaniu się do bardzo dokładnej znajomości szczegółów Spisku Prochowego, Elfryda nie mogła oprzeć się myśli, jakby to było przyjemnie znaleźć się z powrotem w swoich własnych czasach i w Arden, gdzie, jeśli się biernie pozwala toczyć wydarzeniom i nie zakłóca ich biegu żadnego rodzaju białokrecimi czarami, to nie może zdarzyć się nic niebezpiecznego, romantycznego ani wstrząsającego. A swoją drogą, jak wam dobrze wiadomo, kiedy Elfryda była już w swoich właściwych czasach, nie potrafiła nigdy powstrzymać się od zakłócania toku wypadków. Ani ona, ani Edred nie umieli zadowolić się ani zamkiem, ani domem, które, nawet w takim stanie, w jakim były, uszczęśliwiłyby całkowicie i was, i mnie. Ale oni chcieli odnaleźć skarb, a także — zwłaszcza Elfryda — spragnieni byli przygód. No więc teraz mieli oboje nader kłopotliwą przygodę. Poza tym nie było wcale wiadomo, co z niej wyniknie, a to przecież stanowi istotę wszelkich przygód.

Edreda wraz z lordem Ardenem oraz szeregiem innych panów umieszczono w White Tower, czyli Białej Wieży, Elfryda zaś i lady Arden znajdowały się w zupełnie innej części budynku. Ponadto dzieciom nie wolno było widywać się, przez co, naturalnie, uniemożliwiono każdemu z nich podjęcie jakiegokolwiek próby powrotu do własnych czasów. Bo chociaż dzieci, jak wam wiadomo, czasem się sprzeczały, to w gruncie rzeczy wprost przepadały za sobą. A przecież większość z nas wzdragałaby się przed pozostawieniem nawet kogoś, kogo niezbyt lubimy, jako samotnego więźnia w Tower, w czasach Jakuba I i Spisku Prochowego.

Elfryda musiała opiekować się matką i nadal pracować nad swą serwetką, którą stara niania przyniosła wraz z sukniami swej pani i sukienkami Elfrydy. Ale nie było żadnych możliwości zabawy, a jedyne spacerki, z jakich mogła korzystać Elfryda, odbywały się na bardzo wąskim tarasie, gdzie zwiędłe łodygi kwiatów sterczały z wąziutkiej rabaty biegnącej wzdłuż wyłożonej płytami dróżki, na której zmieścić się mogła tylko jedna osoba. Z tarasu tego widać było w oddali pękate, dziwaczne statki płynące po rzece oraz wieże katedry Świętego Pawła.

Edredowi bardziej się poszczęściło. Pozwolono mu bawić się w ogrodzie komendanta więzienia. Ale chłopiec nie miał wcale ochoty do zabaw. Pragnął jak najprędzej odnaleźć Elfrydę i powrócić do Arden. Wszyscy traktowali go bardzo przyjaźnie, ale musiał zachowywać się znacznie spokojniej niż zwykle, zwracać się do wszystkich: „sir” i „madam”^{*}, a także nie wolno mu było odezwać się, dopóki ktoś do niego nie przemówił. Nie macie pojęcia, moi drodzy, jakie to nużące, kiedy nie wolno powiedzieć słowa, dopóki ktoś was nie zagadnie, kiedy cały świat pełen jest tysięcy interesujących rzeczy, o które chciałoby się zapytać.

Pewnego dnia — a przebywali w więzieniu już od wielu dni — Edred spotkał kogoś, kto zdawał się skłonny odpowiadać na zadawane mu pytania, co było dla chłopca o wiele ważniejsze, niż mogłoby się wam wydawać.

Pewnego słonecznego zimowego poranka Edred, znajdując się w prywatnym ogrodzie komendanta więzienia, ujrzał idącego w jego stronę bardzo przystojnego starszego pana, ubranego w bardzo piękny strój, a w dodatku strój ten aż płonął od klejnotów. Otóż trzeba wam wiedzieć, że większość panów więzionych w Białej Wieży była podówczas zdania, że w

^{*} Madam (franc.) — pani; dawniej: wielmożna pani.

więzieniu najlepiej nosić swoje najstarsze stroje, toteż wspaniałość szat owego pana w ogrodzie była czymś tak niezwykłym, a nawet oszałamiającym, że zanim Edred przypomniał sobie zasadę, że nie należy odzywać się nie będąc pytanym, nagle, ku własnemu zdziwieniu, skłonił się i powiedział:

— Do pańskich usług, sir! — I dodał: — Ależ pan byczo wygląda!

— Nie bardzo rozumiem, co chciałeś powiedzieć — odparł starszy pan, ale uśmiechnął się przyjaźnie.

— Chciałem powiedzieć, wspaniale pan wygląda!

Starszy pan zdawał się być bardzo zadowolony z tej uwagi.

— Cieszę się, że budzę twoje uznanie — powiedział.

— Mam na myśli strój pana — wyjaśnił Edred, a następnie uświadomiwszy sobie, że słowa jego nie zabrzmiały zbyt grzecznie, dodał: — Pana oblicze także jest wspaniałe, ale kiedy uczono mnie dobrych manier, zawsze zwracano mi uwagę, że nie wypada mówić ludziom, że mają piękne twarze. „Chwalenie twarzy jest grubym nietaktem” — zwykła mawiać pani Honeysett.

— Chwalenie mojego oblicza nie jest wcale nietaktem — odparł starszy pan. — Przeciwnie, jest to bardzo miła nowość w tych murach.

— Czy dzisiaj są pana urodziny albo coś w tym rodzaju? — spytał Edred.

— Ależ nie — odparł starszy pan z uśmiechem. — Skąd to przypuszczenie?

— Stał, że tak wspaniale pan wygląda — odparł Edred. — W takim razie myślę, że musi pan być księciem...

— Nie, wcale nie jestem księciem — jestem więźniem.

— Aha, rozumiem — powiedział Edred, jak często mówią ludzie, kiedy właśnie nie rozumieją. — Dzisiaj ma pan wyjść na wolność i dlatego włożył pan swoje najlepsze ubranie. Ach, jakże się cieszę. Właściwie to przykro mi, że pana tu nie będzie, ale cieszę się ze względu na pana.

— Jesteś prawdziwie dzielny i szlachetny chłopcem — odpowiedział starszy pan. — Ale mylisz się. Jestem więźniem i pragnę nim pozostać. Co zaś do tych błyskotek — to mówiąc, wypiął pierś tak, że diamentowe guzy, rubinowe kolczyki i wysadzany klejnotami kołnierz rozbłysły pełnym blaskiem w zimowym słońcu — co do tych błyskotek, to noszę je dlatego, aby nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że Walter Raleigh dopuścił, by pobyt w więzieniu zaćmił jego dumę wyrażającą się we właściwym stroju ciała, które ongiś dostąpiło zaszczytu ukłęknięcia przed Jej Królewską Wysokością.

Przy ostatnich słowach zdjął kapelusz i wspaniałym gestem niemal zamiótł nim ziemię.

— Och! — wykrzyknął Edred. — To pan jest prawdziwy sir Walter Raleigh? Ach, jakie to cudowne! To teraz opowie mi pan wszystko o złocistych krainach Południowej Ameryki, o bitwach morskich, o słynnej Armadzie i Hiszpanach, a także, na czym pan grywał, kiedy był pan małym chłopcem.

— Tak — zgodził się sir Walter — opowiem ci o tym wszystkim. Ręczę, że nikt nie ośmieli się zabronić mi rozmowy z tobą. O, jakże chciałbym — ciągnął, rozglądając się niecierpliwie dokoła — znowu zobaczyć rzekę. Z mojej poprzedniej celi mogłem ją widzieć, a także piękne statki płynące w jedną i drugą stronę, statki, których zadaniem jest przemierzanie wielkich wód. — Westchnął, zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej: — Tak, a więc nie poznałeś swego starego znajomego Raleigha. Został zupełnie zapomniany, zupełnie! A przecież uganiałeś się z moją szpadą dosiadając jej niczym konia i bawiłem się z tobą na dziedzińcu zamkowym w Arden. Gdy cała Anglia zapomina tak szybko, czyż zatem od dziecka można oczekiwać więcej?

— Bardzo przepraszam — wyszeptał pokornie Edred.

— Nie, nie trzeba — odrzekł sir Walter i leciutko uszczypnął Edreda w ucho. — Przecież to było już dwa lata temu, a krótkie lata mają krótką pamięć. Pójdiesz ze mną do mojej celi,

a tam pokażę ci wykres podróży morskich i mapę krainy zwanej Windargocoa, którą Jej Królewska Wysokość łaskawie zezwoliła mi nazwać Wirginią na cześć Jej Majestatu.

Tak więc Edred, bardzo ucieszony i dumny, udał się ręką w rękę z sir Walterem Raleighem do jego pomieszczeń i obejrzał tam mnóstwo zamorskich dziwów — stroje z piór pochodzące z Meksyku, dziwne wizerunki wyryte w złocie, przywiezione z osobliwych wysp, kiel wieloryba z Grenlandii oraz wiele innych rzeczy. Następnie sir Walter opowiedział mu o swoich podróżach, o wyprawach morskich i o tym, jak on sam oraz Humphrey Gilbert, Adrian Gilbert i mały Jack Davis zabawiali się puszczaniem łódeczek na wody Tamizy i jak później pływali już prawdziwą łódką pomiędzy olbrzymimi statkami zakotwiczonymi w porcie i przyglądali się wielkim galeonom* sterczącym wysoko na dziobach statków, rozmyślając o nich i o tych obcych krainach, skąd przyplnęły.

— I zdarzało się nieraz — mówił sir Walter — że kapitan któregoś z tych statków prawił nam, małym chłopcom, historie podobne do tych, jakie ja tobie opowiedziałem. Pływaliśmy na naszych małych łódkach, a później pływaliśmy na wielkich statkach, a teraz utkwilem w doku i nigdy już nie będę pływał. Och, ujrzyć raz jeszcze wrzosowiska Devonu* i jasną przestrzeń nad morzem. Ale ja nigdy już tego nie zobaczę.

Z tymi słowy oparł się ramieniem o parapet okna i gdyby to nie był wielki sir Walter Raleigh, który figuruje we wszystkich podręcznikach historii, Edred pomyślałby, że starszy pan płacze.

— Ach, niech pan się nie martwi! Naprawdę! — zawołał zakłopotany Edred. — Nie wiem, naturalnie, czy pozwolą panu pojechać do Devonu, ale jestem pewien, że któregoś dnia pozwolą panu popłynąć do Ameryki. I to z dwunastoma statkami. Czytałem o tym nie dalej jak wczoraj. Statek pana nazywać się będzie „Przeznaczenie” i wypłynie pan z Tamizy, a lord Arden przyjdzie pana pożegnać i ucałuje na pożegnanie, i wręczy panu pamiątkowy medal. I towarzyszyć panu będzie pański syn. Wiem, że na pewno tak się stanie. Bo wszystko napisane jest w książce!

— W książce? — zapytał sir Walter. — Coś w rodzaju prorocstwa?

— Może pan to i tak nazwać, jeśli pan chce — odparł ostrożnie Edred — ale z całą pewnością jest to prawda.

Wyczytał to wszystko w „Historii rodu Ardenów”.

— Gdyby to miała być prawda — rzekł sir Walter i uśmiech znów zagościł w jego i tak wesołych oczach — i jeżeli kiedykolwiek popłynę znowu na Złoty Zachód, to możesz mnie zwymyślać, ale splądruję jakieś hiszpańskie miasto i przywiozę ci złoty łańcuch na szyję i cały worek dukatów.

— Bardzo panu dziękuję — odparł Edred — to bardzo uprzejmie z pana strony, ale mnie już tu nie będzie.

I żadne z pytań sir Waltera nie zdołało go skłonić do powiedzenia, skąd o tym wie ani też co ma na myśli.

Później Edred spotykał sir Waltera codziennie w ogrodzie komendanta twierdzy i obaj więźniowie nawzajem się pokrzepiali. Edred w każdym razie czuł się pokrzepiony, a sir Walter zdawał się być. Ale nikt nie mógł mieć pewności, czy nie było to tylko złudzenie. Była to jedna z owych zagadek, które zawsze intrygowały dzieci — omawiały tę sprawę między sobą tak długo, że dostawały nieomal zawrotu głowy. A zagadka polegała na tym, czy ich obecność w minionych czasach wpływała w jakiś sposób na losy ludzi z tamtej epoki. Innymi słowy, czy jeśli uczestniczycie w wydarzeniach historycznych, ma jakiegokolwiek znaczenie to, co mówicie lub też czynicie. Wtedy, oczywiście, wydawało się, że ma to ogromne znaczenie. Ale z drugiej strony, jeżeli wycieczka w przeszłość była tylko czymś w rodzaju snu, to oczywiście ludzie z czasów minionych nie mieli o tym najmniejszego pojęcia,

* Galeona — rzeźbiona ozdoba na dziobie dawnych statków.

* Devon — nadmorskie hrabstwa w południowej Anglii.

chyba że — jak nieraz podkreślała Elfryda — śnili oni dokładnie taki sam sen, co było całkiem prawdopodobne, jeżeli czas się nie liczy albo też może być oszukany przez białe zegary.

Jednakże jeśli dzieci rzeczywiście przenosiły się w rzeczywistą przeszłość, to wówczas, rzecz jasna, to, co robiły, musiało się liczyć jako coś realnego, co nieraz powtarzał Edred. Ale czy mogło tak być, skoro zabierali z sobą w przeszłość wszystko, czego się tu nauczyli? Dzięki tej wiedzy zdolni byli odkrywać spiski, ujawniać wyniki wojen i losy królów — słowem, jak się wyraziła Elfryda, „sprawiać, że historia stawiała się zupełnie odmienna”. Widzicie teraz, mili czytelnicy, wszystkie następczające się tu trudności. A powiedzenie Betty Lovell, że nie mogą pozostawić żadnego śladu na czasach przeszłych, nie zdawało się czynić jakiegokolwiek większej różnicy, w ten czy inny sposób.

W każdym razie w chwili obecnej Elfryda i Edred znajdowali się w Tower nie mając możliwości widzenia się z sobą, tak że nie byli w stanie przedyskutować ani tego zagadnienia, ani żadnego innego. Mieli co prawda zawsze nadzieję, że się wreszcie spotkają, ale się nie spotkali.

Wreszcie królowa pomyślała o lady Arden i postanowiła, że ona i jej syn Edred powinni zostać wypuszczeni z Tower. Powiedziała to królowi, ten powiedział temu czy innemu lordowi, który z kolei zawiadomił komendanta Tower i oto zupełnie niespodziewanie lady Arden i Edreda odesłano do domu w ich własnym powozie, który natychmiast przyjechał z pałacu Ardenów. Elfryda jednak pozostała pod opieką żony komendanta Tower, bardzo zresztą miłej pani. Teraz więc ona była w Tower, a Edred w domu Ardenów w Soho, i dalej nie mogli porozumieć się z sobą ani ułożyć planu powrotu do roku 1908 i do zamku Ardenów nad morzem.

Elfryda została oczywiście dlatego zatrzymana w Tower, ponieważ śpiewała piosenkę:

*Pamiętać zawsze wypada
O dniu piątym listopada,
O słynnym Spisku Prochowym...*

Ludzie myśleli — lub zdawali się myśleć — że wiedziała wszystko o Spisku Prochowym. Oczywiście, wiedziała, ale byłoby jej bardzo trudno objaśnić komuś w owych czasach, skąd to wiedziała, nie będąc równocześnie zdrajczynią.

Pozwolono jej teraz widywać codziennie lorda Ardena, którego bardzo lubiła. Ze zdziwieniem zauważyła, że był podobny do jej własnego ojca, który wyjechał do Południowej Ameryki z wujem Jimim i nigdy już nie wrócił do swej małej córeczki. Lord Arden również coraz bardziej ją lubił. „Jesteś śmiała — mówił do niej — i z każdym dniem stajesz się śmielsza. Czy nie lękasz się, że twój tatuś sprawi ci lanie za to, że mu odpowiadasz tak zuchwale?”

„Nie — mówiła Elfryda, ściskając go tak mocno, jak tylko pozwalała na to jej kryza. — Wiem, że nie mógłbyś bić swojej córeczki, czyż nieprawda, tatusiu?” I kiedy go obejmowała, zdawało jej się p r a w i e, że ściska swego własnego ojca, który nie powrócił z Ameryki.

Była niemal zadowolona. Wiedziała, że lord Arden nie należał do tych, którzy mieli ucierpieć z powodu Spisku Prochowego. Z „Historii Ardenów” dowiedziała się, że zostanie tylko usunięty z dworu i szczęśliwie zakończy swe życie w Arden. Ogarniała ją nawet niekiedy pokusa, by zdać się na to, co miało się zdarzyć, i pozostać ze swoim nowym ojcem, który żył przed trzystu laty, i pieścić go, i być pieśczonej przez niego. Wiedziała jednak, że musi coś zrobić ze względu na Edreda. Ale najgorsze było to, że nic nie mogła wymyślić. Nie wiedziała, co się stało z Edredem — czy był szczęśliwy, czy nieszczęśliwy.

A on jeżeli nie czuł się nieszczęśliwy, to w każdym razie — bardzo nieswój. Pan Parados, opiekun, który był tak dokuczliwym człowiekiem jak ci, których znajdziecie, drodzy

czytelnicy, w każdej nadmorskiej szkole dla młodych ludzi, nadal przebywał w londyńskiej rezydencji Ardenów i uczył chłopców — Edreda i jego kuzyna Ryszarda. Pan Parados był bardzo mile widziany przez króla, przysłuchiwał się bowiem temu, co nie było dla niego przeznaczone, i wszystko, cokolwiek usłyszał, donosił tam, gdzie mogło wyrządzić najwięcej zła — takie rzeczy zawsze bardzo się podobały królowi Jakubowi I — a lady Arden nie miała odwagi go odprawić. Poza tym była chora ze zmartwienia i niepokoju i Edred nie potrafił jej pocieszyć ustawicznym powtarzaniem: „Nie udowodnią ojcu zdrady — nie stracą go. Odeślą go tylko do Arden, będzie tam mieszkał spokojnie z tobą. Widziałem to wszystko w książce”.

Lecz lady Arden wciąż płakała i płakała.

Pan Parados był bardzo surowy i prawie stale bił Edreda po rękach podczas lekcji i poza lekcjami. Kuzyn Ryszard powiedział kiedyś:

— On się zawziął, żeby nas szpiegować i źle się z nami obchodzić.

— Musi ciągle robić kłopoty ten wstrętny donosiciel — odrzekł Edred. — Chciałbym się z nim porachować, zanim stąd pójdę. I zrobię to.

— Zanim pójdziesz? Dokąd pójdziesz? — zapytał kuzyn Ryszard.

— Elfryda i ja odejdziemy — zaczął Edred i nagle poczuł, że nie ma sensu mówić dalej, bo jeśli nawet Edred z 1908 roku — którym on był — odejdzie, to i tak Elfryda i Edred z 1605 roku oczywiście tu pozostaną, to znaczy, jeżeli... Przerwał rozmyślenia nad tymi starymi sprawami, bo nie miał teraz czasu na ich rozważanie, i powiedział stanowczym tonem, zupełnie u niego nowym, który wprawiłby Elfrydę w zdumienie i ucieszył, gdyby go słyszała: — Tak, mam dwie rzeczy do zrobienia: porachować się ze starym Kaczym Dziobem, to znaczy zemścić się na nim, i wydostać Elfrydę z Tower. Zrobię przede wszystkim tę drugą, bo Elfryda będzie na pewno chciała mi pomóc w pierwszej.

Chłopcy stali na dachu krytym ołowianą blachą, oparci plecami o komin, z twarzami zwróconymi ku kłapie, która była jedyną drogą prowadzącą na dach. Było bardzo zimno, wiał wiatr północny, ale przyszli tu dlatego, ponieważ było to jedno z niewielu miejsc, gdzie Kaczy Dziób nie mógł zakraść się za nimi, aby podsłuchiwać, co mówią.

— Wydostać z Tower? — zaśmiał się Ryszard, lecz zaraz spoważniał. — Chciałbym, żebyśmy mogli to zrobić.

— Możemy to zrobić — rzekł poważnie Edred. — Myślałem o tym cały czas, odkąd wróciliśmy z Tower, i wymyśliłem sposób. Chciałbym, żebyś mi pomógł, Dick. Ty i ktoś z dorosłych. — Mówił tym samym zawziętym, pewnym siebie, nowym tonem.

— Ktoś z dorosłych? — zapytał Dick.

— Tak. Myślę, że niania. Dowiem się tylko, czy możemy jej zaufać.

— Zaufać jej? — powiedział Dick. — Jak to, przecież ona przepada za każdym z nas, Ardenów. Dałaby się zamęczyć na śmierć, zanim zdradziłaby najmniejsze nasze słówko.

— A więc wszystko w porządku — powiedział Edred.

— Co za spisek uknułeś? — zapytał Dick i nie zaśmiał się, chociaż może chciało mu się śmiać. Bo, widzicie, drodzy czytelnicy, Edred był bardzo mały i słaby, a zamek Tower taki ogromny i mocny.

— Wydostanę Elfrydę — powiedział Edred — i wydostanę ją tak, jak lady Nithsdale* wydostała swego męża. To będzie bardzo łatwe. Wszystko polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy strażę się zmieniają, a ja wiem.

— Ale jak lady Nithsdale wydostała lorda Nithsdale'a i skąd? — zapytał Dick.

— Jak to, z Tower, przecież wiesz — zaczął Edred, ale uświadomił sobie nagle, że Dick nie wiedział i nie mógł wiedzieć, bo lord Nithsdale nie został jeszcze uwolniony z Tower, a

* Lady Nithsdale — wydostała swego męża z Tower w przeddzień egzekucji przygotowywanej na 24 lutego 1716 r. Po ucieczce oboje wyjechali do Rzymu, gdzie żyli jeszcze bardzo długo. Hrabia William Maxwell Nithsdale należał do zwolenników Jakuba III, który mimo starań nie uzyskał tronu po śmierci swej przyrodniej siostry, królowej Anny Stuart (1714 r.). Królem został Jerzy I.

nawet jeszcze go tam nie uwięziono, a może nawet, o ile Edred pamiętał, lord Nithsdale jeszcze się wtedy nie urodził. Powiedział więc:

— Mniejsza o to. Opowiem ci wszystko o lady Nithsdale. — I opowiedział Dickowi, w sposób niezbyt jasny, lecz z zapalem, o czynie tej mądrej i odważnej niewiasty. Nie mam czasu, drodzy czytelnicy, by opowiedzieć wam o tym wydarzeniu, ale każdy dorosły, który zna historię, z przyjemnością wam opowie.

Dick słuchał z największą uwagą, chociaż zmierzch już zapadał i robiło się chłodno. Zapalono światła w domu i kłapa w dachu wyglądała jak żółty kwadrat. Jakiś cień w tym żółtym kwadracie zwrócił uwagę Dicka i Dick chwycił Edreda za rękę.

— Chodź — powiedział — zajmijmy się naszymi książkami. Cnotliwi młodzieńcy zawsze postępują podczas nieobecności swych gubernatorów tak, jak postępowałiby, gdyby ci gubernatorzy byli obecni. Odnoszę wrażenie, jak gdyby mój był obecny. Dlatego też uważam się za cnotliwego młodzieńca...

Nie zdążył skończyć swego przemówienia, gdy cień znikł tak nagle, jak się zjawił, i obaj chłopcy, dusząc się ze śmiechu, zeszli na dół, aby odrobić lekcje przy świetle dwóch kapiących świec łożowych, stojących w masywnych srebrnych lichtarzach.

Następnego dnia Edred namówił starą nianię, aby zabrała go na dwór królewski, a ponieważ królowa bardzo lubiła lady Arden, udało mu się zobaczyć Jej Królewską Mość i nawet uzyskać pozwolenie odwiedzenia swego ojca i siostry w Tower. Pozwolenie napisane było własnoręcznie przez królową, która rozkazywała w nim komendantowi Tower przyjmując pana Edreda Ardena, pana Ryszarda Ardena i osobę towarzyszącą. Przez następne dwa dni niania była bardzo zajęta szyciem, a pan Parados bił chłopców po palcach, krzyczał na nich, rzucał im groźne spojrzenia i dziwił się, że znoszą to wszystko tak cierpliwie. Aż nadszedł Ów Dzień. Był trzaskający mróz, a późnym popołudniem zaczął padać śnieg.

— Tym lepiej — powiedziała stara niania — tym lepiej.

O zmroku zmieniła się straż przy bramie Tower. Piętnaście minut wcześniej powóz lorda Ardena zatrzymał się przed bramą Tower i stara niania w kryzie, czepcu i czerwonym płaszczu wysiadła z niego i pomogła wysiąść dwom paniczkom. Jeden z nich, a był nim Edred, miał na sobie czarne ubranko i płaszczyk obramowany futrem popielicowym, a drugi, Ryszard, nosił ubranie z szarego aksamitu i futerko z kuny. Wezwano komendanta, który przeczytał rozkaz królowej, skinął uprzejmie Edredowi i wszyscy weszli do Tower.

Kiedy kroczyli przez dziedziniec do Białej Wieży, w której mieszkał lord Arden, gęsty śnieg obsypywał ich płaszcze i futra i przymarzał do materiału, był bowiem trzaskający mróz.

I znowu: — Tym lepiej — powiedziała niania. — Tym lepiej.

Elfryda była u lorda Ardena i właśnie siedziała na jego kolanach, gdy weszli goście. Dziewczynka natychmiast zeskoczyła z kolan, przywitała Edreda głośnym okrzykiem i mocno go objęła.

— Idź z nianią — szepnął jej do ucha, również ją obejmując — i rób dokładnie to, co ona ci powie.

— Ale ja ułożyłam wierszyk — odszepnęła Elfryda — a teraz ty tu przyszedłeś.

— Rób to, co ci mówię — szepnął Edred tonem, jakiego nigdy dotąd u niego nie słyszała, a wyrzekł to tak ostro, że nie śmiała już nic więcej powiedzieć o wierszu. — Musimy cię stąd wydestać — mówił dalej Edred. — Nie bądź głupia, pomyśl o lady Nithsadle.

Elfryda nareszcie zrozumiała. Wypuściła Edreda z ramion, pobiegła z powrotem do lorda Ardena, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go.

— No dobrze już, dobrze, moje dziecko, uspokój się — powiedział lord, gładząc ją delikatnie po ramieniu, ponieważ płakała.

— Chodź ze mną do twego pokoju — rzekła niania. — Chcę ci wziąć miarę na nową sukienkę i spódniczkę.

Ale Elfyda przytuliła się jeszcze mocniej do lorda Ardena.

— Ona nie chce zostawić swego tatusia — powiedział lord Arden — nieprawda, moje dziecko?

— Nie, nie! — zawołała Elfyda ze wzburzeniem. — Nie zostawię mojego tatusia!

— Ależ to potrwa tylko chwilę — tłumaczył jej lord Arden. — Przecież muszą ci wziąć miarę. Wrócisz do mnie, moje kochanie. Im prędzej pójdziesz, tym prędzej wrócisz.

— Do widzenia, kochany, kochany mój tatusiu! — zawołała Elfyda wstając raptownie. — Och, mój drogi tatusiu, do widzenia!

— I tyle zachodu o nową sukienkę — rzekła gniewnie niania. — Nie mam już cierpliwości do tego dziecka.

Schwyciła Elfydę za rękę i wciągnęła ją do sąsiedniego pokoju.

— A teraz — rzekła, klękając, aby zdjąć Elfydzie sukienkę — nie mamy ani chwili do stracenia. Trzymaj chusteczkę przy twarzy i udawaj, że płaczesz, jak będziemy wychodzić. A cóż to, ty naprawdę płaczesz? Tym lepiej. Spod szerokiej krynoliny niania wyciągnęła strój, który był tam schowany — czarne ubranko, czapkę, płaszcz, pończochy i buciki — i który nie różnił się ani odrobinę od stroju Edreda.

Zanim dziewczynka przestała płakać, była już dokładnym portretem swego brata — poza twarzą — a tę miała zakryć chustką do nosa. Niania podeszła szybko do drzwi pokoju i powiedziała do strażnika:

— Serdecznie dziękuję, dobry panie. Mój mały panicz zachorował — jest za wąty, żeby wytrzymać takie smutne spotkanie i jeszcze smutniejsze rozstanie. Odprowadź nas, proszę, do bramy, gdzie czeka nasza karoca, bo muszę zabrać chłopca do domu. Później wrócę po drugiego, jego szlachetnego kuzyna.

— Czyż tak? — rzekł uprzejmie strażnik. — Biedne dziecko! Cóż robić, takie jest życie, a lzy mamy po to, żeby płakać.

Nie mógł jednak opuścić swego posterunku przy drzwiach lorda Ardena, aby odprowadzić ich do bramy. Objął więc tylko, któredy mają iść. Przeszli sami przez dziedziniec, a śnieg sypał na ich płaszcze i zamarzał na nich.

Strażnicy przy bramie, którzy widzieli przedtem, jak stara niania i dwóch małych chłopców wchodziło w padającym śniegu, ujrzeli teraz starą nianię wychodzącą z jednym chłopcem: oboje byli zasypani śniegiem, a mały chłopiec gorzko płakał. Niania wyjaśniła, że nic w tym dziwnego, skoro zobaczył, w jakich warunkach przebywa jego drogi ojciec i siostra.

— Odprowadzę go do karocy — powiedziała do strażnika — i wrócę po drugiego chłopca, panicza Ryszarda Ardena. — Przeszła z Elfydą w chłopięcym ubraniu przez bramę i powiodła ją do czekającej karocy. Umówiła się przedtem z woźnicą, że będzie sobie drzemał na koźle, a lokaj pójdzie pokrzepić się do sąsiedniej karczmy.

— Pod siedzenie — powiedziała stara niania, po czym popchnęła Elfydę do wnętrza karocy i zamknęła drzwiczki. Elfyda zaś, przebrana za chłopca, skuliła się w słomie, wyściełającej dno karocy.

Jak dotąd, wszystko szło dobrze. Pozostała jednak najniebezpieczniejsza część przygody. Niania z łatwością weszła ponownie do Tower; wpuścił ją ten sam strażnik, który widział, jak wychodziła. A kiedy tak szła powoli przez zaśnieżony dziedziniec, usłyszała dochodzący spod bramy wjazdowej odgłos kroków ludzi, którzy przyszli, aby złuzować straż i zająć jej miejsce. I znowu, jak dotąd, wszystko szło dobrze. Niebezpieczeństwo mogło grozić ze strony straży pilnującej drzwi wiodących do pokoju lorda Ardena, a poza tym niektórzy z poprzednich strażników mogli jeszcze zamarudzić przy bramie, gdy będzie wychodziła nie z jednym małym chłopczykiem, jak należałoby oczekiwać, lecz z dwoma. A jednak musiała podjąć to ryzyko. Zwlekała tak długo, na ile tylko starczyło jej odwagi, aby zmniejszyć możliwość spotkania z którymś ze starych strażników. Czekwała spokojnie w kącie pokoju, podczas gdy

lord Arden rozmawiał z chłopcami. A kiedy wreszcie oznajmiła: — Już czas, mój lordzie — wiedziała bardzo dobrze, że zmieniono także strażników przy drzwiach pokoju.

— A więc ruszajmy — powiedział Edred, po czym wraz z Ryszardem poszli za nianią po wąskich stopniach na dół i przemierzili zaśnieżony dziedziniec.

Nowa straż przy bramie zobaczyła kobietę z dwoma chłopcami, a kapitan straży przeczytał dokument, wystawiony przez królową, dokument, który stara niania przezornie wzięła z powrotem od komendanta więzienia. A ponieważ pan Edred Arden i pan Ryszard Arden z osobą towarzyszącą uprzednio weszli, teraz pozwolono im wyjść.

I już w dwie minuty później wielka karoca toczyła się ociężale wzdłuż zaśnieżonych ulic, a wewnątrz niej cztery osoby ścisnęły się z wielkiej radości, że ich strategia uwieńczona została takim powodzeniem.

— To Edred wymyślił to wszystko — stwierdził Ryszard, jak nakazywał mu honor. — On to wszystko zorganizował i on przeprowadził.

— Wspaniale to zrobił — powiedziała serdecznie Elfryda, a ja sędzę, że było to raczej wspaniale z jej strony, że nie chciała urazić jego dumy i pozwoliła mu odczuć całą przyjemność płynącą z tej pierwszej przygody, którą sam obmyślił i zupełnie sam rozegrał. Jak wiecie, drodzy czytelnicy, mogła bardzo łatwo zepsuć mu tę przyjemność, wykazując, że historia ta była absolutnie niepotrzebna i że osiągnęliby to samo o wiele łatwiej, gdyby poszli do jakiegoś kącika w Tower i wyrecytowali wierszyk Białemu Kretowi.

Wreszcie dojechali do pałacu Ardenów.

Woźnica widocznie znowu się zdrzemnął, bo lokaj po otwarciu bramy wjazdowej obszedł powóz i coś tam poprawiał przy uprzęży, tak że niania z łatwością mogła go posłać z poleceniem, by natychmiast podano obiad paniczowi Edredowi i paniczowi Ryszardowi. W ten sposób nikt nie zauważył, że zamiast dwóch małych chłopców, którzy opuścili płac Ardenów po południu, powróciło wieczorem trzech. — Niania zaprowadziła ich do saloniku i starannie zamknęła drzwi.

— A teraz — powiedziała — panicz Ryszard zdejmie swoje piękne ubranie, a panna Arden przejdzie do małego pokoju i zmieni swój strój. A co do panicza — zwróciła się do Edreda — to panicz pozostanie tu ze mną.

Gdy tamci posłusznie wyszli, niania stała patrząc na Edreda oczyma, które robiły się coraz większe i zmieniały wyraz, a Edred stał i patrzył na nią oczyma, które stawały się coraz bardziej i bardziej okrągłe.

— Ach — powiedział wreszcie — jesteś czarownicą, czarownicą, której przynieśliśmy herbatę.

— A jeżeli nią jestem? — rzekła. — Czy myślisz, że wy jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogą przenosić się w inne czasy? Na tobie nie kończy się świat, paniczu Arden. Masz jednak zadatki na dobrego chłopca i dobrego człowieka i myślę, że nauczyłeś się czegoś w tych dawnych, starych czasach.

Nie ulega wątpliwości, że się nauczył. Czy było to zasługą długich rozmów, jakie prowadził z sir Walterem Raleighem, człowiekiem światłym i wielkim dżentelmenem, czy wynikało stąd, że uznano go za dostatecznie ważnego, aby go uwięzić w Tower, czy może sprawiło to bicie po palcach i groźne spojrzenia pana Paradosa — tego nie wiem. W każdym bądź razie przygoda ta była początkiem zmiany, która zakończyła się tym, że Edred stał się „mądrym i dzielnym”, jak głosił stary wierszyk.

— A teraz — powiedziała niania, gdy Elfryda zjawiała się w swym dziewczęcym stroju — nie mamy ani chwili do stracenia. W Tower już na pewno wykryli nasz podstęp. Musicie wrócić do waszych czasów.

— Ona jest czarownicą — odpowiedział Edred krótko na wyraźne zdumienie malujące się w oczach Elfrydy.

— Nie mamy ani chwili do stracenia — powtórzyła niania.

— Muszę najpierw załatwić porachunki ze Starym Paradosem — powiedział Edred, co też zrobił. Zajęło mu to dokładnie dwadzieścia minut i opowiem wam o tym, drodzy czytelnicy, trochę później.

Gdy już załatwił swoje porachunki z Paradosem i stara niania posłała Ryszarda do łóżka, Elfryda powiedziała pospiesznie:

— Ułożyłam wierszyk, aby przywołać Białego Kreta, tylko że ten wierszyk mówi o Tower, a nas już tam nie ma. Więc nie warto recytować:

*O, Biały Krecie, spraw w tej chwili,
Byśmy się z Tower wydobyli...*

skoro nie jesteśmy w Tower, ale nie mogę wymyślić nic innego i...

Lecz niania przerwała jej.

— Nie myśl o wierszykach — powiedziała — wierszyki są dobre dla dzieci, a ja znam sposób, który jest wart tyle, co dwa twoje wierszyki.

Zaprowadziła dzieci do jadalnego pokoju, gdzie stał zastawiony srebrem stół, postawiła na nim świecę i wielką tacę z wyrytymi na niej herbami Ardenów.

Chuchnęła na tacę i nakreśliła na jej powierzchni jakieś trójkąty i koła, a kiedy para jej oddechu znikła i srebro znowu zabłysło pełnym blaskiem, w środku tacy ukazał się nagle żywy Biały Kret z Arden, mocno zagniewany.

— Nie umiesz się zachować! — powiedział do niani. — Sprowadzasz mnie tu w bezceremonialny, grubiański sposób, nie mówiąc nawet „za pozwoleniem” lub „jeśli pan pozwoli”. Elfryda mogła z łatwością ułożyć jakiś wierszyk. Wiesz bardzo dobrze — dodał z gniewem — jakie to dla mnie bolesne, kiedy mnie wzywasz za pomocą twoich trójkątów i innych rysunków. Poezja jest łatwa i prosta.

— Poezja jest zbyt delikatna na to, co trzeba zrobić tej nocy — powiedziała niania krótko. — Zabierz dzieci, bo ja już skończyłam swoje zadanie.

— Utrudniasz wszystko — powiedział Biały Kret bardziej zagniewany niż kiedykolwiek. — Najgorsi są ludzie, którzy myślą, że wiedzą bardzo dużo, w rzeczywistości zaś wiedzą bardzo niewiele, a udają, że wiedzą wszystko. Gdybym przybył tu łatwą drogą dzięki wierszykowi, mógłbym ich równie łatwo stąd zabrać. Ale teraz... Nic już nie można poradzić. Zabiorę ich, oczywiście, ale będzie to droga, która im się nie spodoba. Będą musieli wejść na szczyt dachu i zeskoczyć z niego.

— Wcale nie wierzę, że jest to konieczne — powiedziała czarownica niania.

— Dobrze — odparł Biały Kret — więc zabierz je sama — i zaczął znikać.

— Nie, nie! — zawołała Elfryda. — Zrobimy wszystko, co każesz.

— Na dachu są zwały śniegu — powiedziała czarownica niania.

— Tym lepiej — odrzekł Biały Kret — tym lepiej. Powinniście o tym wiedzieć.

— Uważasz się za bardzo mądrego — powiedziała niania.

— Nawet nie w połowie za tak mądrego, jak jestem — powiedział Biały Kret, a Elfryda pomyślała, że to niemożliwe. — Naprzód — dodał ostro, gdy silne uderzenia w drzwi wejściowe wstrząsnęły ciszą nocną. — Naprzód, na dach, tu chodzi o wasze życie! I bynajmniej nie jestem pewien, czy nie jest już za późno.

Uderzenia w drzwi stawały się coraz głośniejsze.

ROZDZIAŁ X

BIAŁE SKRZYDŁA I KODAK

Może raczej powinnam zacząć ten rozdział od opowiedzenia wam, drodzy czytelnicy, o tym, jak Edred „załatwił swoje porachunki ze starym Kaczym Dziobem”, jak powiedział. Pamiętacie zapewne, drodzy czytelnicy, że pan Parados był wychowawcą u Ardenów za czasów króla Jakuba I i że przez jego szpiegowanie i donosy Edred i Elfryda zostali uwięzieni w londyńskim zamku Tower.

Było bardzo mało czasu na załatwienie z kimkolwiek porachunków, a poza tym, oczywiście, załatwianie porachunków naprawdę nie jest rzeczą właściwą. A jednak Edred to uczynił.

Edred wy dostał Elfrydę z Tower zupełnie tak samo, jak lady Nithsdale wy dostała stamtąd swego męża, i teraz on, ona i kuzyn Ryszard byli w pałacu Ardenów, w Soho, i stara niania, która — rzecz zdumiewająca — była jednocześnie starą czarownicą, powiedziała, że nie ma czasu do stracenia.

— Ale ja muszę załatwić porachunki ze starym Kaczym Dziobem — powiedział Edred. Czuł się strasznie odważny i wspaniały, ponieważ obmyślił i doprowadził do skutku ucieczkę Elfrydy na sposób Nithsdale. Ponadto czuł, że nie mógłby powrócić do swoich czasów, nie zaznaczając w jakiś sposób swego stosunku do pana Paradosa.

A oto jak miało to zostać przeprowadzone. Kuzyn Ryszard nie mógł mieć z tym nic wspólnego, bowiem gdy oni pomkną lotem strzały jakąś białą drogą, którą znajdzie dla nich Biały Kret, kiedy go wezwą na pomoc recytując wierszyk, Ryszard pozostanie i na niego spadnie cała odpowiedzialność za wszystko. Edred i Elfryda ustalili to szeptem, chociaż kuzyn Dick chciał wiedzieć, o czym mówią i dlaczego nie ma im dopomóc w tym, co pragnął uczynić w ciągu całych tych czterech lat.

— Jeżeli ci powiem — rzekła Elfryda — nie uwierzysz nam.

— Możesz przynajmniej spróbować — powiedział kuzyn Ryszard.

Powiedzieli mu więc i chociaż starali się zrobić to możliwie jak najprędzej, opowiadanie zabrało trochę czasu. Ryszard Arden słuchał uważnie. Kiedy skończyli opowieść, nie odezwał się.

— Nie wierzysz — powiedział Edred. — Wiedziałem, że nie uwierzysz. To nie ma zresztą żadnego znaczenia. Co możemy zrobić, aby dać nauczkę staremu Kaczemu Dziobowi?

— Nie podoba mi się to — powiedział nagle Ryszard. — Przedtem nigdy tak nie bywało. Wydaje się to nierealne. Sądzę, że to tylko sen. A ja zawsze wierzyłem, że to nie jest sen.

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz — powiedział Edred. — W każdym razie to, co powiedziałem, jest prawdą. Spójrz. — Nagłym ruchem wskazał ciemny kąt saloniku, gdzie schował za firanką aparat fotograficzny. — Popatrz, założę się, że nigdy nie miałeś czegoś takiego. To pochodzi z naszych czasów, tak bardzo odległych w historii — z czasów, z których myśmy przyszli — z czasów, których jeszcze nie było — przynajmniej teraz, kiedy jesteśmy tu, jeszcze ich nie było. Ty nie wiesz, co to jest. To jest maszyna, przy pomocy której robi się w słońcu obrazki.

— Och, schowaj go! — powiedział Ryszard znużony. — Wiem teraz, że to tylko głupi sen. Ale nie warto próbować śnić, że się nie poznaje Kodaka, kiedy się go zna. To jest Kodak.

Nastąpiła pauza, dzieci zaniemówiły ze zdumienia.

— Skoro śniłeś o naszych czasach — powiedziała Elfryda — to możesz nam uwierzyć, że nam się śniły twoje czasy. Czy śniło ci się coś więcej oprócz małego aparatu fotograficznego? Czy śniły ci się kiedyś piękne pojazdy, piękne statki i...?

— Mówisz, jak gdybym był niemowlakiem — przerwał Ryszard. — Wiem wszystko o kolejach żelaznych i statkach parowych, i o Hipodromie, i o Kryształowym Pałacu^{*}. Wiem, że w zeszły czwartek Kent wygrał w krykieta sześćset piętnaście punktów przeciwko Derbyshire. A więc teraz...

— Ale powiedz nam...

— Nic więcej wam nie powiem. Ale pomogę ci załatwić porachunki z Kaczym Dziobem. Nie dbam o to, czy zostanę tu, kiedy wy odejdziecie — powiedział Ryszard.

— Zgarnijmy cały śnieg z dachu do jego pokoju, na pewno nam się to uda.

Edred i Elfryda woleliby zrobić coś dowcipniejszego, ale nie było już czasu, aby coś wymyślić.

— Wiem, gdzie są łopaty — powiedział Ryszard — jeżeli nie zapodziały się gdzieś w tym śnie.

— Słuchaj — rzekł z wolna Edred. — Chciałbym zapisać to o Kencie i sprawdzić później, czy to prawda.

Gęsie pióro wystawało z cynowego kałamarza, stojącego na stole, przy którym odrabiali zwykle lekcje. Ale nie było papieru.

— Spieszmy się — powiedział kuzyn Ryszard i wyjął kawałek papieru ze swego kubraczka. — Ja to napiszę, dobrze?

Napisał i podał złożony papier Edredowi, który schował go do swojego kubraczka.

Następnie cała trójka weszła na dach i szukając po omacku w śniegu odnalazła świetlik, który był oknem wychowawcy — ponieważ w pałacu Ardenów nauka mieszkała na strychu. Dzieci stłukły grubą szybę trzonkami łopat i zaczęły zgarniać do środka całe masy białego śniegu, a zgarniały coraz gorliwiej w odwet za krzyki i gniewne słowa, które rozbrzmiewały pod nimi. A potem gdy pan Parados wszedł na dach, drżąc z zimna i potykając się w śniegu, schowali się za komin, przebiegli do kłapy w dachu, zanim on zdążył tam dojść, a następnie zamknęli kłapę, zasunęli zasuwę, powiedzieli pod nią „A-kuku” i odeszli, zamykając po drodze drzwi jego pokoju na klucz. Stał więc na dachu i mógł albo wzywać pomocy z ulicy, albo wskoczyć przez stłuczony świetlik do swego pełnego śniegu pokoju. Był całkowicie wolny i mógł wybierać. Dzieci nie dowiedziały się nigdy, co wybrał, a i wy, drodzy czytelnicy, nigdy się nie dowiecie.

Potem stara czarownica niania kazała Ryszardowi iść do łóżka, co też zrobił.

Przywołano Białego Kreta, który twierdził, że jedynym sposobem powrócenia do ich własnych czasów jest zeskoczyć z dachu. Ale na dachu był pan Parados. A żołnierze ze straży walili w drzwi wejściowe kolbami swych pistoletów.

— Nie możemy wejść na dach — powiedział Edred i wyjaśnił, jak się rzecz miała z panem Paradosem.

— Ha — mruknął Biały Kret — to się bardzo niefortunnie złożyło. Trzeba więc przejść przez górne okno. Gdzie jest tamto dziecko?

— Poszło do łóżka — powiedziała krótko niania.

— He-he — zachichotał Biały Kret. — Pewni ludzie są mądrzy tylko do połowy. I pomyśleć, że nie odgadłaś tego, a na dodatek uważasz się za czarownicę. He-he.

Przez cały ten czas żołnierze walili jak szaleni do drzwi wejściowych.

Elfryda chwyciła Białego Kreta, niania zaś chwyciła za rękę Edreda i cała czwórka wbiegła na szczyt schodów, gdzie nad podestem znajdowało się małe okienko. Powietrze było przyjemne, lecz chłodne. Okno otworzyli z trudem, a kiedy już było otwarte, powietrze stało się jeszcze chłodniejsze.

— A teraz naprzód, damy mają pierwszeństwo! — zawołał Biały Kret.

^{*} Budowle znane Elfrydzie i Edredowi ze współczesnego im Londynu. Pałac Kryształowy, wzniesiony jako gmach wystawowy W 1851 r., spłonął w 1936 r.

— Ale przecież nie myślisz — powiedziała Elfryda — nie możesz myśleć, że mamy skoczyć w pustą przestrzeń?

— Właśnie myślę, że macie skoczyć — odpowiedział Biały Kret. — To, w co skoczycie, to para butów, ale to już w każdym razie moja sprawa.

— Chyba trochę i nasza, czyż nie? — rzekła lekliwie Elfryda, szcękając zębami; potem mówiła zawsze, że to było z zimna.

— A więc wróćcie sobie do domu na swój własny sposób — powiedział Biały Kret i zaczął znikać.

— Och, nie! Nie odchodź! — zawołała Elfryda, podczas gdy walenie do drzwi na dole stawało się coraz głośniejsze.

— Jeśli ja nie mam odejść, to wy musicie skoczyć — powiedział Biały Kret z rozdrażnieniem. Ale przestał znikać. — Puść mnie — powiedział. — Puść mnie i skocz, na miłość boską!

Postawiła go na podeście.

Nagle niania schwyciła Elfrydę w objęcia i ucałowała wiele razy.

— Żegnaj, kochanie! — powiedziała. — Nasze rozstanie nie jest rozstaniem na zawsze, inaczej nie pozwoliłabym ci odejść. A teraz musisz się wspiąć do okienka. Postaw nogę tu na tej listwie, kolano na parapecie. No — skacz!

Elfryda przykucnęła na parapecie okna, gdzie leżał grubą warstwą świeży śnieg, i przygotowała się do skoku. Było bardzo, bardzo zimno. Czy zdarzyło się wam, drodzy czytelnicy, skakać z górnego okna w ciemność, kiedy pada gęsty śnieg? Jeśli tak, to przypomnijcie sobie, jakiej to wymaga odwagi. Elfryda zacisnęła zęby patrząc w dół, w czarną próżnię, w której iskrzyły się płatki śniegu. Następnie spojrzała za siebie, gdzie ciemny korytarzyk oświetlony był tylko kagankiem, który trzymała stara niania.

— Czy Edredowi nic się nie stanie? — zapytała. — Jesteś pewna, że dobrze skoczysz?

— Oczywiście, że skoczę — powiedział Edred tym swoim nowym głosem. — Skoczę pierwszy, żeby ci pokazać, że nie jestem tchórzem.

Oczywiście Elfryda skoczyła natychmiast. A po chwili skoczył i Edred.

Była to straszna chwila, bo chociaż nasi młodzi bohaterowie ufali Białemu Kretowi, to jednak nie zapomnieli ani na chwilę tego, czego ich uczono przez całe życie, że jeżeli skoczą z okna na najwyższym piętrze, to na pewno roztrzaskają się na drobne kawałki na kamieniach. Pamiętać o tym i pamiętając skoczyć wprost na dół to bardzo odważny wyczyn. A odważne wyczyny prędzej czy później muszą doczekać się nagrody.

Odważny wyczyn Edreda i Elfrydy prędko doczekał się nagrody. Gdy Elfryda skoczyła, zobaczyła, że płatki śniegu zbierają się i gęstnieją pod nią w chmurę. Chmura nie była jednak tego rodzaju, żeby można było przelecieć przez nią. Była gęsta i miękka jak zbity puch edredonowy. Elfryda zrozumiała to, gdy chmura podniosła się i pochwyciła ją lub też kiedy ona na nią spadła — nigdy zresztą nie dowiedziała się, jak to właściwie było. W następnej chwili znalazł się przy niej Edred, a biała puszystość pod nimi i dokoła nich przybrała kształt fotela — było tam oparcie dla pleców, dla rąk i miejsce, gdzie mogły spocząć ich nogi.

— A to... co ty trzymasz w ręku? — zapytała Elfryda.

— Lejce — odpowiedział pewnym głosem Edred. — Białe lejce. To jest powóz.

I naprawdę był to powóz zrobiony z białych płatków śniegu — ciepłych i miękkich jak puch. Były też białe, miękkie kołderki, które same owinęły się wokół nich i otuliły ich całych. Lejce, również utworzone z płatków śniegowych, połączonych razem w jakąś czarodziejską plecionkę, też były ciepłe i miękkie jak biały aksamit. A konie!

— To nie są konie, to łabędzie, białe łabędzie! — zawołała Elfryda, a za nimi i nad nimi rozległ się miękki głos Białego Kreta:

— Wszystko, co białe, musi mnie słuchać.

Edred umiał powozić. A teraz nie mógł się oprzeć pokusie przejechania się w sześć białych łabędzi dokoła domu i pikowania dokładnie nad głowy żołnierzy, którzy w dalszym ciągu dobijali się do drzwi pałacu Ardenów. Krzyknął do nich: „Ha, ha. Znowu zostaliście nabici w butelkę!”, co bardzo ich przestraszyło. Następnie zawrócił łabędzie i jechał prędko w powietrzu drogą, którą znał bardzo dobrze, chociaż nikt nie powiedział mu, że jest to właściwa droga.

Kiedy pojazd śniegowy tak się toczył, Edred i Elfryda ujrzeli nagle ze zdziwieniem inny, mniejszy pojazd śnieżny, zaprzężony w dwa tylko łabędzie, który krążył nad nimi, a potem znikł w ciemnej głębi nieba. Przez krótką chwilę mignęła im zwodniczo twarz, którą znali, ale nie mogli sobie przypomnieć, czyja to była twarz.

Następnie łabędzie rozpostarły w powietrzu swe białe, mocne skrzydła, naprężyły długie, mocne szyje w chomątach i pojazd śnieżny wypłynął z Londynu jak delikatny, biały szal, którym powiewa wiatr. Londyn i burza śnieżna pozostały daleko za dziećmi. Nad nimi rozpościerało się ciemne niebieskie niebo, usiane srebrem czujnych gwiazd, a pod nimi leżało jeszcze ciemniejsze hrabstwo Kent, usiane złotem z okien na wpół uśpionych farm. Powietrze, owiewające w przelocie ich twarze, nie było już chłodne, lecz ciepłe jak w czerwcu, i Elfryda zapewniała zawsze potem, że przez całą drogę czuła zapach białych lilii.

Przelatywali tak nad ciemnymi hrabstwami i była to najczarowniejsza jazda ze wszystkich, jakie odbyli przedtem i jakie mieli odbyć potem.

Łabędzie zatrzymały się o wiele za szybko, zawisając w powietrzu na swych długich, rozpostartych skrzydłach przed oknem baszty w zamku Arden — baszty, której dzieci nie znały.

Lecz chociaż nie znały tej baszty, było rzeczą zupełnie dla nich jasną, że miały wejść do środka przez jej okno.

— Kochane łabędzie — powiedziała Elfryda, która gorączkowo rozmyślała, ściskając w rękę swój mały aparat fotograficzny — czy nie możemy pozostać w waszym pojeździe aż do chwili, kiedy się rozwidni? Tak bardzo chcielibyśmy sfotografować zamek.

Łabędzie potrząsnęły przecząco swymi białymi, płaskimi, węzowymi głowami, zupełnie tak, jak gdyby zrozumiały, o co je pytano. A otwarte okno najwyraźniej czekało na dzieci.

Chcąc, nie chcąc dzieci musiały więc wysiąść. Znalazły się w ciemnym pokoju w baszcie, gdzie było bardzo zimno.

Lecz zanim zdążyły zdać sobie sprawę z tego, jak jest tu zimno i jak niewygodnie będzie im najprawdopodobniej w ciągu reszty nocy, sześć głów łabędzich ukazało się w oknie i coś powiedziało.

— Och — rzekła Elfryda — jaka szkoda, że nie uczyliśmy się w szkole łabędziego języka zamiast francuskiego!

Ale to nie miało żadnego znaczenia. Za chwilę głowy łabędzi znów się ukazały, trzymając w dziobach miękkie, puszyste, białe kołderki, pod którymi było dzieciom tak ciepło w śnieżnym powozie. Łabędzie wepchnęły kołderki przez okno swymi mocnymi, białymi skrzydłami i znowu coś powiedziały w swoim łabędzim języku.

— Och, dziękujemy wam! — zawołały dzieci. — Do widzenia, do widzenia!

Dał się słyszeć łopot oddalających się skrzydeł i dzieci, zmęczone, położyły się na podłodze, otulone miękkimi kołderkami.

W kołderki te zawinięte były także najpiękniejsze marzenia senne, toteż czas płynął tak szybko, że kiedy dzieci obudziły się, zimowy promień słońca zaglądał do nich przez wąskie okno baszty.

Elfryda skoczyła i odrzuciła srebrnobiałą, puszystą kołderkę, która natychmiast rozdarła się na pięć kawałków rozmaitego kształtu i wymiarów. Kawałki te zawirowały, wyduły się i w jej oczach zamieniły się w srebrną miskę pełną ciepłej wody, w kawałek pachnącego liliami mydła, ręcznik, srebrny grzebień i szczoteczkę do zębów ze słoniowej kości.

— Wspaniale — powiedziała Elfryda.

Gdy tylko skończyła swoją prostą toaletę, miska, mydło, ręcznik, szczoteczka do zębów i grzebień zebrały się razem jak kuleczki żywego srebra, przekształciły w zabawną poszarpaną bryłę, wyprostowały i zamieniły znów w puszystą kołderkę.

— Wspaniale — powtórzyła Elfryda. Następnie obudziła Edreda i jego kołderka odegrała dla niego tę samą dowcipną i ładną sztuczkę.

Kiedy dzieci zeszły na dół, niosąc aparat fotograficzny, aby zrobić zdjęcia zamku, błyszczące kołderki podskoczyły i zamieniły się w dwa białe płaszczyki futrzane, takie, jakie mogliby nosić bardzo zamożni ludzie do jazdy samochodem, gdyby ci bardzo zamożni pomyśleli o czymś tak pięknym. Płaszczki podeszły grzecznie do dzieci i wyciągnęły rękawy, jak gdyby chciały powiedzieć:

„Włóż mnie, proszę, na siebie”. Co oczywiście dzieci zrobiły.

Następnie oboje zeszli po kręconych schodach i przeszli przez ciężkie drzwi, które otworzyły się pod łukiem szerokiej bramy wjazdowej. Na drugim końcu sieni, na progu drzwi znajdujących się naprzeciw tych, przez które dzieci weszły, siedział żołnierz. Trzymał swój hełm między kolanami i czyścił go piaskiem, gwizdząc sobie przy tej robocie. Dotknął czoła pokrytą piaskiem dłonią, ale nie ruszył się z miejsca.

— Wcześniej wstaliście — powiedział, w dalszym ciągu pocierając hełm piaskiem.

— Jaki piękny mamy dziś dzień — odezwała się Elfryda. — Czy możemy wyjść?

— Proszę bardzo — odparł po prostu żołnierz — tylko nie wychodźcie poza dwunasty akr, bo tam dalej są niedobrzy ludzie i Egipcjanie. Nie idźcie daleko. Ale śniadanie i tak z pewnością potrafi was przywołać.

Wyszli, lecz zamiast znaleźć się od razu na darni wzgórz, krokami swymi wywołali echo na drewnianych deskach mostu.

— To most zwodzony — powiedział Edred z lękiem — a tu jest fosa, patrz, jej brzegi pokryte są cienką warstwą lodu.

I tak było istotnie. Na dalekim końcu fosy tkwiły uwięzione w warstwie cienkiego lodu lodygi trzciny i turzycy — suche, brązowe i żółkłe. Szumiały i szeleściły za każdym razem, kiedy wylatywała z nich dzika kaczka.

— Jak to pięknie! — zawołała Elfryda. — Chciałabym, aby Arden i teraz miało fosę.

— Jeżeli znajdziemy miejsce, z którego wypływa woda — powiedział praktyczny jak zawsze Edred — to będziemy mogli odbudować fosę, kiedy znajdziemy skarb.

Gdy przeszli po moście przez fosę i zaczęli stąpać po trawie, poczuli, jak zamaznięta rosa trzeszczy pod ich nogami. Nim przystąpili do fotografowania zamku, zajęli się odszukaniem miejsca, skąd wypływała woda napęniająca fosę.

Zauważyli, że fosę zasilał strumień płynący skądś od Wzgórza Arden. Wpadał do niej u jej północno — wschodniego krańca, a płynął od strony południowo — zachodniej. Ruszyli z biegiem strumienia i dopiero gdy doszli do środka pola, dość daleko od zamku, zobaczyli, jak wspaniały był zamek. Był naprawdę doskonale piękny — nie miał ani pogiętych sklepień, ani połamanych kolumn, ani pogruchotanych, poobijanych ścian.

— Och! — powiedział Edred. — Jaki on jest cudowny! Jestem szczęśliwy, że dostaliśmy taki zamek.

— Nasz zamek tak nie wygląda — rzekła Elfryda.

— Nie, ale będzie wyglądał, kiedy znajdziemy skarb. Czy masz te dwie rolki filmu?

— Tak — odparła Elfryda, która trzymała rolki w wielkiej, nieporęcznej kieszeni, wiszącej i uderzającej ją po nogach pod szeroką spódnicą. — Och, popatrz! Gdzie jest strumień? On się tam urywa.

I naprawdę tak się mogło zdawać. Szli wzdłuż strumienia, który płynął bystro — a wyglądał jak stalowoszara wstęga na tle zielonej szaty pola — w połowie zaś pola urywał się

i już go nie było, zupełnie jak gdyby wstęga została odcięta przez olbrzymie nożyce i odcięty kawałek zwinięto i bezpiecznie gdzieś schowano.

— Nie do wiary! — zawołał Edred. — Urywa się z całą pewnością!

Nie mógł opanować ciekawości i zaczął biec. Pobiegli oboje. Biegli do miejsca, gdzie mogło się wydawać, że olbrzymie nożyce odcięły strumień, a kiedy tam dotarli, wyglądało to tak, jak gdyby strumień zmęczył się swym biegiem po ziemi i bez żadnego uprzedzenia, nie drążąc już dalej łożyska, zanurzył się prosto w ziemię przez otwór nie mający nawet ośmiu stóp średnicy.

Stali zafascynowani, patrząc na wodę, która spływała poprzez krawędź otworu jak stalowa taśma koła napędowego, gładka i błyszcząca, poruszająca się tak szybko, iż wydawało się, że nie porusza się wcale. W końcu Edred otrząsnął się i powiedział:

— Mógłbym tak patrzeć na tę wodę bez końca. Ale odzyskamy ją, odzyskamy. Chodź, zobaczmy, skąd ona wypływa.

— Sfotografujmy najpierw to miejsce — powiedziała Elfryda — żebyśmy wiedzieli.

I mały aparat fotograficzny trzasnął dwa razy.

Ruszyli więc z powrotem, idąc wzdłuż strumienia, potem wzdłuż dwóch boków fosy, aż wreszcie polem doszli do Wzgórza Arden, a tam — jakie to było cudowne! — okazało się, że strumień wypływał wprost ze Wzgórza: spod niskiego kamiennego sklepienia, które ciasno obejmowało jego brzegi.

— A więc wiemy już, skąd strumień wypływa i dokąd płynie — powiedziała Elfryda. — Zastanawiam się, co się z nim stało i dlaczego nie ma go teraz w Arden?

— Sprowadzimy go z powrotem — powiedział stanowczo Edred — jak odnajdziemy skarb.

I znowu rozległ się trzask aparatu fotograficznego.

— Przywrócimy zamkowi jego obecną postać — powiedziała Elfryda. — Chodź, zrobimy zdjęcia zamku.

Zawrócili więc i sfotografowali zamek od północy i od południa, od wschodu i zachodu, od północo-wschodu i południo-wschodu, od północo-zachodu i pod wszystkimi pozostałymi kątami kompasu, o czym z łatwością mogłabym wam, drodzy czytelnicy, opowiedzieć, gdybym chciała, ale dlaczegoż mam być nudna i pouczająca?

Przeszli przez most zwodzony, na którym tak ładnie rozlegało się echo, i obok żołnierza, który już zdążył wypolerować wspaniale swój hełm i miał go na głowie.

Na moście odbyli krótką, ożywioną naradę na temat śniadania. Edred chciał pozostać, bo był ciekaw, co jedli na śniadanie ludzie z czasów Jakuba I. Elfryda chciała powrócić do 1908 roku, żeby na pewno dostać jajka na boczku.

— Jeżeli pozostaniemy tu, wciągną nas w jakąś nową przygodę — nalegała. — Wiem, że tak będzie. Przez całe moje życie nie znalazłam lepszego miejsca do przygód niż historia. A oprócz tego jestem już zmęczona. Edredzie, proszę cię, chodźmy już.

— Mam wrażenie, że to kaczki — powiedział Edred i wciągnął pytająco powietrze. — Pachnie cebulowym nadzieniem.

— Bzdury — rzekła Elfryda — kaczki z pewnością przeznaczone są na obiad. A nasze śniadanie niewątpliwie będzie się składało z chleba i wody. Zobaczysz, że zrobimy coś niewłaściwego, jestem tego pewna. Ach, chodź, zanim nas za to ukarzą. Aha, czy nie chciałbyś sprawdzić, czy to, co kuzyn Ryszard powiedział o krykiecie, jest prawdą?

— Dobrze — powiedział Edred. — Przecież możemy zawsze tu wrócić, nieprawda?

— Pewnie, że możemy — powiedziała wesoło Elfryda. — Ach, chodź już wreszcie!

Weszli więc na górę po kręconych schodkach i znaleźli drzwi pokoju, gdzie spali pod cudownymi białymi kołderkami, które teraz były płaszczykami. Stanęli tam cicho i patrzyli wzajemnie na siebie, zaskoczeni.

„W jaki sposób mamy wrócić?” — To nie wypowiedziane pytanie drżało na ustach obojga.

Czarodziejskie białe płaszczyki otuliły wokół ich szyje. Było coś pocieszającego i wzbudzającego zaufanie w miłym dotknięciu czarodziejskiego futerka. Gdy nosicie ten rodzaj płaszczyka, drodzy czytelnicy, absolutnie nie możecie nie odczuwać, że wszystko pójdzie doskonale, jeżeli poważnie i stanowczo będziecie sobie tego życzyli.

— Nasze ubrania — powiedziała Elfyda.

— Ach, masz rację — odrzekł Edred — zupełnie zapomniałem.

— Możesz dalej nie pamiętać — powiedziała jego siostra — bo ich tu nie ma. Są po tamtej stronie tego skrzyżowanego, odwróconego wewnętrzną stroną na zewnątrz, dołem do góry wstrząsu, który zamienił strych na basztę. Przypuszczam, że baszta zamieni się z powrotem na strych, jeżeli tylko potrafimy wywołać ten wstrząs w odwrotnym kierunku.

— Przypuszczam, że tak się stanie — powiedział Edred i zamilkł nagle, wsunawszy palce między guziki swego kubraczka. — Halo! Co to takiego? — Wyciągnął złożony kawałek papieru.

— To jest to, co dał ci kuzyn Ryszard i co dotyczy krykieta. Nie martw się tym teraz. Ja chcę wrócić. Myślę, że powinniśmy ułożyć jakiś wierszyk.

Lecz Edred rozwinął kartkę.

— Ta kartka może zniknąć — powiedział — albo zostać tu i kiedy wrócimy do domu, i będziemy chcieli na nią spojrzeć, okaże się, że jej nie ma. Dowiedzmy się lepiej zaraz, co on napisał o drużynie Kentu.

Wyprostował kartkę, spojrzął na nią, spojrzął jeszcze raz i nagle wyciągnął rękę na całą długość, trzymając kartkę w palcach.

— Popatrz tylko — powiedział — jeżeli to prawda, to znaczy, że Ryszard śnił o naszych czasach. Nie może tu być żadnego nieporozumienia. I w dodatku przyniósł tu coś z naszych czasów.

Elfyda wzięła kartkę do ręki, spojrzała na nią i aż otworzyła usta ze zdumienia.

— Czy to prawda? — powiedziała. — Ależ to musi być prawda.

Kartka o mało nie wypadła jej z ręki, gdyż był to rachunek ze sklepu Gamage za trzy działa okrętowe, kompas i pół tuzina bander, a wystawiono go na nazwisko pana R. D. Ardena, 117 Laurie Grove, New Cross, Londyn, S.E. Po drugiej stronie były zapisane ołówkiem wyniki drużyny Kentu z ubiegłego czwartku.

— Posłuchaj! — zawołała Elfyda i chciała powiedzieć coś mądrego i interesującego, kiedy poczuła, że jej futerko zwija się wzdłuż i wszerz. To zwijanie się wyraźnie mówiło: „Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo!... Uciekajcie, póki jeszcze możecie... póki jeszcze możecie!” Futrzany kołnierz jej płaszczyka nastroszył się gwałtownie, jak gdyby chciał powiedzieć zupełnie wyraźnie: „Przestań już paplać. Uciekaj już — już — natychmiast!”

Kiedy mówimy, że kobieta jest „prawdziwą córą Ewy”, to mamy na myśli, że jest ciekawa. Elfyda była w dostatecznym stopniu córą Ewy, aby popędzić do okna i wyrzeć.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jej pleców, wywołując uczucie czczości w końcach palców rąk i nóg.

— Żołnierze! — zawołała. — I oni nas ścigają — ja wiem, że nas.

Futerko wiedziało również, o ile można wyrazić jakąś wiedzę przez zwijanie się.

— Och, oni podnoszą zwodzony most. Po co? — powiedział Edred, który również podszedł do okna. — I, popatrz, czy spuszczana krata w bramie nie wygląda jak gilotyna, kiedy tak opada w dół?

Z okna mieli widok wprost na zwodzony most, a ponieważ baszta przewyższała bramę, z jej bocznego okna widać było wyraźnie opuszczającą się powoli kratę.

— Moje puszyste futerko — rzekła Elfyda — mówi: „Uciekajcie!” A czy twoje nie mówi tego samego?

— Może by i mówiło, gdybym go słuchał — odpowiedział beztróska Edred.

Żołnierze byli już zupełnie blisko, tak blisko, że Elfryda mogła zobaczyć, jak okrutnie wyglądali. Wiedziała również, że byli to ci sami żołnierze, którzy tak głośno i tak mocno walili w drzwi pałacu Ardenów w Soho. Musieli jechać konno całą noc. Natężyła więc swój umysł, aby ułożyć wierszyk, zupełnie w taki sam sposób jak wy, drodzy czytelnicy, napinacie mięśnie, by przeskoczyć przez poprzeczkę lub przebiec sto jardów. I zanim zdała sobie sprawę z tego, że natężyła umysł, napięcie podziałało tak, że ułożyła wierszyk dla Białego Kreta i powiedziała go głośno:

*O, Biały Krecie, skoro kuzyn Dick
W firmie Gamage kupuje swe flagi,
Zabierz nas stąd, ach, zabierz nas w mig
I dodaj nam, dodaj odwagi!*

W tej samej chwili gdy to wypowiedziała, białe czarodziejskie płaszczyki rozrosły się w górę i w dół i owinięły dzieci tak ściśle i miękko, jak owija się w kokon gąsienica jedwabnika — gdy zmęczy się już tym, że jest gąsienicą — co stanowi dla niej pierwszy krok do stania się osobą ze skrzydłami.

Czy możecie sobie wyobrazić, drodzy czytelnicy, jak by to było, gdyby z ciepłego ceberka wylał się na was przyjemny płynny sen? Tak się poczuły dzieci wewnątrz swych białych cudownych kokonów. Wiedziały przy tym, że baszta przekrzywiła się w odwrotną stronę i wewnętrzną stroną na wierzch, ale nie odczuły tego zupełnie. Sen spadł na nie jak czarodziejski krótki deszcz — nie, otaczał ich coraz bliżej i bliżej, coraz ciaśniej i ciaśniej. Były to miękkie, rozkoszne warstwy ciepłej radości. Łagodny, cichy dźwięk brzmiał w ich uszach, podobny do brzęczenia pszczoł, gdy mija się rabatę leśnych dzwonek. Następną rzeczą, jaka się im zdarzyła, było ich wyjście z przeszłości i wejście do terażniejszości, połączone z błyskiem światła i nagłym dźwiękiem. Przypominało to wychynięcie na światło dzienne z tunelu kolejowego.

Czarodziejskie kołderki–płaszczyki–kokony oszczędziły im nawet kłopotu ze zmianą ubrań, bo okazało się, że sztywne, ciężkie stroje znikły i dzieci miały na sobie swoje zwyczajne, codzienne rzeczy, do których były przyzwyczajone.

— A teraz — powiedziała Elfryda — spójrzmy jeszcze raz na ten paperek z firmy Gamage, o ile nie zniknął. Spodziewam się, że go nie ma.

Ale papier był.

— Chciałbym znów zobaczyć Dicka — powiedział Edred, kiedy schodzili na dół po schodach. — To był najmilszy chłopiec, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

— Może go zobaczymy — rzekła Elfryda głosem pełnym nadziei. — Przecież wiesz, że Dick bywa w naszych czasach. Myślę, że pozostanie na New Cross dość długo, tak jak my w czasach Spisku Prochowego. Albo też my tam powrócimy, trochę później, kiedy Spisek Prochowy się skończy i kiedy wszyscy o nim zapomną.

— Jeszcze dotąd o nim nie zapomniano — powiedział Edred — chociaż był trzysta lat temu. A teraz wywołajmy nasze zdjęcia. Wcale nie jestem ich pewien. Widzisz, zabraliśmy tam z sobą filmy i oczywiście przynieśliśmy je z powrotem, lecz obrazów, które są na filmach, nie zabraliśmy tam. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby filmy były zupełnie czyste.

— To bardzo, bardzo sprytne z twojej strony, że pomyślałeś o tym — powiedziała Elfryda z uznaniem — ale mam nadzieję, że to tylko twój niemądry pomysł. Zapytajmy pani Honeysett, czy możemy skorzystać ze spiżarni, której używano do wywoływania filmów. To będzie wspinała ciemnia, jak zamkniemy okiennice.

— Oczywiście, że możecie skorzystać ze spiżarni — powiedziała pani Honeysett. — Tak, i przyniosę wam dwa wiadra wody. Podłoga jest tam kamienna i nic jej nie zaszkodzi, jeżeli nawet rozlejecie trochę wody. Weź się do pompowania, paniczu, a ja potrzynam wiadro.

— Dlaczego ta część domu jest taka brudna i pełna pajęczyn? — zapytała Elfryda, kiedy ucichł zgrzytliwy odgłos pompy.

— Zawsze tak było — powiedziała pani Honeysett. — Nie mogę sama zabrać się do sprzątanía bez rozkazu panny Edyty. To nie dlatego, że będą mnie palce piekły od miotły i twardej szczotki do szorowania.

— A dlaczego? — nalegała Elfryda.

— O, to jedna z tych dawnych, starożytnych opowieści — powiedziała pani Honeysett. — Tylko stary Beale mógłby wam ją opowiedzieć, tylko on jeden.

— Więc pójdziemy do starego Beale'a — rzekł stanowczo Edred — jak tylko wywołamy zdjęcia zamku. O ile coś na nich jest — dodał.

— Nigdy nie można nic przewidzieć, jak się ma do czynienia z tymi fotomaszynami — powiedziała pani Honeysett ze współczuciem. — Zrobiono kiedyś zdjęcie żony kuzyna mego męża razem z całą jej rodziną, przy jej własnych drzwiach, a kiedy wywołano zdjęcie, okazało się, że była na nim beczka na wodę sąsiadów. A wzięło się to stąd, że kiedy młody człowiek robił zdjęcie, ich koziół trącił go w łokieć. I ta beczka zupełnie nie była podobna do żadnego z nich.

ROZDZIAŁ XI

WYWOŁYWANIE ZDJĘĆ

— Chodź — powiedział Edred — przygotuj cztery miseczki i odmierz wywoływacz, a ja przyniosę wodę.

Przyniósł wodę z pomocą pani Honeysett — dwa napełnione po brzegi wiadra.

— Niech pani po nic nie wchodzi do spiżarni, bardzo panią o to proszę — powiedział z naciskiem. — Bo widzi pani, jeżeli uchyli się drzwi chociaż troszeczkę, wszystkie zdjęcia będą na nic.

— Kochanie! — zawołała pani Honeysett, przyciskając swoje tłuste ręce do swego tłustego brzucha. — Nie wejdę na pewno, nie mam po co tu wchodzić.

— Mimo to zamkniemy drzwi na zasuwkę — powiedział Edred, gdy pani Honeysett odeszła. — Na wypadek, gdyby coś przyszło jej do głowy.

Po czym zasunął wielką drewnianą zasuwę.

— Teraz będzie zupełnie ciemno — powiedział.

I oczywiście wcale nie było ciemno. Wiecie, drodzy czytelnicy, w jaki nieznośny sposób pokoje udają, że będzie w nich ciemno, póki wam na tym nie zależy, a potem — ani im się śni! Zaczniemy od tego, że ów pokój w ogóle nie udawał, że jest ciemny. Jego okiennica miała dwa otwory wycięte w kształcie serca, przez które wpadało oślepiające światło. Edred musiał wdrapać się na parapet okna i zatkać szczelnie dziury zmiętymi gazetami, ale żeby przynieść gazety, musiał odsunąć zasuwę u drzwi.

— No — powiedział, kiedy napchał zgniecionych gazet do otworów w kształcie serca — teraz będzie już zupełnie ciemno.

Tymczasem nadal nie było. Długie promienie światła, w których tańczył pył, przedostawały się przez szpary przy zawiasach okiennicy. Tych szpar nie można było zapchać gazetami. Edred znowu musiał odsunąć zasuwę i poszukać pani Honeysett. Siedziała na małym niskim krzeselku przy drzwiach wychodzących na podwórze i skubała białego kurczaka. Widok puchatych białych piórek, fruujących dokoła, wywołał w Edredzie cudowne wspomnienia. Ale powiedział tylko:

— Czy ma pani jakieś stare zasłony? Grube — albo cienkie, jeżeli są czerwone.

Pani Honeysett położyła kurczaka na jego białych piórkach i podeszła do stojącej w kuchni komody.

— Proszę — powiedziała, wręczając mu dwie stare czerwone aksamitne zasłony, z którymi Edred od razu znikł. Ale jeszcze prędzej wrócił.

— A nie ma pani młotka? — spytał.

Szuflada kuchennego kredensu zawierała młotek — Edred wziął go, ale natychmiast wrócił, mówiąc:

— Przypuszczam, że są tu i jakieś gwoździe?

— A ja przypuszczam — powiedziała pani Honeysett śmiejąc się — że nie ma wiele sensu zamykać drzwi spiżarni od wewnątrz, kiedy to nie ja wpadam do was, ale wy ciągle stamtąd wypadacie.

W każdym razie dała mu gwoździe — zardzewiałe, w zawilgoconym zwiłku papieru. Kiedy już więcej nauderzał się młotkiem w palec niż w gwoździe, gwoździe zgodziły się trzymać zasłony albo też zasłony przystały na to, aby gwoździe je trzymały.

— A teraz — powiedział Edred, zamykając drzwi — jest już naprawdę...

„Ciemno” — miał na myśli. Ale oczywiście nie było ciemno. Pod drzwiami była szpara tak szeroka, że — jak powiedziała Elfryda — można się było prawie przez nią przecisnąć. A

to oznaczało, że trzeba było znowu poprosić panią Honeysett o jeszcze jedną zasłonę, ale tym razem pani Honeysett powiedziała, żeby jej nie zawracał głowy, i rzuciła na niego garść puszystych, miękkich, białych piórek. Mimo to roześmiała się i dała mu ścierki od kurzu.

Wreszcie zrobiło się naprawdę ciemno, lecz musieli znowu odsunąć zasuwę u drzwi, ponieważ Elfryda zapomniała, gdzie położyła zapalki.

Łatwo więc możecie zrozumieć, drodzy czytelnicy, że po tych wszystkich przygotowaniach niecierpliwość dzieci dosięgła szczytu i wydawało im się, że wszystko niemiłosiernie się wlecze. Zapaliły lampę z czerwonym abażurem i napełniły cztery miseczki wodą, która wydawała się różowa w tym dziwnym świetle.

— Jedna przynajmniej z tego korzyść — powiedział Edred — że wywoływacz zdążył się rozpuścić.

Przecięli starannie opaski rolek i długie wstążki czarnego papieru owinęły się dokoła nóg operatorów.

— Szkoda, że nie urodziliśmy się fotografami, jak ten człowiek, który sfotografował ciotkę Edytę i ciebie na plaży z osiołkiem — powiedział nerwowo Edred i zaczął przesuwac film tam i z powrotem przez wodę w miseczce numer jeden.

— Sprawdź, czy nie ma pęcherzyków powietrza! — zawołała Elfryda. — Mógłbyś mi dać do wywołania jedną rolkę.

— Wywołasz następną — odpowiedział Edred, prawie wstrzymując oddech.

Drodzy czytelnicy, czy przypominacie sobie tę denerwującą chwilę, gdy po wywołaniu filmu trzymaliście go pod światło — i nic się nie pokazało? Czy przypominacie sobie bolesne zastanawianie się nad tym, czy nie zapomnieliście nastawić migawki? Albo czy czasem nie wzięliście przez pomyłkę do wywołania nie używanego filmu? Oddychacie, drodzy czytelnicy, z trudnością, wasze palce poruszają się niezdarnie, a film jest jakoś nienaturalnie śliski. Pogrążacie go w kąpeli wywoływacza po raz drugi i przesuwacie pozornie spokojni, lecz zrozpaczeni.

„Już nie wierzę, żeby w ogóle mogło coś wyjść” — mówicie.

A potem nadchodzi wspaniała chwila, kiedy trzymacie film znowu pod światło i mrużycie z zachwytem: „Ach, zaczyna się coś pokazywać”.

Jeżeli, drodzy czytelnicy, przypomnicie sobie wszystkie wzruszenia tych podniecających chwil — w przypadku, powiedzmy, kiedy przez dłuższy czas nie robiliście zdjęć — jeżeli pomnożycie to przez siedem milionów i dodacie iks — nieznaną ilość wzruszeń, zupełnie różnych od tego, co kiedykolwiek odczuwaliście — to będziecie mieli pewne pojęcie o tym, co czuli Edred i Elfryda, kiedy pierwsze niewyraźne, szare, bezkształtne plamy zaczęły ukazywać się na filmie.

Możecie jednak mnożyć aż do wyczerpania tabliczkę mnożenia i dodawać tyle iksów, na ile was stać, a nigdy — nie wyobrazicie sobie zachwyty, z jakim dzieci oglądały wspaniale wywołanych sześć doskonałych małych zdjęć. Bo były one doskonałe. Były to doskonałe zdjęcia zamku Arden z tych czasów, kiedy zamek był doskonały. Nie było tam ani połamanych łuków, ani walących się, ścian, każdy fragment był wyraźny i kształtny, tak jak to dzieci widziały, kiedy znalazły się w przeszłości odległej o trzysta lat.

Udał się również i drugi film, I na nim było sześć doskonałych zdjęć zamku Arden sprzed trzystu lat. I nawet ostatni film został tak samo dobrze wywołany. Tylko na chwilę przed wyjęciem go z kąpeli wywoływacza i przystąpieniem do przemywania małe białe piórko sfrunęło z włosów Edreda i wpadło do miseczki. Było ono tak delikatne, że w tym przyćmionym świetle Edred nawet go nie zauważył. Nie przylepiło się do filmu ani nie stało się nic z tego, czego moglibyście się obawiać, drodzy czytelnicy, widząc, że coś małego, białego i powiewnego spada w dół. Nie wiem, może to piórko zawsze się tak zachowuje. Opowiadam wam tylko to, co się zdarzyło.

Wiecie oczywiście, drodzy czytelnicy, że filmy trzeba rozpiąć do wysuszenia.

Pierwszy film rozpięli więc na prawej części drzwi, a drugi na lewej. A gdy chcieli rozpiąć trzeci, ten, przy którym upadło małe białe piórko, nie było już nic drewnianego, do czego mogliby go przypiąć — bo ściany były z kamienia — prócz okiennicy. Przypięli go więc do okiennicy.

— To nie ma znaczenia — powiedział Edred — bo nie otworzymy okiennicy, póki film nie wyschnie.

Z tymi słowy wbił cztery szpilki w cztery rogi filmu i odwrócił się, by zgasić lampę i odsunąć zasuwkę u drzwi. Ale drzwi w ogóle nie były zamknięte na zasuwkę, ponieważ Edred zapomniał o tym, kiedy wrócił ze ścierkami od kurzu, tak że w żaden sposób nie mógł odsunąć zasuwki.

Mógł jednak zdmuchnąć lampę z czerwonym abażurem i uczynił to.

A wówczas stało się coś nadzwyczajnego. Pokój miał być zupełnie ciemny. Było przecież dostatecznie dużo kłopotów z zaciemnieniem go. Ale nie był ciemny. Okno — to okno, na którym była okiennica — ta okiennica z przypiętym filmem — z tym filmem, na który spadło piórko — to małe białe piórko, co osiadło na włosach Edreda, kiedy pani Honeysett skubała kurczaka przy drzwiach wychodzących na podwórze — to okno wyglądało teraz jak szeroki prostokąt światła. A w tym szerokim prostokącie coś błyskało, jakiś delikatny, iskrzący się ruch, jak ruch światła na ekranie kinematografu, zanim zaczną się pokazywać obrazy.

— Och — powiedziała Elfryda chwytając Edreda za rękę. Ale to, co schwytała, to były włosy Edreda. Przesunęła więc dłoń wzdłuż jego ramienia, wzięła go za rękę i trzymała mocno.

— To dalsze czary — powiedział Edred z niewdzięcznością. — Chciałbym...

— Cicho! — zawołała Elfryda. — Patrz... ach, patrz! Światło — szerokie i długie — zmieniło się nagle z czystego światła w postacie, w ruch. Był to żywy obraz — trochę podobny do kinematografu, ale bardziej podobny do czegoś innego. Do czegoś innego, co było bardziej podobne do życia.

Zdawało się, jak gdyby okno było otwarte, jak gdyby dzieci mogły patrzeć przez nie w świat światła, promieni słonecznych i błękitnego nieba — w ten świat, gdzie coś się dzieje.

Był tam zamek i ludzie przechodzący przez most zwodzony — ludzie z workami na plecach. I człowiek ze srebrnym łańcuchem na szyi i wysoką laską w rękę, który stał pod wielką bramą w baszcie i mówił im, skąd mają brać worki. I nadjechał wóz z beczkami, które wtocono przez most zwodzony pod wysoki łuk bramy. Ludzie ci mieli na sobie dawne stroje.

Wtem coś mignęło i scena zmieniła się. Teraz było to wnętrze — długi pokój z wieloma obrazami z jednej strony i wieloma oknami z drugiej. Pani w szerokim białym kołnierzu, z pięknymi, długimi, puklami włosów, bardzo podobna do cioci Edyty, wkładała piękne suknie do skrzyni. Pan, również z długimi włosami i z dużą ilością koronek przy kołnierzu i mankietach, wkładał złote i srebrne dzbanki i talerze do innej skrzyni, a służący przynosili mu coraz więcej złotych przedmiotów.

Edred i Elfryda nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Nie mogli. To, na co patrzyli, było zbyt fascynujące. Ale w sercach ich obojga zabrzmiały te same słowa:

„Oto jest skarb!”

I w umyśle każdego z nich powstała ta sama myśl:

„Oby tylko trwało to aż do schowania skarbu, a wtedy zobaczymy, gdzie go ukryją, i potem będziemy mogli tam pójść i znaleźć go”.

Myślę osobiście, że Biały Kret chciał im trochę dopomóc. Jestem pewna, że to on urządził ten cały pokaz, tak aby dzieci mogły się zorientować, gdzie znajduje się skarb, i przestały go wzywać o każdej porze dnia i nocy swoimi wierszykami, których nawet kret nie mógł uznać za bardzo dobre. W każdym razie był to cudowny pokaz. Bo chyba lepiej widzi się wszystko w ten sposób, patrząc przez okno wychodzące na przeszłość, niż kiedy naprawdę jest się w przeszłości biorąc czynny udział we wszystkim, co się dzieje.

W każdym razie wyglądało na to, że to był naprawdę ten skarb, wielki i wspaniały. Szybko, coraz szybciej pakowano do skrzyń przepiękne, cenne przedmioty. Pani była coraz bledsza, a pan coraz bardziej niespokojny.

Pani brała od swej pokojówki małe pudełka i zawiniątka, którymi napelniony był fartuch, a kiedy skrzynia, przed którą klęczała, była już prawie pełna, drzwi na końcu galerii otwały się nagle i Elfryda i Edred, w ciemności spiżarni, ujrzeli samych siebie idących wzdłuż galerii obrazów ku grupie przy skrzyniach i skarbie. W tym samym kierunku dążyli inni ludzie. Ujrzeli siebie ubranych w niebieski jedwab i koronki, i w czarny aksamit i ujrzeli na swych twarzach strach i miłość, i obawę przed tym, co miało się wkrótce stać. Ujrzeli, jak dorośli całowali ich — byli to na pewno ojciec i matka — jak oni mówili, a dorośli im odpowiadali.

„Oddałbym całe moje roczne kieszonkowe, gdybym mógł usłyszeć, co oni mówią” — powiedział w myśli Edred.

„Ten tatuś jest podobny do naszego tatusia — powiedziała w myśli Elfryda — i podobny do tego tatusia w Tower, który też był tak bardzo podobny do naszego własnego tatusia”.

Teraz dzieci na obrazie uklękły, a tatuś na obrazie położył im ręce na głowach, a dzieci nie z obrazu pochyliły swe głowy w ciemnej spiżarni, bo wiedziały, co działo się na obrazie. Elfryda wyciągnęła nawet na wpół ręce, ale to nie było potrzebne.

I znowu scena się zmieniła. Czterech ludzi niosło skrzynię, uginając się pod jej ciężarem. Nieśli ją przez sklepione przejście, owiazaną linami, które założyli sobie na ramiona. Co pewien czas stawiali ją na ziemi, prostowali się i wycierali twarze z potu.

Obraz zmieniał się dalej — zdawało się, że dzieci szły razem z tymi ludźmi na dół po schodach do obszernej komnaty pełnej rozmawiających ludzi w zbrojach i wielkich butach, a potem przez dziedziniec również pełen ludzi, zajętych polerowaniem siekier i przedmiotów, które wyglądały jak włócznie, czyszczeniem muszkietów, zakładaniem nowych krzemieni do pistoletów i ostrzeniem mieczy na wielkich osekłach. Edred pragnąłby być tam i przyglądać się, jak to robią, ale i oni wraz ze swoją pracą przesunęli się bardzo prędko, a skrzynia razem z ludźmi, którzy ją nieśli, znalazła się w łukowatym korytarzu. Jeden z mężczyzn chciał tu znowu odpocząć, ale inni powiedzieli, że nie warto — przyszli już prawie na miejsce. Można było łatwo domyślić się, co powiedzieli, chociaż nie było słyhać ich słów.

„Teraz będziemy naprawdę wiedzieli” — powiedział sobie w myśli Edred, a Elfryda ścisnęła go za rękę. Pomyślała dokładnie to samo.

Ludzie zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, zapukali, zapukali jeszcze raz i jeszcze raz. I, rzecz niezwykła, dzieci w spiżarni usłyszały odgłos pukania zupełnie wyraźnie, chociaż nie słyszały nic innego.

Ludzie spojrzeli na siebie ponad skrzynią, którą postawili na ziemi, i jeden z nich oparł się ramieniem o drzwi. Nagle rozległo się skrzypnięcie i obraz znikł — była znów tylko okiennica z przypiętym na niej filmem, a za plecami dzieci otwarto drzwi i pani Honeysett, która mówiła, że obiad — składający się z pieczonego królika i gotowanej wieprzowiny — wystygnie, jeżeli się nie pospieszą i nie przyjdą.

— Och, pani Honeysett — powiedziała Elfryda z głębokim żalem — co pani zrobiła, co pani zrobiła!...

— Mam nadzieję, że nie zepsułam waszych fotografii? — odpowiedziała pani Honeysett. — Ale przecież zastukałam trzy razy, a wyście zachowywali się tak cicho, że zlekłam się, że coś się wam stało, że struliście się niechcący lub coś w tym rodzaju.

— Jaka szkoda! — zawołał z goryczą Edred. — Jaka straszna szkoda! Nie chcę żadnego obiadu! Wszystko przepadło!

— Może — powiedziała cierpliwie pani Honeysett — powinnam była dłużej stukać, ale myślałam, że drzwi zamknięte są na zasuwkę... tak bardzo zależało wam z początku na zasunięciu zasuwki, prawda? Wzięłam więc za klamkę, żeby spróbować, i drzwi same się

otworzyły. Chodźcie, moje kochane, nie miejcie do mnie żalu. Nie chciałam tego zrobić. I dam wam więcej tego, co się zepsuło, i jutro będziecie mogli robić dalsze fotografie.

— Mogła pani wiedzieć, że nic się nam nie stało — odrzekł wciąż jeszcze zagniewany Edred.

— To nie fotografie się zepsuły — powiedzieli równocześnie.

— A więc co? — spytała pani Honeysett. — Ale chodźcie już, na miłość boską, i zjedzcie obiad, póki jest gorący.

— To był... to był inny rodzaj obrazu — powiedziała Elfryda tłumiąc łzy — i tego szkoda!

— Nie przejmuj się, kochanie — odrzekła na to pani Honeysett, która była tak miła, jak bywają babcie, a nawet bardziej. — Na dobre małe dziewczynki i na dobrych chłopców czeka niespodzianka, a pieczeń z królika wystygnie, jeżeli się nie pospieszycie — w każdym razie wystygłaby, gdyby nie przyszło mi na myśl, żeby ją wsunąć do piecyka, kiedy po was poszłam. Wiedziałam doskonale, do czego będą podobne wasze ręce po tym babraniu się w tej truciznie w miseczkach. Gdybym była waszą ciotką, zabroniłabym wam tego kategorycznie. A teraz chodźcie i umyjcie ręce, dosyć tych głupstw. Czyście słyszeli?

Śmiem powiedzieć, drodzy czytelnicy, że na pewno zauważyliście, jaka zagniewana była pani Honeysett przy końcu swego przemówienia, a jak była miła na początku. Wmówiła sama sobie, że jest zagniewana. To bardzo łatwo. Mogę nawet powiedzieć, drodzy czytelnicy, że i wy to często robicie.

Był to milczący obiad — pierwszy milczący posiłek od czasu, kiedy dzieci przybyły do zamku Arden. Możecie sobie wyobrazić, drodzy czytelnicy, co czuł Edred, jeżeli wam powiem, że zdawało mu się, że udławi się królikiem, i że odmówił z całą powagą zjedzenia drugiej porcji ciasta z agrestem. Elfryda też nie jadła tyle co zwykle. Było to dla nich naprawdę straszliwe rozczarowanie. Prawie już zobaczyć, gdzie jest skarb, i nagle — właśnie dlatego, że nie zamknęli ostatnim razem drzwi na zasuwkę — wszystko zostało stracone. Pani Honeysett myślała, że dąsają się o jakieś głupstwo, i o mało co nie powiedziała tego, kiedy Edred nie chciał wziąć ciasta.

Dopiero przy końcu obiadu Elfryda, wstając z krzesła, spojrzała w twarz pani Honeysett i zobaczyła, jak bardzo różni się od jej milej codziennej twarzy. Podeszła do niej wolno, zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała ją.

— Przepraszam, że byliśmy takimi prosiętami! — powiedziała. — To nie pani wina, że nie zna się pani na fotografiach i innych takich rzeczach.

Gdyby pani Honeysett nie była wprost niezwykle dobra, to takie przeprosiny byłyby gorsze niż żadne. Ale ona była niezwykle dobra, toteż roześmiała się i wzięta Elfrydę w objęcia. Edred również znalazł się jakoś w jej ramionach i śmiał się razem z nimi, tak że wszyscy troje stali się znów przyjaciółmi. Niebo było niebieskie i słońce znowu zaczęło świecić.

Potem dzieci poszły do starego Beale'a.

W jego ogrodzie kwitły teraz róże, białe angielskie kosańce, łubin i wysokie naparstnice, rosnące wzdłuż małej, wysypanej tłuczoną cegłą ścieżki. Stary Beale siedział w „brązowym windsorskim krześle”, jak zauważył Edred, na słońcu, przy drzwiach frontowych. Nad jego głową wisiała wiklinowa klatka z kawką. Elfrydzie początkowo nie podobało się to, ale później spostrzegła, że drzwi klatki były otwarte i że kawka siedziała w klatce, bo jej się tak podobało, a nie dlatego, że musiała. Pamiętacie, drodzy czytelnicy, że Elfryda była więziona w Tower, a ludzie, którzy siedzieli w więzieniu, nie lubią patrzeć na żywe istoty zamknięte w klatkach. Na drewnianym progu przycupnęła bura kotka i biały, krępy kot. (Dlaczego wszystkie wiejskie koty są prawie zawsze bure, białe i krępe?) Brązowy spaniel uderzał leniwie puszystym ogonem po kwiatach na skrawku cienia, jaki rzucała beczka na wodę. Był to obrazek wiejskiego spokoju, a stary Beale spał pośrodku niego. Z przyjemnością mówię

wam, drodzy czytelnicy, że lord Arden i jego — siostra byli tak grzeczni, że czekali, aż się obudzi sam, zamiast wrzasnąć „Hej!” albo zakołatać brązową żelazną klamką u drzwi, jak zrobiłyby inne dzieci.

Po prostu usiadły na suchej, porosłej trawą skarpie, naprzeciwko jego furtki, i patrzyły na niebieskie i białe motyle, na kwiaty i na zielone czubki kartofli, widoczne poprzez zielonoszare sztachety ogrodu.

I kiedy tak siedzieli, Elfrydzie przyszedł do głowy pewien pomysł — a przyszedł tak nagle i był tak świetny, że aż podskoczyła. Nie powiedziała jednak nic, a Edred odezwał się:

— Ściśnij mocno to miejsce i jeżeli jeszcze tam jest, to może uda ci się ją złapać — bo myślał, że podskoczyła dlatego, że ugryzła ją mrówka.

Kiedy już znudziło im się patrzeć na motyle, na czerwone róże i na zielone rośliny, patrzyły długo i uporczywie na starego Beale’a, który, oczywiście, obudził się, bo tak się zawsze z ludźmi dzieje, jeżeli patrzy się na nich dostatecznie długo i dostatecznie mocno. Beale wstał, chwając się trochę, położył rękę na czole i powiedział:

— Mój lordzie...

— Dzień dobry panu! — zawołała Elfryda. — Nie znaleźliśmy jeszcze skarbu.

— Ale znajdziecie go, znajdziecie — odpowiedział stary Beale. — Wejdźcie do domu, a może wolicie pójść do altany i napić się mleka?

— Zostaniemy tu — powiedział Edred.

Przeszli przez furtkę. Edred głąskał brązowego spaniela, a Elfryda pieściła krępego kota.

— Pani Honeysett powiedziała, że zna pan rozmaite stare historie.

— Ach — powiedział stary Beale — co to za miła osoba, ta pani Honeysett. Do jej ojca należała farma Sellinge, gdzie czarodziejki ubijają masło dla panny młodej. One, te czarodziejki, nie mają zbyt wiele do roboty. Zaśmiał się, westchnął i ciągnął dalej:

— Znam moc opowiadań. I wiem, wiem zawsze, którego ludzie chcą słuchać. Wam chodzi na pewno o historię Wschodniego Domu, prawda? Czy ja, stary, straciłem już rozeznanie, czy też nie?

— Chcemy usłyszeć historię o tym — powiedział Edred, siedząc na płycie chodnikowej razem ze spanielem o puszystym ogonie — dlaczego ta część domu jest zamknięta, cała zasnuta pajęczyną, zakurzona, zardzewiała, zatechła i czy jest jakiś powód, że jej się nie sprząta i nie doprowadza do porządku? Jeżeli znajdziemy skarb, to będziemy mieli dosyć pieniędzy, żeby kupić nowe story i dywany, i rozmaite inne rzeczy.

— To smutne opowiadanie — rzekł stary Beale — opowiadanie dla starych ludzi albo dla ludzi w średnim wieku, powiedzmy, ale nie dla dzieci. Na pewno nigdy tego nie zrozumiecie, nawet gdybym wam opowiedział.

— Ale my lubimy opowiadania dla dorosłych — rzekła Elfryda z godnością, a Edred dodał:

— Potrafimy zrozumieć wszystko, co rozumieją dorośli, jeśli opowie nam się to w odpowiedni sposób. Rozumiem wszystko, co dotyczy prawa ciężkości, i dlaczego słońce nie obraca się dokoła ziemi, tylko odwrotnie. Rozumiem, bo ciocia Edyta mi wytłumaczyła, rozumiem także, co to są gwiazdy stałe i spektroskop, i mikroby, i że równik nie jest rzeczywistą linią, i całą masę innych rzeczy.

— Ach! — zawołał stary Beale z podziwem. — Pękiesz od tych mądrości książkowych, zanim skończysz dwadzieścia jeden lat, jestem tego pewien. Mam tylko nadzieję, że zaledwie połowa tego wszystkiego jest prawdą i że ta uczoność nie zwiedzie twojej ufnej niewinności. Nigdy nie wierzyłem, że słońce się nie porusza. Przecież możesz to zobaczyć własnym gołym okiem każdego dnia tygodnia.

— To pan nikogo nie zwiedzie — powiedziała miękko Elfryda. — Proszę, niech nam pan opowie tę historię.

A więc stary Beale rozpoczął opowiadanie, a rozpoczął w następujący sposób:

— Ta było bardzo dawno temu — jeszcze zanim się urodziłem, ale nie tak znów dawno, bo przypominam sobie, że mój ojciec o tym mówił. Był stangretem w zamku, kiedy się to wydarzyło, i oczywiście wiedział wszystko, co można było wiedzieć. Moja matka była w zamku gospodynią i przeszła przez to wszystko razem z całą rodziną. Była tam wtedy panna Elfryda, tak jak jest i teraz, tylko — że ona była starsza niż panienka. Szlachetni młodzieńcy przybywali z daleka i z bliska, aby starać się o jej rękę, bo była piękną panną — prawdziwą pięknnością — z włosami czarnymi jak węgiel i z oczyma jak morze, kiedy faluje przed burzą, zanim nadbiegną białe grzywy. Słyszałem, jak mówił to o niej mój ojciec, bo ja sam, nigdy jej nie widziałem. Ale ona zadzierała swoją piękną główkę i nie chciała jej zwrócić ani w tę, ani w inną stronę, aby spojrzeć na kogoś z nich. A stary lord zanadto ją kochał, aby ją zmuszać przeciwko jej woli i chęci, tym bardziej że była taka młoda. Dlatego też pozostawała niezamężna i patrzyła na morze.

— Dlaczego to robiła? — zapytał Edred.

— Żeby zobaczyć, czy nie wraca okręt jej ukochanego. Bo miała ukochanego, ale nikt o tym nie wiedział. To był jej kuzyn, Dick — i okazało się później, że przełamała z nim monetę szczęciopensową i poprzysięgła, że będzie mu zawsze wierna, a on wyjechał za morza, żeby zdobyć majątek. Tak więc patrzyła co dzień na morze, a on nie wracał. Ale każdego dnia przyjeżdżał konno inny młodzieniec — miły młody dżentelmen i zamożny. Był człowiekiem tego samego pokroju, co panicz Dick, tylko że miał wspinały majątek.

— Biedny Dick! — powiedziała Elfryda.

— Poczekaj, panienko — ciągnął dalej staruszek. — A więc jej ojciec i matka powiedzieli: „Pójdź za tego, który jest na miejscu i kocha cię”. Był to Frewin, a na imię miał Arnold. Ona powiedziała: „Nie”, oni w dalszym — ciągu mówili: „Tak”, a on mówił: „Zrób to”. Zgnębili ją zupełnie, wciąż jej powtarzając, że Dick na pewno utonął, i nie wiadomo, co tam jeszcze. I w końcu ona powiedziała: „Dobrze, wyjdę za ciebie za mąż, jeżeli chcesz poślubić dziewczynę, która oddała swe serce martwemu chłopcu daleko na morzu, tak jak to obiecała”. Dzień ślubu wyznaczono na Boże Narodzenie. Panna Elfryda spała w pokoju we Wschodnim Domu, którego okna wychodzą na Wzgórze Arden, służba spała na poddaszu, a rodzice w jeszcze innej części.

I tej nocy, kiedy wszyscy spali, ona usłyszała stukanie do swego okna. Z początku myślała, że to gałązki bluszczu, ale nie był to bluszcz. Wzięła na odwagę i podeszła do okna, a za oknem zobaczyła twarz młodzieńca, który wspinał się po bluszczu, i to był jej ukochany, o którym powiedzieli jej, że utonął.

— To wspinał — powiedział Edred.

— Jakie to musiało być straszne dla pana Frewina — rzekła Elfryda.

— To samo i ona myślała, proszę panienki, i nie mogła tego znieść. Włożyła strój do konnej jazdy, wyszła przez okno, opuściła się wraz z ukochanym na dół po bluszczu i pojechali do Londynu. A rankiem, kiedy dzwony zaczęły dzwonić na ślub i przybył jej narzeczony, nie miał już narzeczonej. Pozostawiła mu list, w którym napisała, że bardzo jej przykro, ale tak musiało być. A wtedy zamknęli Wschodni Dom.

— Więc to taka historia — powiedziała Elfryda.

— To tylko jej połowa, panienko — rzekł stary Beale. Wyjął czarną glinianą fajkę i szczyptę tytoniu, bardzo powoli i starannie nabił fajkę i zapalił ją, po czym opowiadał dalej: — Zamknęli Wschodni Dom, gdzie ona zwykle sypiała, ale zamiatano go i wycierano kurze, a starzy mieli złamane serca, bo ani słówko nie nadeszło od panny Elfrydy. I jeżeli wiem cokolwiek o uczuciach rodziców, to to, że na pewno mówili między sobą: „Powinna była nam zaufać. Powinna wiedzieć, że nigdy nie odmówilibyśmy jej niczego”.

Aż pewnej nocy ktoś zastukał do drzwi i to była panna Elfryda — wówczas pani Dickowa — ze swym niemowlęciem na ręku. Pan Dick zginął nagle w wypadku, a ona wróciła do domu, do swego ojca i swojej matki. Robili wszystko, co mogli, dla biedaczki i jej

niemowlęcia. Dostała swoje dawne pokoje i tam mieszkała, i była troszeczkę szczęśliwsza, i uwielbiała swoje dzieciątko, a i starzy uwielbiali je i ją także. Ale pewnej nocy ktoś wspiął się po bluszczu, tak jak kiedyś zrobił to pan Dick, i zabrał — nie ją — ale dzieciątko.

— To straszne — westchnęła Elfryda. — Czy je odzyskali?

— Nigdy. I nigdy absolutnie nic się nie dowiedziano, kto je zabrał, dlaczego i dokąd. Tylko po tygodniu czy dwóch pan Frewin został zabity na polowaniu i kiedy go podnosili, powiedział: „Elfryda, zawiadomcie Elfrydę”, i starał się powiedzieć, o czym mają ją zawiadomić, ale umarł. Niektórzy ludnie mówili, że to on porwał dziecko, żeby się zemścić za to, że go porzuciła, albo też udać, że je znalazł, żeby wyszła za niego za męża przez wdzięczność. Ale nikt nic nie wiedział na pewno. A matka dziecka gasła coraz bardziej, aż wyglądała jak cień, a później umarła, a potem zamknięto Wschodni Dom zupełnie i na zawsze i ten dom stał się ruiną, jak to teraz widzicie. Niech panienka nie płacze. Wiedziałem, że nie spodoba się wam ta historia, ale chcieliście, żebym ją wam opowiedział. Nie płaczcie, to wszystko stało się bardzo dawno. Ona i jej dzieciątko, i jej młody małżonek, oni wszyscy razem są szczęśliwi w niebie przez ten cały czas, jestem tego pewien.

— Podobna mi się ta historia — powiedziała Elfryda, tłumiąc łzy — ale jest smutna, nieprawda?

— Dziękuję, że ją nam pan opowiedział — rzekł Edred — ale nie wydaje mi się, żeby trzeba było martwić się sprawami, które działy się tak dawno i które przeminęły.

— Chciałabym, żebyśmy mogli wrócić do dawnych czasów i znaleźć jej dziecko — szepnęła Elfryda, a Edred westchnął i rzekł cicho:

— Musimy znaleźć skarb. Proszę się nie gniewać, że szepczemy do siebie, panie Beale. Dziękujemy panu za opowiadanie... Aha, chciałbym pana jeszcze zapytać, kto jest teraz właścicielem tych obszarów, tych wszystkich obszarów naokoło, to znaczy tych, które należały kiedyś do nas, do Ardenów.

— Właścicielem jest niejaki Jackson — odparł stary Beale — ten, który zrobił majątek na wyrobie mydła. Nazywają go Królem Łoju. Stał się za bogaty jak na dom, który miał. Kupił więc większy plac w Yorkshire, który należał do księcia Sanderstead, a grunty Ardenów mają być sprzedane na przyszły rok, tak słyszałem...

— Ach — powiedział Edred — gdybyśmy mogli znaleźć skarb i odkupić te ziemie! Nie zapomnieliśmy tego, co powiedzieliśmy za pierwszym razem: jeżeli znajdziemy skarb, to wszystkie chaty będą wygodne i wszystkie będą miały nowe strzechy.

— Dobry z ciebie chłopiec — rzekł stary Beale — spiesz się więc i znajdź skarb. A jeżeli go nie znajdziesz, nie trap się. Są sposoby, żeby pomóc ludziom i bez znalezienia skarbu. Przyjdźcie tu kiedy znowu zobaczyć starego Beale'a, a będę miał dla was białego królika.

— Jaki to poczciwy staruszek — powiedziała Elfryda, gdy szli do domu. — Myślę, że filmy będą już suche, kiedy wrócimy, ale może lepiej nie robić odbitek do jutra rana?

— Dziś jest jeszcze dość światła — odparł Edred, a Elfryda zawołała:

— Posłuchaj!

— No?

— Czy zauważyłeś, jaki rodzaj ubrania mieliśmy na tych zdjęciach, kiedy pakowano skarb do zabrania?

— Och! — mruknął Edred, przypominając sobie przykrość, jaka ich spotkała. — Gdyby tylko pani Honeysett nie otworzyła drzwi akurat wtedy, wiedzielibyśmy dokładnie, gdzie jest ukryty skarb. Zanieśli go do zachodniej baszty, prawda?

— Nie jestem tego pewna — odpowiedziała Elfryda — ale...

— Gdyby to trwało dłużej, bylibyśmy pewni, zobaczylibyśmy ich, jak wychodzili.

— Tak — zgodziła się Elfryda i znów powiedziała: — Posłuchaj!

A Edred znowu odpowiedział:

— No?

— No więc czy nie byłoby dobrze zajrzeć do skrzyń i wyszukać takie ubrania, jak t a m t e , a potem wrócić do tamtych czasów, bo w ten sposób moglibyśmy z o b a c z y ć , dokąd zanieśli skarb, i wtedy wiedzielibyśmy na pewno.

— Świetnie! — zawołał z zapalem Edred. — Chodź, chodź, ścigajmy się, kto pierwszy dobiegnie do bramy!

Ścigali się i Edred wygrał o około trzydziestu długości Białego Kreta.

Nie sprzeczała się już od dłuższego czasu — jeżeli liczyć jako czas okres przygody Spisku Prochowego — znaleźli więc z łatwością strych i jeszcze raz stanęli pośród skrzyń z zakurzonym wiekiem, w promieniach słońca jak gdyby utkanych z drobinek kurzu, otoczeni odgłosem drepzczących gołębic nóg i łagodnym ich gruchaniem.

— Chodź — zawołała radośnie Elfryda — poznam nasze stroje, kiedy je tylko zobaczę. Moja suknia była z niebieskiego jedwabiu, ze spadzistymi ramionami, a twoje ubranie — z czarnego aksamitu z kołnierzem Van Dycka. Wspólnym wysiłkiem podnieśli wieko skrzyni, której dotąd nie otwierali. Zawierała ona ubrania o wiele bogatsze niż te, jakie dotąd widzieli. Kubraki, płaszcze i staniki były aż sztywne od złotych haftów i drogich kamieni. Ale nie było w niej ani niebieskiej jedwabnej sukni ze spadzistymi ramionami, ani czarnego aksamitnego ubrania z kołnierzem Van Dycka*.

— Ach, to nic nie znaczy! — powiedział Edred, pakując z powrotem wspaniałe stroje. — Pomóż mi wygładzić je, tak żeby wieko dobrze się zamknęło, i zabierzmy się do następnej skrzyni.

Ale wieko nie dało się zamknąć. Elfryda musiała wyjąć wszystkie rzeczy, ułożyć je starannie i wtedy można już było zupełnie łatwo zamknąć skrzynię.

Przeszli z kolei do drugiej.

— Mam jakieś dziwne uczucie, że one są w tej — powiedziała wesoło Elfryda.

Mogły tam być. Ale dzieci nie dowiedziały się tego, ponieważ skrzynia była zamknięta na klucz i największe nawet wysiłki czworga małych rąk nie poruszyły wieka ani o włos.

— A niech to licha porwie! — zawołał Edred. — Spróbujmy otworzyć następną.

Ale następna skrzynia była również zamknięta, i jeszcze jedna, i jeszcze, i... Musieli uznać fakt, że w s z y s t k i e skrzynie były zamknięte.

Dzieci spojrzały na siebie z rozpaczą.

— Czuję się — powiedział chłopiec — jak zawiedziony włamywacz.

— A ja się czuję tak — odpowiedziała dziewczynka — jak gdybym zaczynała już coś rozumieć. Ach, poczekaj chwilkę, coś mi świta. Myślę — dodała bardzo powoli — myślę; że to znaczy, że jeśli mamy gdzieś iść, to będzie to tam, gdzie oni nosili te wspaniałe sztywne złote stroje. Dlatego ta skrzynia jest otwarta i dlatego te inne są zamknięte na klucz. Rozumiesz?

— Więc ubierzmy się i chodźmy — rzekł Edred.

— Nie sądzę, że chciałabym się znowu znaleźć w Tower — powiedziała Elfryda.

— Wszystko mi jedna, co to będzie — odpowiedział Edred. — W każdym razie zauważyłem, że wychodzimy zawsze ze wszystkiego cali i zdrowi, gdziekolwiek byśmy się znaleźli. A poza tym — dodał, przypomniawszy sobie wiele rozmów ze swym dobrym przyjacielem, sir Walterem Raleighem — „angielski dżentelmen nie powinien bać się niczego oprócz Boga i własnego sumienia”.

— Dobrze — powiedziała Elfryda, kładąc ręce na wieku skrzyni, która zawierała złote wspaniałości. — Pomóż mi.

Ale Edred nie mógł jej pomóc. Szarpali oboje, ale wieko było teraz tak samo szczelnie zamknięte, jak wieka pozostałych skrzyń.

— Świństwo! — powiedział Edred.

* Van Dyck — Anton van Dyck (1599–1641), malarz flamandzki, uczeń Rubensa, malarz nadworny króla angielskiego Karola I. Malował portrety, obrazy mitologiczne i religijne.

To było bardzo wulgarne słowo i dziwię się, drodzy czytelnicy, dlaczego Edred go użył.

*Ot, ktoś chce, ale nie może —
To się zdarza, w każdej porze.
A kto nie chce, ale może,
Wtedy bywa jeszcze gorzej...*

— powiedziała Elfryda i ja wiem, gdzie się tego nauczyła. Pochodziło to ze starej piosenki, którą zwykle śpiewała pani Honeysett, kiedy smarowała grafitem żelazne piecyki.

— Zdaje mi się, że już dosyć tego będzie na dzisiaj — powiedział Edred, gdy dotkliwie poobijał sobie palce, próbując jeszcze raz otworzyć skrzynie, i przekonał się, że wszystkie były szczelnie zamknięte. — Chodź, będziemy robili odbitki z fotografii.

Ale filmy nie były jeszcze dostatecznie suche. Nigdy nie są suche, kiedy się na nie czeka, dlatego też dzieci zamknęły z zewnątrz drzwi spiżarni i zawiesiły klucz wysoko nad kominem kuchennym. Pani Honeysett nie było w tym czasie w kuchni, ale zjawiała się po chwili.

— Przychodźcie, moje dziatki — zawołała wesoło — akurat na czas niespodzianki.

— Ach, zapomniałam o niespodziance. W takim razie będą dwie, prawda? — odezwała się Elfryda. — Niech nam pani powie, co to za niespodzianka. Potrzebna nam jest miła niespodzianka, żebyśmy mogli powetować sobie wszystko.

— Ach — powiedziała pani Honeysett — myślisz o tym, że otworzyłam te drzwi. A więc są dwie niespodzianki. Pierwsza, to pieczony kurczak. Na kolację — dodała z naciskiem.

— Wiem, jaka jest druga niespodzianka — powiedział Edred. — Przyjeżdża ciocia Edyta.

I tak było rzeczywiście. W tej samej chwili kiedy wyjrzeli przez okno, zobaczyli niebieską sukienkę wchodzącej na wzgórze cioci Edyty i z radością wybiegli jej naprzeciw.

Już po pieczonym kurczaku, kiedy zrobiło się prawie ciemno i nadszedł czas spoczynku, ciocia Edyta rzekła nagle:

— Dzieci, chciałabym wam coś powiedzieć. Wahałam — się długo, ale myślę, że nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

Edred. i Elfryda mieli miny winowajców.

— Chodzi, oczywiście, o prawdziwe tajemnice? — powiedział szybko Edred. — Nie miałaś na myśli naszych czarodziejskich tajemnic, prawda?

— Oczywiście, że nie — odparła z uśmiechem ciocia. — A to, co chcę wam powiedzieć, zakrawa na czary — jeżeli jest to prawda. Nie wiem jeszcze, czy to prawda, czy nie.

Ciocia Edyta objęła każde z dzieci, przełknęła ślinę i pociągnęła nosem.

— Ale to nie jest zła wiadomość? — spytała Elfryda. — Och, kochana ciociu, nie martw się i nie mów, że się okazało, że Arden nie należy do nas albo że Edred nie jest wcale lordem Ardenem, lub coś w tym rodzaju.

— Czy zmartwiłbyś się bardzo, Edredzie — powiedziała łagodnie ciocia Edyta — gdybyś nie był lordem Ardenem? Bo...

ROZDZIAŁ XII

FOTOGRAFIE I OBŁOKI

Po cudownym wieczorze bez żadnych czarów, prócz czaru niczym nie zakłóconej wesołości, nadeszła pora snu. Edred wysunął się do spiżarni, odpiął suche już filmy i schował je do szuflady Elfrydy, bo uważał słusznie, że jest to bardziej czyste miejsce dla ich przechowywania niż jego własna szuflada. Bezcenne filmy leżały więc między najlepszym koronkowym kołnierzykiem Elfrydy a saszetką na chusteczki do nosa, z wyhaftowanymi na niej trzema jaskrami, którą to saszetkę ciocia Edyta podarowała jej na Gwiazdkę. Edred przed pójściem do łóżka wrócił do salonu na ostatnią partię gry w przysłowia. Kiedy wziął do ręki swoje karty, pomyślał sobie, jakie to dziwne, że on, który był więziony w Tower i rozmawiał z sir Walterem Raleighem, siedzi tu, grając spokojnie w przysłowia z ciocią i siostrą, zupełnie tak jak każdy inny mały chłopiec.

„Ach — powiedział sobie w duchu — żyję podwójnym życiem, ot co”.

Spotkał to wyrażenie w jakiejś książce i bardzo mu się podobało.

— Edred wygląda, jakby był bardzo z siebie zadowolony — rzekła ciocia Edyta. — Jestem pewna, że ma już całe przysłowie lub prawie całe.

— A teraz ciocia będzie wyglądała, jakby była zadowolona z siebie — powiedział. — Ciocia zawsze wygrywa.

I naprawdę wygrała, ponieważ Edred myślał o tym, jak ciocia Edyta będzie zadowolona, gdy on i Elfryda przyjadą do niej, wezmą ją za rękę, zaprowadzą w miejsce, gdzie jest ukryty skarb, i powiedzą: „Oto jest skarb naszego domu. Możemy teraz odbudować zamek, załatać dziurawe dachy, ja mogę pojechać do szkoły do Eton czy do Oxfordu, ty możesz mieć brylantowy diadem, a Elfryda może mieć kucyka do konnej jazdy, i ja też”.

A ponieważ Elfryda myślała o tym samym, toteż ciocia Edyta wygrała grę w przysłowia.

— Pani Honeyssett mówiła mi, że byliście bardzo grzeczni — rzekła ciocia, składając karty.

— Nie tak znów bardzo — powiedział Edred. — Myślę, że łatwo jest być dobrym, kiedy wszystko jest takie przyjemne.

— Wie ciocia, raz czy dwa razy kłóciliśmy się — powiedziała Elfryda, nie chcąc ukrywać prawdy.

— Tak, kłóciliśmy się — przytaknął śmiało Edred. Czuli, że muszą to wyznać, i to dało im poczucie, że są teraz tak dobrzy, jak nigdy przedtem im się nie zdarzyło.

— A więc nie kłóćcie się już więcej. Niedługo wrócę na stałe i będzie nam tu świetnie. Może znajdziemy skarb. Czy słyszeliście o tym skarbie?

— No tak, słyszeliśmy o nim — Edred nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć. A Elfryda dodała:

— I szukaliśmy go nawet, ale nie znaleźliśmy. A czyś ty go kiedy szukała?

— Nie — powiedziała ciocia Edyta — ale zawsze miałam na to ochotę. Szukał go jeszcze mój dziadek, kiedy był małym chłopcem.

— Czy twój dziadek, ciociu, był lordem Ardenem? — zapytał Edred

— Nie, był wnukiem lorda Ardena, który bił się za króla Jakuba Trzeciego, nazywanego starszym pretendentem. Dziadek był wtedy prawie chłopcem, więc puścili go, ponieważ był taki młody. Potem zastawił grunty Ardenów, aby móc utrzymać młodszego pretendenta — księcia Karolka, jak go nazywano w balladach. Zdobył w ten sposób pieniądze, które mu posłał, a książę Karolek miał mu je oddać, kiedy zostanie królem. Tylko że on nigdy nie został królem — westchnęła.

— I to dlatego Król Łoju posiadał wszystkie ziemie Ardenów?

— Tak, kochanie, bo Anglicy wolą królów Łoju od królów Stuartów. Stary lord Arden zastawił wszystko. To znaczy, pożyczył pieniądze i przyrzekł, że jeżeli nie zwróci ich w określonym terminie, to odda ziemię. A że nie mógł zwrócić, zabrali mu ziemię — całą, oprócz małego kawałka we wsi i Wzgórza Arden. Taka była umowa i tego nie mogli mu zabrać.

— Kiedy znajdziemy skarb, odkupimy ziemię — powiedział Edred. — Król Łoju ma zamiar ją sprzedać. Zrobił się taki tłusty, że ziemia Ardenów już mu nie odpowiada. Mówił nam o tym stary Beale. I, droga ciociu, odbudujemy zamek i załatamy dziury w dachach — bo przecieka przez nie woda, kiedy deszcz pada — w dachach chłopskich chat.

— Czy często chodzicie do chłopskich chat? — zapytała niespokojnie ciocia Edyta, bojąc się chorób, na które zapadali dorośli.

— Odwiedziliśmy każdą wiejską chatę — powiedziała wesoło Elfryda. — Stary Beale powiedział, że powinniśmy je obejrzeć na wypadek, gdybyśmy znaleźli skarb, żebyśmy wiedzieli, co mamy robić. Chłopi są tacy mili! Na pewno nas lubią, bo jesteśmy Ardenami. A może dlatego, że Edred jest lordem?

— Musimy znaleźć skarb — powiedział Edred i był w tej chwili, jak zawsze, kiedy mówił poważnie, tak bardzo podobny do swego zaginionego ojca, że ciocia Edyta nie mogła otrząsnąć się z wrażenia — żeby móc troszczyć się odpowiednio o naszych chłopów.

— I żeby wypędzić Króla Łoju — dodała Elfryda.

— Ale nie będziecie rozczarowani, jeśli go nie znajdziecie? — spytała ciocia Edyta. — Właściwie jest to tylko rodzaj zabawy. Nigdy nie słyszałam o kimś, kto by znalazł jakiś skarb. I pomyślcie, cośmy już znaleźli. Zamek Arden zamiast „tarasu z widokiem na morze” i lokatorów. Dobranoc, moje dzieci.

Wyjechała rano, jeszcze zanim wstali. Pierwszym zajęciem dzieci tego ranka było robienie odbitek.

Robili je w kuchni, ponieważ pani Honeysett kręciła się w saloniku, ponadto zaś okno kuchenne było szerokie i słoneczne, a na starym stole, na którym od wielokrotnego szorowania wystąpiła wypukła siatka słoików, można było doskonale ustawić miseczki z płynami. Odbijali zdjęcia na matowym papierze, bo był mniej pospolity niż błyszczący i fotografie bardziej przypominały obrazy. Odbijanie zajęło im cały ranek, bo dysponowali tylko jedną ramką. A kiedy skończyli, mieli osiemnaście brązowych zdjęć zamku ze wszystkich stron świata — z północy i południa, i... — ale przecież mówiłam wam już o tym przedtem. Kiedy odbitki wyschły — a jak wiecie, najlepiej schną przyklejone do szyb — musieli znaleźć miejsce, gdzie mogliby je schować. Nie sposób przecież było wpatrywać się w nie bez przerwy, lepiej oglądać od czasu do czasu i mówić: „Tak powinien wyglądać zamek — chcemy go mieć właśnie takim”.

Elfryda i Edred zabrali odbitki do saloniku, który był teraz czystutki jak z igły i pachniał trochę za bardzo woskiem i terpentyną, rozłożyli je na lakierowanym owalnym stole i pożerali oczyma.

— Widać na nich doskonale każdy najmniejszy szczegół — powiedziała Elfryda. — Są tylko trochę dziwne. Zdaje się, że nie nastawiliśmy dobrze odległości czy coś w tym rodzaju, ale przez to bardziej wyglądają na prawdziwe obrazy. A ponieważ odbijaliśmy je na za dużym papierze, tym bardziej przypominają obrazy. I każdy, kto wie coś o budowaniu, będzie wiedział, jak je ułożyć. To tak, jak układanie klocków według wzoru zamieszczonego na wewnętrznej stronie wieczka.

W tym momencie pani Honeysett zawołała z kuchni:

— Czy skończyliście już z tymi waszymi śmieciami?

Dzieci zawołały:

— Tak! — i dalej oglądały fotografie.

Dobrze, że zawołali oboje razem, bo pani Honeysett nazwała to później bezmyślnym gadaniem. Ale już po chwili oboje wykrzyknęli:

— Filmy! — i wbiegli do kuchni akurat na czas, żeby ujrzyć jeszcze, jak ogień pod kuchenną płytą ożywił się tym specyficznym trzaskiem, jaki wydają tylko płonące filmy. Pani Honeysett wrzuciła filmy do ognia razem z innymi „śmieciami” i była to wina wyłącznie dzieci, jak twierdziła.

— Zapytałam, czy skończyliście z tym wszystkim, i odpowiedzieliście: „Tak”, więc tylko sobie to zawdzięczacie — powtarzała ciągle wśród ich lamentów i musieli przyznać, że miała rację.

— Musimy tylko szczególnie dbać o odbitki, to wszystko — powiedział Edred.

Wybrali „Historię Ardenów” jako bezpieczną i odpowiednią skrytkę dla odbitek.

— Filmy nie są takie ważne — rzekła Elfryda — bo przecież nie moglibyśmy ich nigdy nikomu pokazać. Jeśli znajdziemy skarb, zrobimy tak, żeby ciocia znalazła te odbitki — podrzucimy „Historię” albo coś w tym rodzaju — a ona pomyśli, że to są fotografie z malowanych obrazów. Więc wszystko będzie, jak trzeba.

Kiedy układali odbitki między kartkami „Historii”, Elfrydę uderzyły słowa „fosa” i „zasilanie wodą”. Zaczęła czytać, lecz przerwała i odwróciła kartkę.

— Czytaj dalej — powiedział Edred, ale Elfryda niecierpliwie machnęła ręką.

— Posłuchaj — powiedziała i odwróciwszy z powrotem kartkę, czytała:

— W dawnych czasach zamek Arden otoczony był fosą. Architekci, którzy go zbudowali z pomysłowością, jakiej owoce w przetrwałych pomnikach ich pracy tak bardzo podziwiał myślący świat, skierowali w inną stronę bieg strumienia wypływającego z okolicznych kredowych wzgórz i wpadającego podobno do morza około 50 jardów poniżej poziomu przypiływu. Prace inżynierskie, niezbędne, by umysł mógł zatryumfować nad materią, trwały do roku 1647, kiedy to zamek został oblężony przez armie tego potwora w ludzkiej postaci, Olivera Cromwella. Aby ułatwić sobie szturm zamku, dowodzący oficer dał rozkaz ponownego skierowania strumienia w jego poprzednie łóżysko. Zbiry Cromwella wykonali ten rozkaz i fosa wyschła, co ułatwiło zdradzieckie zamiary nikczemnego królobójcy. Chodzą słuchy, że strumień, mimo iż setki lat upłynęły od tego czasu, w dalszym ciągu płynie pod ziemią. Lecz autor, który zwiedzając jesienią 1821 roku rezydencję obecnego lorda Ardena, za jego łaskawie udzielonym pozwoleniem, zbadał starannie teren, nie mógł znaleźć nawet śladu strumienia. Większy mieszkańcy tego okręgu nie wiedzą nic o strumieniu, ale są to ludzie tonący w ciemności i zabobonach i nie interesują się dziełami filozoficznymi ani budzącym grozę pięknem Natury.

— Co za nudny facet — powiedział Edred. — Ale kiedy to było wydrukowane... w 1822 roku?... Zdaje się, że wiem, dlaczego wiejscy mieszkańcy, jak on ich nazywa, nie chcieli pary z ust puścić na temat strumienia. Czy nie rozumiesz, że chodzi tu o strumień płynący przez pieczarę przemytników? A przemycali wtedy wszystko, co tylko się dało.

— Bardzo sprytnie to pomyślałeś — rzekła Elfryda.

— Jestem pewien, że natrafimy na jego ślad, kiedy znajdziemy skarb. Chodź, spróbujmy jeszcze raz. Tym razem na pewno będziemy mieli szczęście. I nic nas nie powstrzyma. Nie klóciliśmy się ani nic w tym rodzaju.

Istotnie nie klócili się, ale pomimo to coś ich powstrzymało. A tym czymś był fakt, że nie mogli znaleźć tych drzwi. Po prostu ich nie było.

— A przecież nie klóciliśmy się ani nic podobnego — powiedziała Elfryda zrozpaczona, kiedy ciągle od nowa przeszukiwali Wschodni Dom i nie mogli znaleźć drzwi, które zaprowadziłyby ich na cudowny strych, gdzie w dwóch wspaniałych rzędach stały skrzynie.

Usiadła na najwyższym stopniu schodów prowadzących na strych, nie zważając na leżącą tam grubą warstwę kurzu.

— Wszystko skończone, jestem zupełnie pewien — powiedział Edred. — W jakiś sposób popsuliśmy całą sprawę. Zastanawiam się, czy powinniśmy byli robić te zdjęcia.

— Czy myślisz... że to wszystko mogło się nam tylko śnić? — spytała Elfryda.

— Nie — powiedział Edred — przecież są odbitki... W każdym razie przypuszczam, że są. Zejdźmy na dół i zobaczmy.

Z niepewnością w sercu zeszli na dół i stwierdzili, że fotografie były tam, gdzie je włożyli, między kartkami „Historii Ardenów”.

— Nie mam pojęcia, co mogliśmy zrobić. A ty wiesz? — zapytał Edred ze smutkiem.

Było to żalosne zakończenie wydarzeń, które tak żywo następowały po sobie od czasu ich przybycia do Arden. Wyglądało to tak, jak gdyby zatrzaśnięto im drzwi przed nosem i napisano wielkimi literami: „Już nic więcej”, w poprzek rozdziału o ich przygodach.

— Chciałabym, żebyśmy znowu znaleźli czarownicę — rzekła Elfryda — ale ona powiedziała, że tylko raz może przyjść w te czasy.

— Zastanawiam się dlaczego — rzekł Edred kopiąc ze złością nogę stołu, przy którym siedział. — Ten cały Dick musiał tu często przychodzić, skoro miał adres New Cross. A gdybyśmy tak do niego napisali? Mielibyśmy przynajmniej coś do zrobienia.

Napisali więc. Właściwie napisała Elfryda, ale podpisali się oboje. List brzmiał następująco:

Drogi Kuzynie Ryszardzie! Przypominasz sobie zapewne, że spotkaliśmy się podczas Spisku Prochowego. Jeżeli znowu znajdujesz się w obecnych czasach, chcielibyśmy Cię zobaczyć i dowiedzieć się, jak przeniosłeś się w przyszłość. Może i my moglibyśmy przenieść się w ten sam sposób w przeszłość, bo nie możemy już więcej użyć naszego dawnego sposobu.

A może mógłbyś następnym razem zjawić się tu zamiast w New Cross.

Twoi serdeczni odlegli przyjaciele

(Panna) Elfryda Arden

(Lord) Edred Arden

P.S. Nie wiem, jak lordowie podpisują listy, ponieważ jestem nim od niedawna, ale będziesz wiedział, kim jestem.

P.S.S. Przypomnij sobie starego Kaczego Dzioba.

Poszli z listem na pocztę i po drodze przypomnieli sobie, jak za czasów Napoleona chodzili do „Jerzego” z listem starej lady Arden, przy czym Edred zauważył apatycznie, że byłoby zabawne znaleźć grootę przemytników. Kiedy więc kupili znaczek pocztowy i przykleili go do koperty, wdrapali się na skałę i zaczęli szukać w krzakach janowca wejścia do groty przemytników. Ale nie znaleźli. Najbardziej męczące jest szukanie rzeczy, których nie można znaleźć, a najbardziej męczącym miejscem do szukania są zarośla janowca na wzgórzach w słoneczne popołudnie. Byli szczęśliwi, gdy wreszcie siedli na czystym, gładkim, porośniętym trawą miejscu i patrzyli na ledwie widoczny, błękitny zarys morza.

Nie, nie sprawiało im przyjemności szukanie groty przemytników. Oboje przygniatał daremny żal. Edred westchnął żałośnie:

— Ach, gdybyśmy chociaż włożyli te złote stroje, kiedy mieliśmy taką okazję!

Elfryda przyłączyła się do tego żalosego westchnienia:

— Ach, gdybyśmy je włożyli!

Po czym przez dłuższy czas siedzieli milcząc i patrząc na morze.

Jeżeli tak, drodzy czytelnicy, siedzicie zupełnie spokojnie przez dłuższy czas i patrzycie na morze albo na niebo, albo na płynącą wodę rzeki, coś się z wami dzieje, coś czarodziejskiego. Nie są to gwałtowne czary, które wywołują takie przygody, o jakich wam opowiadałam, lecz

jest to rodzaj łagodnych, ale bardzo silnych czarów wewnętrznych, które rozjaśniają sprawy i wskazują wam, co jest ważne, a co nie. Spróbujcie tego przy pierwszej sposobności, kiedy będziecie w bardzo złym humorze albo kiedy pomyślicie, że ktoś był względem was bardzo niesprawiedliwy, lub kiedy będziecie czymś bardzo rozczarowani.

Czary działały w obojgu dzieciach, aż w końcu Edred powiedział:

— Ostatecznie, mamy zamek.

A Elfryda dodała:

— I mieliśmy wspaniałe przygody.

Milczeli dalej i patrzyli na morze. Wtem zjawiła się Nadzieja i szepnęła coś Elfrydzie, która zawołała nagle:

— Biały Kret! Może jeszcze nie wszystko stracone. On nam powiedział, żebyśmy znaleźli drzwi. I znaleźliśmy je. Może powie nam coś nowego, jeżeli przywołamy go teraz... i jeżeli przyjdzie.

— I jeżeli przyjdzie — powtórzył Edred.

— Nie mów nic, układaj wierszyk — powiedziała Elfryda.

Ale to było coś, czego Edred nigdy nie potrafił robić. Próba ułożenia wierszyka była dla niego czymś takim, jak usiłowanie, drodze czytelnicy, by przypomnieć sobie nazwisko, którego się nigdy nie słyszało, lub pomnożyć zapomnianą liczbę przez inną liczbę, której nie można sobie przypomnieć.

Ale Elfryda, ta młodociana poetka, zmarszczyła czoło, zagryzła usta, założyła ręce i sięgnęła w umyśle po słowa, o których przed chwilą jeszcze nie myślała, a słowa uległy przypłynek do niej, ona zaś schwyciła je i zamknęła w klatce za prętami rymu. A oto jej wiersz:

*Pomóż nam, drogi Biały Krecie,
Nam, zagubionym w tym tu świecie,
I zrób coś w niedalekiej chwili,
Byśmy znów w przeszłość powrócili.*

— Jesteście niepoprawni — powiedział Biały Kret, zjawiając się nagle między nimi na żółtawej, suchej trawie. — No dobrze, już dobrze. Młodość jest porą popełniania głupstw. Co mam teraz zrobić? Okropnie mnie to wszystko zmęczyło. Chciałbym już ofiarować wam ten skarb i pójść sobie. Nie dajecie biednemu Białemu Kretowi ani chwili odpoczynku. Terroryzujecie mnie, ot co.

— Czy jest jakiś inny sposób — zapytała Elfryda — żeby wrócić w przeszłość? Nie możemy znaleźć tych drzwi.

— Pewnie, że nie możecie — odparł Kret. — Ta możliwość już minęła, i to na zawsze.

*Ot, ktoś chce, ale nie może —
To się zdarza w każdej porze.
A kto nie chce, ale może,
Wtedy bywa jeszcze gorzej...*

No tak, powiedzcie mi, dokąd chcecie się udać, a sporządzę dla was cofający się zegar.

— Gdzie tylko ci się spodoba — powiedział nieopatrznie Edred.

— Masz ci los — rzekł Kret, pocierając z rozdrażnieniem nos. — Znowu stracona sposobność, i to stracona na zawsze. Straszliwie szastacie waszymi sposobnościami. Powiedzcie mi teraz dokładnie, czy jest ktoś w przeszłości, kogo chcielibyście zobaczyć?

Jeśli nie wiecie,

To nie pójdziecie.

To też jest wiersz, tak samo dobry jak wasze.

— Kuzyna Ryszarda — powiedzieli jednocześnie Elfryda i Edred. Było to jedyne imię, które przyszło im na myśl.

— Stójcie spokojnie, moi drodzy — odpowiedział Biały Kret — a zrobię wam białą drogę, która was zaprowadzi dokładnie do tego miejsca, gdzie on jest.

Trwali w spokoju, ale nie mogli powstrzymać języków.

— Czy on znajduje się w przeszłości? — zapytała Elfryda. — Bo jeśli tak, to nie było sensu pisać do niego.

— Trzymajcie za zębami wasze języczki — powiedział Biały Kret — i zamknijcie wasze buzie, a otwórzcie wasze oczy. I zdajcie się na białą magię. Żadnej magii jeszcze nie zaszkodziło — ciągnął dalej Kret — że ktoś jest do niej dobrze usposobiony.

— Czy mogę coś powiedzieć? — spytała Elfryda. — Jeżeli, oczywiście, nie zatrzymam działania magii?

— Zakryj twarz białą chusteczką i mów przez nią; w ten sposób możesz.

Szczyśliwym i niezwykłym zbiegiem okoliczności chusteczka Elfrydy była biała: była jeszcze złożona w szesnaście równiutkich kwadracików, tak jak ją zaprasowała praczka. Dziewczynka zarzuciła sobie chusteczkę na twarz, leżąc na wznak na trawie, i powiedziała przez nią:

— Chciałabym znowu zobaczyć nianię czarownicę.

— Czy zamiast kuzyna Ryszarda?

— Nie, obydwójce.

— Dobrze — powiedział czarodziejski Kret. — Nie wolno zmieniać swoich życzeń, ale nie ma żadnych przepisów, dotyczących ich zwielokrotniania, wprost przeciwnie. A teraz patrz.

Elfryda strzepnęła chusteczkę i spojrzała.

Czy zauważyliście kiedy, drodzy czytelnicy, jak wypływa woda z wanny, kiedy wyjmiecie zatyczkę? Czy widzieliście, jak się napełnia butelki przez lejek?

Biały Kret wyciągnął ręce — powinien powiedzieć przednie łapki — ku ciemnoniebieskiemu niebu, na którym białe obłoki zgromadziły się w stado jakby olbrzymich owiec. I mówił. Właściwie nie mówił, ale śpiewał. Nie wiem nawet, drodzy czytelnicy, czy moglibyście nazwać to śpiewem. Było to bardzo podobne do pierwszych nut, jakie wydają skrzypce dotknięte smyczkiem prowadzonym ręką wielkiego muzyka. Białe obłoki zaczęły się zniżać, aby odpowiedzieć. Krążyły dookoła na błękitnym niebie, zbierając się razem i wirując w dół, jak wiruje woda, kiedy wyciągacie zatyczkę, a gdy tak krążyły i krążyły dookoła, zrobiły się podobne do wielkiego białego leja, którego szyjka wielkim kołem zawisła nad grupą stojącą na suchej darni wydm. Koło to zniżało się i zniżało, aż otoczyło ich tak, że znaleźli się jak gdyby w białej wieży, wąskiej u podstawy, która dotknęła darni, a rozszerzającej się ku błękitnemu niebu nad ich głowami.

— Weźcie się za ręce! — zawołał Biały Kret. — Zawsze trzymajcie się za ręce, kiedy dzieje się jakaś magia.

Dzieci wzięły się za ręce.

— Za obydwie — powiedział Biały Kret.

I każde z dzieci wyciągnęło rękę, którą drugie chwyciło i trzymało. Lej z obłoków kręcił się wokół nich coraz szybciej i szybciej, a głos Kreta u ich stóp zanikał i oddalał się.

— W górę! — zawołał. — W górę! Czy obłoki mają tańczyć dla waszej przyjemności, podczas gdy wy stoicie nie robiąc kroku?

Dzieci podskoczyły — i poprzez chmurę przeniknęło coś, co było na pewno muzyką, lecz tak nieuchwytną i daleką, że nawet najlepszy nauczyciel muzyki, jakiego kiedykolwiek

mieliście, drodzy czytelnicy, nie mogliście określić melodii. Stopniowo dźwięki stawały się podobne do dźwięku fujarek i pod takt tej melodii dzieci zaczęły tańczyć. Nogi ich nie mogły się powstrzymać od stawiania kroków, o jakich w ogóle nie wiedziały, że je znają. I po raz pierwszy poznały radość prawdziwego tańca: nie tych waszych walców czy nawet menuetów, lecz tańca, który oznacza młodość i radość, i to, że się jest na wakacjach i że jest się zdecydowanym cieszyć się ze wszystkiego aż do ostatniego tchu.

A kiedy tak tańczyły, biały lej z obłoku osunął się niżej i zamknął się nad nimi, tak że tańczyły owinięte jak gdyby białą watą, tak miękką, że nawet jej nie czuły. W powietrzu unosił się słodki zapach. Dzieci nie wiedziały w tej delikatnej, zrobionej z obłoku białości, jakie kwiaty wysyłały ten zapach, lecz wiedziały, że pachniało wiosną, polami i zielenią — z dala od brzydoty miasta. Obłok stawał się coraz rzadszy, w miarę jak woń się nasilała, i zaczęło przegłądać przezeń zielone światło.

Zielone światło potęgowało się, a lej z chmur się unióś. Edred i Elfryda, ciągle tańcząc, znaleźli się w kole chyba ze trzydziściorga dzieci tańczących na dywanie z zielonej murawy, między ścianami z zielonych gałęzi. Każde dziecko miało wianek z kwiatów na głowie. Była to czarodziejska scena, która przeniknęła do nich poprzez biały obłok białej magii Białego Kreta.

— Co to jest? Dlaczego tańczymy? — zapytał nieostroźnie Edred małą dziewczynkę, której rękę — a nie rękę Elfrydy, jak zauważył — trzymał w swojej lewej ręce. Dziewczynka roześmiała się, roześmiała się tylko, ale nie odpowiedziała. Elfryda trzymała go za prawą rękę, a jej własna prawa ręka znajdowała się w ręce chłopca w zielonym ubraniu.

— Ach! — powiedziała z radością, kiedy poznała chłopca. — To ty! Taka jestem szczęśliwa! Ale co to jest? Dlaczego tańczymy?

— To Święto Wiosny — odpowiedział kuzyn Ryszard — i król przybędzie, żeby popatrzeć na maskaradę.

— Który król? — zapytała.

— A któryż by, jak nie król Henryk*? — odrzekł. — Król Henryk i jego nowo zaślubiona królowa, ta, co to poprzednio była lady Anną Boleyn.

— Dick — powiedział Edred, pochylając się do Ryszarda poprzez ramię swej siostry — tak strasznie się cieszę, że cię znowu widzę. My...

— Nie teraz — powiedział z powagą Dick — teraz ani słowa. To byłoby niebezpiecznie. Oto nadchodzi król.

* Król Henryk — mowa o Henryku VIII, który poślubił Annę Boleyn w r. 1533. W r. 1536 królowa została oskarżona o wiarołomstwo i ściana.

ROZDZIAŁ XIII

MAJOWE KWIATY I PERŁY

Król nadjechał powoli na wielkim karym koniu, który stanął między zielonymi drzewami. Sam był ubrany na biało i zielono, podobnie jak majowe krzaki. Tak samo ubrana była pełna wdzięku pani jadąca obok niego na białym koniu, którego długi ogon prawie zamiatał ziemię i którego długa grzywa powiewała na wietrze jak chorągiew.

Pani miała miłą twarz — dumną i uśmiechniętą — i kiedy jej oczy spotkały się z oczami króla, nawet dzieci mogły zauważyć, że ani król, ani ona nie widzieli świata poza sobą. Zobaczyły to w tej krótkiej chwili, kiedy w wirze tańca ich oczy zwrócone były w tę stronę, z której nadjeżdżał król ze swoją królową.

— Chciałabym nie umieć tyle z historii — powiedziała poprzez skoczną muzykę zadyszana Elfryda. — To straszne wiedzieć, że jej głowa... — Przerwała, bowiem w tej właśnie chwili Ryszard rozkazująco ścisnął ją za rękę.

— Przestań — powiedział. — Nie chcę myśleć. I słyszałem, że historia to same kłamstwa. Może będą zawsze tak szczęśliwi, jak są teraz. Jedynym sposobem, żeby się cieszyć przeszłością, jest nie myśleć o przyszłości — mam na myśli przyszłość przeszłości — a poza tym muszę wam jeszcze coś powiedzieć — dodał z powagą.

Tańczące koło podzieliło się na wymyślne figury. Dzieci zorientowały się, że trzymają w palcach kolorowe wstęgi, zwisające z majowego słupa*, który znajdował się w środku ich tanecznego kręgu. Był to jakiś skomplikowany taniec. Z przyjemnością stwierdziły, że nogi znały ten taniec, chociaż mózg nie mógł przewidzieć ani też nie mógł zapamiętać kolejności figur. Majowy słup otaczały dwa koła — koło wewnętrzne, gdzie znajdowali się Edred i Elfryda i gdzie tańczyły dzieci arystokracji, bardzo pięknie ubrane, i koło zewnętrzne, składające się z dzieci wiejskich w mniej kosztownych, lecz równie ładnych strojach. Tańczono w takt melodii, którą grała orkiestra. Muzykanci siedzieli na wysokim podeście udekorowanym bukietami pierwiosnków. Król i królowa wstrzymali konie i z zadowoleniem przyglądali się tańcom.

Raptem taniec skończył się i dzieci, uformowane w jedną linię, pozdrowiły królewskich widzów.

— Piękny taniec i pięknie odtąńczony — powiedział król mocnym, wesołym głosem. — A teraz, moi drodzy, zaśpiewajcie pieśń na cześć Królowej Maja i mojej tu obecnej drogiej małżonki.

Zaczęły się szepty i rozmowy. Ryszard Arden wystąpił na czoło grupy ubranych na zielono dzieci arystokracji.

— Z całego serca — powiedział — ale najpierw zaśpiewamy piosenkę o Jego Królewskiej Mości.

I wszystkie dzieci zaczęły śpiewać:

*Na łów jedzie król, na łowy,
Do zielonej, hen, dąbrowy.
Król Henryk, co nam króluje,
Śliczną łanię upoluje.*

Melodia rozbrzmiała echem po lesie i dopiero później Edred i Elfryda ze zdumieniem stwierdzili, że znają ją bardzo dobrze.

* Majowy słup — ozdobny słup. Wokół którego odbywały się zabawy ludowe,

Ale nawet kiedy śpiewali, Elfryda ciągle wracała myślą do starego pytania: Czy cokolwiek z tego, co robili, mogło mieć wpływ na przeszłość? Zdawało się rzeczą niemożliwą, aby tak nie było. Gdyby można było szepnąć na osobności słówko tej szczęśliwej majestatycznej pani na białym koniu, gdyby można ją było ostrzec, jakoś jej pomóc. Myśl o szafocie i czarnym pieńku była tak silna, że Elfrydzie zdawało się, że je widzi ciemniejące wśród kołyszących się, pokrytych plamami słońca liści tego lasu.

Ktoś pociągnął ją za zieloną spódniczkę. Była to stara kobieta w obcisłym czepku ukrywającym wszystkie włosy — stara kobieta, która szepnęła: „Podejdz do niej, podejdz!”, i popchnęła dziewczynkę naprzód. Ktoś inny włożył jej duży bukiet polnych kwiatów do ręki i również popychał ją naprzód. I musiała wysunąć się do przodu, zupełnie sama, z bukietem w rękę, przejść przez otwartą przestrzeń murawy na oczach kilkuset ludzi ubranych w swe najlepsze stroje i patrzących na nią.

Szła, aż dotarła do tego miejsca, gdzie stał król z królową, tam zatrzymała się i złożyła każdemu z nich głęboki ukłon. A potem, zupełnie nie myśląc o tym, co robi, zdała sobie sprawę, że mówi:

*Święto zielone! Święto majowe!
Drzewa przybrały szaty godowe,
Szaty zielone, białe, różowe.
W dzisiejsze święto, w święto majowe,
Kto tylko żyje — panie, panowie
Biedni, bogaci — w leśnej dąbrowie
Bawić się będzie w święto majowe.
Przybądźcie do nas, królu, królowo,
Dziś na zabawę naszą majową,*

I kiedy to powiedziała, złożyła jeszcze dwa piękne ukłony i wręczyła królowej kwiaty.

— Gdybyśmy znali zamiary Ich Królewskich Mości — powiedział wysoki, o szczupłej twarzy mężczyzna, ubrany w długą szatę — mieliby Najjaśniejsi Państwo inne powitanie, nie takie chłopskie.

— Naszym zamiarem było — powiedział król — sprawić wam niespodziankę. Mówicie, że lord Arden jest tutaj?

— Jest tu jego syn i córka, aby złożyć hołd Ich Królewskim Mościom — powiedział mężczyzna w długiej szacie, a Elfryda zauważyła, że Edred stoi obok niej.

— Zbliź się, chłopcze — powiedział król i wziął Edreda za rękę. — Postaw nogę na mojej stopie — dodał. — O, tak — i pociągnął chłopca ku sobie, sadzając go przed sobą na siodle. Elfryda, na skinienie królowej, podeszła do jej białego konia, a królowa pochyliła się w siodle, aby zapytać dziewczynkę o jej imię. Była to chwila, o jakiej Elfryda marzyła: teraz miała jedyną okazję, by ostrzec królową.

— Nazywam się Elfryda Arden — powiedziała. — Najjaśniejsza Pani, czy mogę Jej coś powiedzieć?

— Powiedz, dziecko — rzekła królowa, unosząc ze zdziwieniem swe piękne brwi ale uśmiechając się.

— Chciałabym podejść zupełnie blisko i powiedzieć na ucho — odparła odważnie Elfryda.

— Jesteś śmiałą dziewczynką — rzekła królowa, ale pochyliła się niżej.

— Chcę panią przestrzec — szepnęła szybko Elfryda — i proszę zwrócić uwagę na to, co powiem, chociaż jestem tylko małą dziewczynką. Ja wiem. Pani może myśli, że ja nie wiem, ale ja wiem. Chcę panią przestrzec...

— Już raz mnie ostrzegano, dziś rano — powiedziała królowa. — Co to za krakanie, i to w dzień Majowego Święta...

— Kto ostrzegł Najjaśniejszą Panią?

— Stara czarownica, która wdarła się do mojego pokoju, nie bacząc na moje pokojówki. Powiedziała, że zna czar na utrzymanie mojej urody i miłości mego pana.

— Co to jest za czar? — zapytała żywo Elfryda, zapominając dodać: „Najjaśniejsza Pani”.

— Zupełnie prosty — odparła królowa. — Zachowam urodę i miłość tak długo, dopóki nie upuszczę chusteczki do nosa. Lecz jeżeli ją upuszczę, to stracę więcej niż urodę i miłość. Czarownica powiedziała, że stracę głowę. — Królowa zaśmiała się z cicha. — W ciągu iluś tam dni od upuszczenia chusteczki mam stracić tę głowę, którą tu widzisz. — Zaśmiała się znowu.

— Proszę się nie śmiać, och, proszę się nie śmiać! — zawołała Elfryda. — Dziewiętnaście dni, takie jest ostrzeżenie. Mam nadzieję, że ono pomoże. Kocham panią, droga królowo. Pani jest taka silna i wspaniała, chciałabym być podobna, kiedy dorosnę.

Na miłej twarzy królowej odbiło się zakłopotanie.

— Niechaj niebiosa sprawią, żebyś była lepsza niż ja — powiedziała królowa i pochyliła się jeszcze bardziej ku Elfrydzie.

Dziewczynka wspięła się na palce i królowa ją pocałowała.

— Och, królowo, bądź ostrożna! — zawołała Elfryda.

— Twoja kochana głowa!

Królowa pocałowała ją jeszcze raz.

Wtem rozległ się ostry dźwięk jak gdyby kobzy i wszyscy cofnęli się, robiąc miejsce młodemu wieśniaczkom i wieśniakom, którzy rozpoczęli miejscowy taniec. Zaraz też przyłączyły się inne instrumenty i nagle król zawołał:

— Ta wesoła melodia nie pozwala ustać moim nogom. Pójdź, kochanie, czy dotrzemy kroku pozostałym?

Król i królowa zsiadli z koni i poprowadzili ludowy taniec, śmiejąc się, i to tak wesoło, jak potrafią tylko wiejski chłopiec i wiejska dziewczyna.

Elfrydzie zbierało się na płacz. Tak jej było żal, że nie zawsze wszyscy mogą być tak dobrzy i szczęśliwi jak dziś.

Król zeskoczył z konia wraz z Edredem w ramionach i Edred i jego siostra zaraz podeszli do kuzyna Ryszarda.

— Jakie to wszystko miłe i ładne — powiedział Edred. — Chciałbym zostać tu na zawsze.

— Gdybym był tobą — odrzekł Ryszard z nieprzyjemną miną — nie pozostałbym tu ani godziny.

— Dlaczego? Czy to niebezpieczne? Czy utną nam głowy?

— Nic o tym nie wiem — odparł kuzyn Ryszard w dalszym ciągu jakoś nieprzyjemnie — Nie myślałem w tej chwili o waszych głowach. Są rzeczy o wiele ważniejsze na świecie niż wasze głowy — tak mi się przynajmniej wydaje.

— Nie o wiele ważniejsze — powiedziała łagodnie Elfryda. — To znaczy dla nas. A o co właściwie tak się złościć?

— Myślałem — zaczął Ryszard, kiedy stara kobieta, która kazała Elfrydzie wysunąć się naprzód z bukietem podczas ceremonii, przysunęła się do nich bokiem.

— Do lasu, moje dzieci — szepnęła szybko — do lasu! Za chwilę królowa zapłacze, a król nie będzie się silił na grzeczność wobec tych, których ostrzeżenie spowodowało płacz jego królowej.

Cofnęli się między krzaki i gęste zielone liście przysłoniły całą czwórkę.

— Szybko! — zawołała czarownica. — Tędy!

Szli za nią przez las pod dębami i cisami. Przedzierali się do ścieżki między leszczyną i kasztanami.

— A teraz biegiem! — powiedziała stara kobieta i ruszyła naprzód bardzo żwawo jak na osobę w tak podeszłym wieku.

Dotarli do miejsca, gdzie las się przerzedzał, po czym wybiegli na wydmy, skąd mogli już zobaczyć zamek Arden, jego fosę i morze.

— Teraz — powiedziała staruszka — zauważcie sobie dobrze, skąd wypływa potok. To jest tam, gdzie była grotka przemytników, kiedy Betty Lovell przepowiedziała, że wylądują Francuzi.

— Aha — zawołali równocześnie Edred i Elfryda — więc ty jesteś czarownicą! Jesteś Betty Lovell!...

— A kim miałabym być? — powiedziała staruszka. — A teraz wywołajcie Białego Kreta i szybko wracajcie do waszych czasów. Bo król podniesie na nogi cały kraj, aby odnaleźć dziecko, z którego powodu jego ukochana załała się łzami. A ona mu powie, bo nic przed nim nie ukrywa, i...

— Ale ona mu nie powie o chusteczce do nosa?

— Powie, i kiedy upuścił ją w inne majowe święto w Greenwich, on sobie przypomni. Prędeż, przywołajcie waszego Białego Kreta i natychmiast uciekajcie!

— Przecież myśmy dopiero co przyszli — sprzeciwił się Edred. — I o czym właściwie mówiła Elfryda?

— Niech to licho porwie! — zawołała Elfryda. — Chcę wiedzieć, co Ryszard miał na myśli, kiedy powiedział, że nasze głowy to nic ważnego.

— Wasze głowy będą najważniejsze, jeżeli będziecie dłużej zwlekać — rzekła ostro czarownica. — Prędko, czy ja mam przywołać Białego Kreta, czy wy to zrobicie?

— Ty go przywołaj — powiedziała Elfryda. — Dick, co miałeś na myśli? Powiedz nam — to ważne.

Betty Lovell zaczęła wyrywać płaty darniny i wyciągać spod nich bryłki kredy.

— Pomóżcie mi — krzyknęła — bo nie zdążę!

Wszyscy więc pomagali.

— Czy Dick nie mógłby iść z nami, jeśli my musimy odejść? — powiedziała nagle Elfryda.

— Nie — odparł Ryszard. — Nie pójdę...

— Dlaczego? — spytała Elfryda bez tchu, wyciągając duży kawał kredy.

— Bo nie mogę.

— Więc powiedz nam, zanim nadejdzie Biały Kret, co miałeś na myśli?

— Nie powiesz — dał się słyszeć cichy głos — bo on już właśnie przyszedł.

Wszyscy zacichli, spoglądając, jak spomiędzy dwóch bloków kredy wydobywa się z ziemi na światło dzienne Biały Kret.

— Ale przecież ja nie wypowiedziałam żadnego wierszyka — rzekła Elfryda.

— A ja nie nakreśliłam trójkąta ani łuku — dodała stara Betty Lovell. — Na pewno nie.

— Byłem tu — odpowiedział kret z miną, która wyglądała na uśmiech tryumfu — przez cały czas. Czy nie mogę od czasu do czasu przebywać tam, gdzie mi się podoba? Dlaczego miałbym zawsze czekać na wasze, wezwanie? — zapytał jakby trochę urażony.

— Masz zupełną rację — powiedziała uprzejmie Elfryda — a teraz, dobry, kochany Biały Krecie, zabierz nas stąd.

Odgłosy strzelaniny zmieszanej ze szczekaniem psów przyspieszyły trochę jej słowa.

— Polowanie zaczęło się — powiedziała stara czarownica niania.

— Nie lubię polowań — rzekł pospiesznie Biały Kret, a szczególnie z psami. Nigdy nie znosiłem psów, niech licho porwie te wstrętne, hałaśliwe, zębate stworzenia. Wejdźcie do środka.

— Do środka czego? — zapytał Edred.

— Mojego domu — odpowiedział Kret.

Nigdy nie dowiedzieli się, co się stało — czy szczelina w kredowej skale powiększyła się, czy też oni się zmniejszyli, dość że zaczęli posuwać się gęsiego ową szczeliną. Tylko Elfryda chwyciła za rękę Ryszarda i trzymała go mocno, chociaż on usiłował się uwolnić.

— Nie wrócę z wami do waszych czasów — powiedział. — Pójdę swoją własną drogą.

— Dokąd? — spytała Elfryda.

— Dokąd mi się spodoba — odpowiedział Ryszard ze złością i wyrwał rękę z dłoni Elfrydy. Było jednak za późno — kredowa skała zamknęła się nad nimi wszystkimi.

Ponieważ skała kredowa zamknęła się tak ściśle, że nie przenikała przez nią ani odrobina światła dziennego, można się było spodziewać, drodzy czytelnicy, że trzeba będzie oddychać zgęszczonym i dusznym powietrzem. Ale nic podobnego. Przejście z majowego promiennego dnia do mieszkania Białego Kreta przypominało wyjście z ludzkiego domu na świeżość majowej nocy. Lecz było tam ciemniej niż w jakąkolwiek noc. Elfryda wzięła więc za rękę Edreda, a potem i Ryszarda. Starła się zawsze pamiętać, co mówił jej Biały Kret: „Trzymajcie się zawsze za ręce, kiedy macie do czynienia z magią”.

Ryszard pozwolił się wziąć za rękę, lecz powiedział bardzo surowym tonem:

— Zrozumcie, co mam na myśli, kiedy mówię: Nie chcę wrócić z wami do waszych czasów.

— Byłeś o wiele miłszy za czasów Jakuba Pierwszego — powiedziała Elfryda.

Wtem odgłos jakby gromu wstrząsnął ziemią nad ich głowami i ten ogłuszający hałas sprawił, że schwycili się jeszcze mocniej za ręce.

— To tylko królewskie konie i królewscy ludzie w pogoni za wami — powiedział beztrąsko Biały Kret. — Teraz pójdę i zrobię dla was biały zegar, żebyście mogli wrócić do domu. Zostańcie tu, gdzie jesteście, i nie dotykajcie niczego aż do mego powrotu.

Pozostali sami w głębokiej ciemności. A Elfryda w dalszym ciągu zadawała pytania:

— Dlaczego nie chcesz pójść z nami do naszych czasów?

— Nienawidzę waszych czasów. Są wstrętne, są okrutne — powiedział Ryszard.

— W każdym razie w naszych czasach nie ucina się nikomu głowy bez powodu — powiedział Edred — i nie zamyka się nikogo do Tower.

— Ale robi się gorsze rzeczy — powiedział Ryszard. — Ja wiem. Każą ludziom pracować czternaście godzin na dobę za dziewięć szylingów tygodniowo, tak że ludzie nigdy nie mają dość pieniędzy na jedzenie i ubranie ani też nie mają czasu na spanie i na trochę radości. Nie chcą dać ludziom pożywienia ani ubrania, ani też pracy, żeby na to zarobili, a później wtrącają ich do więzień, jeśli ci biorą sobie tyle, aby utrzymać się przy życiu. Narażają ludzi na straszliwe choroby. Kobiety muszą pracować zamiast wychowywać swoje dzieci, a jak się powierza opiekę nad niemowlęciem małej dziewczynce, to zwykle upuszcza je, tak że biedne małeństwo staje się kaleką na całe życie. Och, znam to wszystko. Nie chcę iść z wami. Moglibyście zatrzymać mnie na zawsze. — To mówiąc aż zadrżał cały.

— Nie zatrzymam cię. I nie mogę nic poradzić na to, że ludzie muszą pracować i że nie mają dość pieniędzy, i tak dalej — powiedział Edred.

— Gdybym ja był lordem Ardenem — odezwał się w ciemności Ryszard — złożyłbym ślubowanie i dotrzymałbym go, że nigdy nie będę miał ani jednego dnia świątecznego i ani jednej rzeczy, którą lubię, dopóki się to wszystko nie zmieni. Ale w waszych czasach nikogo to nie obchodzi.

— Nieprawda — powiedziała Elfryda — nas to obchodzi, jeśli o tym wiemy. Tylko że nic nie możemy poradzić.

— Ja jestem lordem Ardenem — powiedział Edred. — I kiedy dorosnę, zrobię to, o czym mówisz. Prawdopodobnie zasiądę w Izbie Lordów i oczywiście Izba Lordów będzie musiała wziąć pod uwagę to, co im powiem. Będę pamiętał wszystko, co mi teraz mówisz, i powiem im o tym.

— Jeszcze nie jesteś dorosły — rzekł Ryszard. — I to twój ojciec jest lordem Ardenem, a nie ty.

— Ojciec nie żyje — powiedziała Elfryda cichym głosem.

— Skąd wiesz? — zapytał Ryszard.

— Był list...

— Czy myślisz, że ja bym zaufał listowi? — rzekł Ryszard z oburzeniem. — Gdybym nie widział mego ojca martwego, czy myślisz, że uwierzyłbym w to? Nigdy, chyba że wróciłbym i zobaczyłbym, jak umarł i gdzie, no i zemściłbym się na tym, kto go zabił.

— Ale on nie został zabity.

— Skąd wiesz? Uganialiście się za tym kretańskim skarbem i nawet nie przyszło wam na myśl, żeby wrócić do tych czasów, kiedy on żył — a to było tak niedawno — i dowiedzieć się, co się naprawdę z nim stało.

— Nie wiedziałam, że moglibyśmy — powiedziała Elfryda zduszonym głosem. — A nawet gdybyśmy mogli, to nie byłoby dobrze, nieprawda? Ciocia Edyta powiedziała, że on jest w niebie. Przecież nie moglibyśmy tam iść. To nie to samo, co historia, to coś zupełnie innego.

— A więc dobrze — rzekł Ryszard. — Muszę wam powiedzieć, że podobaliście mi się oboje za czasów Spisku Prochowego, i kiedy wróciliście do waszych czasów, zapytałem Betty Lovell, kim jesteście, a ona powiedziała, że ty jesteś lordem Ardenem. Więc następnym razem, kiedy chciałem odejść stamtąd, gdzie byłem, wydałem rozkaz, żeby mnie zaprowadzono do lorda Ardena. I...

— Chodźcie, moi drodzy — rozległ się nagle głos Białego Kreta. — Zegar jest już gotów.

Oczom ich ukazało się łagodne światło, które powoli stawało się coraz jaśniejsze. Zrozumieli, że znajdują się w wielkiej kredowej grocie — w grocie przemytników. Edred był tego zupełnie pewien. Pośrodku groty wysłanej drobnym piaskiem znajdowała się tarcza wielkiego zegara z cyframi, wskazówkami i różnymi figurami, a wszystko to zrobione było z błyszczących pereł, osadzonych w kości słoniowej. Wydawało się, że z tarczy zegara wydobywa się światło i odbija od białych kredowych ścian groty. Był to najpiękniejszy twór sztuki jubilerskiej, jaki dzieci — a wyobrażam sobie, że i wszyscy inni — kiedykolwiek widziały.

— Usiądźcie na wskazówce minutowej — powiedział Biały Kret — i idźcie do domu.

— Ja nie mogę iść — powiedział ponuro Edred — dopóki nie usłyszę do końca tego, co mówił Ryszard.

— Wtedy król i żołnierze pochwycą cię — powiedziała czarownica.

— Muszę zaryzykować — odparł z całym spokojem Edred. — Nie podejść do białego zegara, dopóki Ryszard mi nie powie, co miał na myśli.

— Dam mu jedną minutę czasu — powiedział Biały Kret gniewnie — i ani chwili więcej. Już mi to wszystko obrzydło.

— Och, nie gniewaj się — rzekła Elfryda. — Te ciągłe zmiany — powiedział Biały Kret — to ciągle chcę–nie–chcę już mi staje kością w gardle.

— Powiedz mi, co miałeś na myśli, mówiąc o moim ojcu — zapytał znowu Edred.

— Próbowałem cię znaleźć, więc pytałem o lorda Ardena. Ale zamiast ciebie znalazłem twego ojca. I to było w twoim czasie, w lipcu 1908 roku.

— Co? — zawołali jednocześnie Edred i Elfryda.

— Wasz ojciec żyje, czy nie rozumiecie tego? A wy zajmowaliście się szukaniem skarbu zamiast szukać ojca.

— Tatusi... żyje! — Elfryda rzuciła się bratu na szyję. — Och, nie wolno mieszać go do czarów i magii. Ach, jakiś ty okrutny, nienawidzę cię! Wiem doskonale, że nigdy już nie zobaczę mego tatusia.

— Zobaczysz go, jeżeli nie będziesz trochę tchórzem, a trochę niezdara — powiedział wzgardliwie Ryszard. — Pójdiesz i znajdziesz go, oto co właśnie masz do zrobienia. A teraz, do widzenia!

I zanim Biały Kret lub niania mogli mu przeszkodzić, skoczył na zrobioną z pereł i kości słoniowej długą minutową wskazówkę zegara i powiedział: — Do domu — zupełnie tak, jak księżne (i inni ludzie) zwracały się do swych stangetów (lub lokajów).

I zanim można było temu zapobiec, wskazówki zegara zaczęły się obracać, początkowo powoli, później coraz prędzej i prędzej, a w końcu tak prędko, że stały się zupełnie niewidoczne. Tylko figury na zegarze zrobione z kości słoniowej i pereł nadal widniały na piaskowej podłodze groty.

Edred i Elfryda, wciąż trzymając się kurczowo siebie, zwrócili błagalne spojrzenia na Białego Kreta. Spodziewali się, że będzie bardzo zły, ale on się uśmiechał. (Czy widzieliście kiedy, drodzy czytelnicy, żeby biały kret się uśmiechał. Nie? Więc może nie widzieliście nigdy białego kreta, a przecież nie można zobaczyć uśmiechu nie widząc tego, kto się śmieje).

— Odważny z niego chłopiec — powiedziała czarownica.

— A tak — rzekł Biały Kret — prawdziwy Arden.

Edred wyrwał się Elfrydzie i przybrał sztywną postawę, chcąc pokazać Białemu Kretowi, że wcale nie jest tak bardzo niepodobny do Ardena, jak to Kret zbyt pochopnie uznał.

— Czy możemy iść do domu? — zapytała nieśmiało Elfryda. — Czy mógłbyś sporządzić dla nas inny biały zegar lub coś w tym rodzaju?

— Nie trać czasu na próżne gadanie — powiedział Kret. — Zawsze noś swoje stare zegarki, zanim kupisz sobie nowy. On niedługo zejdzie ze wskazówki, a wtedy zegar stanie i będziecie mogli usiąść na nim i bezpiecznie wrócić do domu.

— A jeżeli król nas znajdzie? — zapytała Elfryda.

— Nie znajdzie — powiedziała Betty Lovell. — Otwórz kredowe drzwi, kochany Kretuniu, a ja zatrzymam jakoś króla, dopóki ci młodzi ludzie nie pójda do domu.

— Oni będą cię pławic jako czarownicę — powiedział Biały Kret, ale wcale się nie obraził, że Betty mówiła do niego w tak poufały sposób.

— To nic, dzień jest ciepły — odpowiedziała Betty. — Zanim zaprowadzą mnie do sadzawki, będziecie już bezpieczni. A woda będzie przyjemnie chłodna.

— Ach, nie! — zawołali jednocześnie Edred i Elfryda. — Utopią cię.

A Edred dodał:

— Nie mogę do tego dopuścić.

— Macie głupiutki, dobre serduszka — powiedział Biały Kret. — Nie utopią jej, bo pójdzie po prostu do domu tylnymi drzwiami. Na dnie każdej sadzawki są drzwi, jeżeli tylko potrafi się je znaleźć.

Tak więc Betty Lovell wyszła z jaskini obdarzona dwoma pocałunkami w obydwie policzki, aby spotkać się z zagniewanym królem.

Nagle zegar z pereł i kości słoniowej stał się znowu widoczny w całej swej okazałości, ze wskazówką minutową, wskazówką godzinową i wskazówką sekundową.

Edred i Elfryda usiedli na wskazówce minutowej i zanim Biały Kret zdążył otworzyć swój długi, wąski pyszczek, aby coś powiedzieć, Edred zawołał mocnym głosem:

— Zaprowadź nas tam, gdzie jest tatuś — ponieważ nauczył się od Ryszarda, że białym zegarom można wydawać rozkazy.

Wskazówka minutowa z pereł i kości słoniowej zaczęła się poruszać coraz prędzej i prędzej i gdyby był tam ktoś, kto by na nią patrzył, to w pewnej chwili wydałaby mu się niewidoczna.

Ale nie było nikogo, bo Biały Kret w ostatniej chwili wskoczył na wskazówkę godzinową i siedział na niej, trzymając się wszystkimi swoimi łapkami.

ROZDZIAŁ XIV

ZNALEZIENIE SKARBU

— Do Ryszarda Ardena! — zawołał Biały Kret z Arden, kiedy wskoczył na godzinową wskazówkę z pereł i kości słoniowej.

I wskazówki zaczęły obracać się z nieprawdopodobną szybkością. Gdy zegar zatrzymał się, co stało się zupełnie nagle, Edred nabrał powietrza w pierś i krzyknął:

— Do mojego tatusia! — tak głośno, jak tylko mógł.

Wskazówki znowu zaczęły obracać się tak szybko, że żadne z dzieci nie zauważyło, kiedy stanęły. Widziały tylko, że znajdują się w jakimś pokoju i że Biały Kret, który, jak się zdawało, urósł nagle do rozmiarów olbrzymiego polarnego niedźwiedzia, wychylił się poza tarczę zegara i chwycił coś łapą długą na całą stopę. Wtedy ktoś krzyknął, ale nie mogli usłyszeć co, i prawie natychmiast zegar stanął. Dzieci zobaczyły, że coś się z niego zsunęło. Zegar znowu znajdował się w grocie. Był tam kuzyn Ryszard w zupełnie innym ubraniu niż to, które miał na sobie podczas zabawy majowej za czasów króla Henryka VIII. Był to ten rodzaj stroju, jaki Edred nosił za czasów napoleońskich, a grota była zupełnie taka sama jak wtedy, z baryłkami i belami sukna i przepływał przez nią strumień.

— Musisz iść z nami — powiedział Biały Kret, wracając powoli do swych zwykłych rozmiarów. — Czy nie rozumiesz? Jeżeli ojciec tych dzieci zobaczy je, to będą musiały wyjaśnić mu tę całą magię, a jeśli magię już raz się wyjaśni, wtedy ona zniknie, tak jak ulatnia się zapach perfum, gdy wyjmuje się korek z flakonu. Ale ty możesz go zobaczyć i pomóc mu — jeżeli potrzebna mu jest pomoc — i nie będziesz musiał nic wyjaśniać.

— W porządku — powiedział Ryszard i mruknął coś tam o „głowie domu”. — Ale — dodał — upuściłem tu moją różdżkę czarodziejską. — To mówiąc schylił się i podniósł leżącą na piasku małą laseczkę z wiszącymi wokół niej srebrnymi dzwoneczkami, podobną do tej, jaką nosi w ręku błazen podczas zabaw karnawałowych. — Są na niej wyryte herby Ardenów — wyjaśnił.

Przy świetle zegara z pereł i kości słoniowej dzieci mogły dostrzec tarczę i szachownicę, a nad nią wizerunek Białego Kreta.

— Teraz jestem gotów. Kuzynowie, odwołuję wszystko, co powiedziałem. Widzicie, mój ojciec nie żyje... i gdybym miał tylko połowę waszych możliwości... O tym właśnie myślałem. A więc podajmy sobie ręce.

Podali sobie ręce.

— Ale — rzekła Elfryda — to jest całkiem co innego: tamto to była gra, a to jest... to jest...

— To jest rzeczywistość, moja dziecino — powiedział Biały Kret z niezwykłą dla niego uprzejmością. — Teraz wasz kuzyn Ryszard pomoże wam, a kiedy odzyskacie swego ojca, nie wątpię zaś, że tego pragniecie, wtedy Dick powróci do swego własnego czasu i pokolenia i nie zobaczycie go już więcej, a wasz ojciec nigdy nie będzie podejrzewał, że byliście tak blisko niego, jak właśnie będziecie.

— Nie wierzę, że będziemy — odrzekła na to Elfryda — i po raz pierwszy w całej tej historii nie wierzyła.

— Ach — westchnął z goryczą Biały Kret — oczywiście, jeżeli nie wierzysz, że go znajdziecie, to go nie znajdziecie. To rzecz pewna.

— Ale ja wierzę, że go znajdziemy — powiedział Edred. — A Elfryda jest tylko dziewczyną. To, oczywiście, może być tylko sen — dodał w zamyśleniu. — Nie myślcie, że

tego nie wiem. Ale jeśli to jest tylko sen, to chcę w nim pozostać. Nie wrócę do Arden bez mego ojca.

— Czy rozumiesz — powiedział Biały Kret — że jeżeli przeniosę cię w inny czas czy miejsce w tym stuleciu, w którym żyjesz, to wszystko się skończy? Już nic więcej nie będzie.

— To znaczy, że nie będziemy mogli przenieść się znowu w przeszłość, żeby szukać skarbu lub czegoś innego?

— Nie, nie będziecie mogli — powiedział Biały Kret. — To znaczy, że nie będzie już można zrobić dla was białego zegara. I jeśli znajdziesz twego ojca, to nie będziesz już lordem Ardenem.

Przypuszczam, że nie zdziwi was to bardzo, drodzy czytelnicy, jeśli wam powiem, że na myśl o tym serce Edreda ścisnęło się. Miał wrażenie, jakby jego pierś przeszło ostrze noża. To było straszne, że pomyślał o tym, mając szansę odzyskania ojca w zamian za tytuł lorda. To było straszne, ale jestem prawdomówną autorką i muszę mówić prawdę. Edred w pewnej chwili pomyślał coś jeszcze bardziej straszego — że to wszystko są głupstwa, że może jego ojca wcale tam nie ma i że nie warto go szukać, i że chce być dalej lordem Ardenem, i że lepiej, żeby poszli do domu.

Te myśli napłynęły bez jego wiedzy i Edred odepchnął je od siebie obydwoma rękami, że tak powiem, nienawidząc siebie za to, że w ogóle przyszły. I będzie nienawidził siebie za te myśli, choć nie chciał ich mieć, przez całe życie za każdym razem, kiedy je tylko sobie przypomni. Bo to jest właśnie najgorsze z myślami, że żyją wiecznie.

— Nie chcę być lordem Ardenem — powiedział — chcę mieć swego ojca.

I to, co powiedział, było prawdą wbrew tym myślom, których nie chciał mieć i nie mógł nigdy zapomnieć.

— Czy mam pójść z wami? — zapytał Kret i wszyscy z całą powagą powiedzieli:

Jest bardzo pożyteczną rzeczą mieć zawsze pod ręką przyjaźnie usposobionego Białego Kreta, szczególnie wtedy kiedy się idzie nie wiadomo dokąd.

— A teraz postarajcie się nie popełnić żadnego błędu — ciągnął dalej Kret. — To już jest zakończenie i koniec wszystkiego. Tak, moi drodzy, nie będzie już skrzyń na strychach. Nie będziecie już wyjmowali z nich pięknych strojów. I nie będzie już białych zegarów.

— Tak jest — odparł zniecierpliwiony Edred. — Rozumiemy to. Chodźmy!

— Poczekajcie trochę — powiedział Biały Kret denerwującym tonem. — Musicie ustalić, czym będziecie i którędy wyjdzie wasz ojciec. Ja myślę, że przez szczelinę w kredowej skale.

— Jak sobie tylko życzysz — rzekła Elfryda. — A teraz, kochany Biały Krecie, powiedz, czy jeszcze cię kiedyś zobaczymy.

— Ach, nie mów tak — odparł Kret. — Będziecie mnie co dzień widzieli przy obiedzie.

— Przy obiedzie?

— Przecież jestem na wszystkich łyżkach i widelcach — odrzekł Kret chichocąc w sposób tak irytujący jak nigdy przedtem.

— Kretuniu! — zawołał nagle Edred. — Przyszła mi taka myśl do głowy: zamaskuj nas tak, żeby ojciec nas nie poznał, a wtedy nie musielibyśmy być wyłączeni z tego wszystkiego, cokolwiek by to było.

— Myślę, że jest to pierwszorzędny pomysł — odezwał się Ryszard. — I mnie też.

— Ciebie nie — powiedział Biały Kret. Lecz skinął białą łapką na Edreda i Elfrydę, którzy nagle spostrzegli, że ubrani są w ściśle przylegające, białe futrzane ubranka. Nawet na rękach mieli grube, białe futrzane rękawiczki z tygrysimi szponami u końców palców. W tej samej chwili Biały Kret stał się znowu duży — urósł do rozmiarów małego niedźwiadka polarnego, podczas gdy kuzyn Ryszard stał się olbrzymem.

— Już! — powiedział Biały Kret i wszyscy wskoczyli na biały zegar, który ruszył w tej samej chwili.

Kiedy zegar zatrzymał się, zeszli zeń i stanęli na grubym dywanie mchu. Nad ich głowami, przez gałęzie olbrzymich drzew, świeciły gwiazdy wspaniałym złotym światłem. Powietrze pachniało wonią jak gdyby kwiatów i chociaż było ciepło, dzieci nie czuły, żeby ich futrzane płaszczyki były za ciepłe na tę pogodę. Mech pod ich nogami był tak miękki, że zapragnęły dotknąć go rękoma, i opadły na ziemię na czworakach. Później zachciało im się położyć i turlać po nim, a zachciało im się tak bardzo, że musiały to zrobić. Było to wspaniałe uczucie, kiedy tak turlały się po miękkim, zielonym dywanie.

Kuzyn Ryszard, wciąż o wiele za duży, patrzył na nich z góry i śmiał się. Zbyt jednak byli zajęci turlaniem się, aby patrzeć wzajemnie na siebie.

— Świetna zabawa — powiedział. — A teraz chodźmy do rozpadliny w kredowej skale. Czy mam cię zanieść? — dodał uprzejmie, zwracając się do Białego Kreta, który, ku ich zdziwieniu, zgodził się.

— Chodźmy — powiedział do dzieci, a one ruszyły za nim.

Było coś takiego, czy w samym mchu, czy w ich futerkach, czy w futrzanych rękawiczkach, że łatwiej im było posuwać się na czworakach; ich ręce tak samo nadawały się do chodzenia, jak nogi. Nigdy nie czuli się tak lekko, nigdy nie byli tak weseli, nigdy nie chodziło im się tak łatwo, jak teraz. Szli przez las za Ryszardem tak długo, aż wyrosła przed nimi, niczym ściana, ogromna skała, która zamykała las. Była w niej rozpadlina, widzieli ją nad sobą, ziejącą ciemnością, kiedy nagle księżyc wyjrzał zza chmury i oświetlił pełnym blaskiem białą fasadę skały i rozpadlinę, która miała taki sam kształt jak szczelina w kredzie, którą zrobił Biały Kret, kiedy wyszedł na murawę na wzgórzach Sussex u nich w domu. I przez cały ten czas Edred i Elfryda nie spojrzeli na siebie. Było tyle innych rzeczy do oglądania.

— Pójdziemy tędy — powiedział kuzyn Ryszard, wskazując na czarną rozpadlinę.

Mimo ciemności Edred i Elfryda zobaczyli, że nie było tani stopni, tylko występy skalne, które dobrze wychowana koza mogłaby nazwać oparciem dla nóg.

— Nie będziesz mógł wejść po nich — powiedział Edred do wielkiego Ryszarda, choć nie wątpił, że on i Elfryda potrafią to zrobić.

— Nie — rzekł Biały Kret, zeskakując z ramienia Ryszarda na ziemię — muszę go nieść — i przed oczyma dzieci urósł do rozmiarów polarnego niedźwiedzia.

— Oni tego nie widzą nawet teraz — powiedział Ryszard do Kreta.

— Czego nie widzimy? — zapytała Elfryda.

— Tego, że jesteście przebrani za koty. Jesteście kotami, moi drodzy kuzynowie, białymi kotami.

Wtedy Edred i Elfryda spojrzeli na siebie i była to rzeczywiście prawda: byli kotami.

— Powiem wam, jaki mam plan — ciągnął dalej Ryszard. — Ludzie w tym kraju nigdy nie widzieli oswojonych kotów. Myślą, że człowiek, który może oswajać zwierzęta, jest czarodziejem. Dowiedziałem się o tym, kiedy byłem tu przedtem. A więc mam teraz trzy oswojone zwierzęta, wszystkie trzy białe, jeżeli zechcesz wziąć udział w tej zabawie — dodał, zwracając się do Białego Kreta. — Weźmiesz w niej udział, prawda?

— O tak, wezmę — odburknął Kret trochę opryskliwie.

— A wy, koty, macie tylko miauczeć i mruczeć, i robić to, co wam każe. Wkrótce zobaczycie, jak ja to urządzę. Nie róbcie nic dla nikogo, tylko dla mnie i dla waszego ojca.

— Czy ojciec jest tu naprawdę? — zapytała Elfryda, drżąc z lekka.

— Jest po drugiej stronie tej wielkiej skały — powiedział Ryszard — skały, na którą żaden człowiek nie może się wdrapać. Ale wy możecie. Wskoczył na grzbiet Białego Kreta i zarzucił mu ręce na szyję, podobną do szyi polarnego niedźwiedzia. Kret zaczął wdrapywać się na skałę. Była to prawdziwa wspinaczka. Koty — a Edred i Elfryda nie mogli teraz zaprzeczyć, że nimi są — miały trudności z utrzymaniem nóg na małych, gładkich półkach skalnych. Gdyby nie to, że mieli teraz kocie oczy i mogli widzieć w ciemności, nigdy nie

potrafiliby tego dokonać. I była to tak długa wspinaczka, że zdawało się, iż nigdy się nie skończy.

— Słyszałam o wspinaczkach gdzieś w dalekich krajach — powiedziała Elfyda — ale nigdy nie myślałam, że wyglądają tak jak ta. Przypuszczam, że to jakaś zagraniczna wspinaczka.

— Południowoamerykańska — odrzekł Ryszard. — Możecie poszukać jej na mapie, jak wróćcie do domu... ale nie znajdziecie jej. Chodźcie.

Kiedy wspięli się na szczyt skały, musieli zejść na dół po drugiej stronie, skała bowiem wznosiła się jak ściana między lasem i rozległą równiną. Kiedy zaś zeszli na równinę, słońce patrzyło na nich w dół sponad skały.

Równina była ogromna i wspaniała, a wysokie skalne ściany zamykały ją ze wszystkich stron. Przez całą równinę przebiegały drogi i aleje, były tam również pola i parki. Tu i ówdzie widniały miasta i pałace, wysokie akwedukty na setkach słupów prowadziły wodę spod łukowatego sklepienia w skale na środek równiny, skąd kanałami płynęła ku skalnym ścianom. Kanały te były równe i proste jak szprychy koła i wnikały pod niskie kamienne łuki wykute w skale. Były tam jeziora, ogrody, wielkie kamienne budynki, których dachy błyszczały jak złote, kiedy padały na nie promienie wschodzącego słońca. Na polach pasło się bydło o długich rogach i dziwaczne owce, które Ryszard nazwał lamami.

— Wiem — wyjaśnił — bo widziałem je na znaczkach pocztowych.

Przeszli kawałek doliną i usiedli pod rozłożystym drzewem.

— Musimy tu czekać, aż nas znajdą — powiedział Ryszard. Objął całkowicie komendę nad wyprawą. Edred i Elfyda, jako koty, musieli mu się podporządkować, chociaż wcale im się to nie podobało.

Pasterze, którzy przybyli tu wcześniej, aby paść swe stada, natknęli się na chłopca w dziwacznym ubraniu, w towarzystwie wielkiego białego niedźwiedzia i dwóch białych kotów siedzących pod drzewem.

Widać było, że pasterze nie bali się niedźwiedzia, wydawali się tylko zaciekawieni i zainteresowani ich obecnością. Ale kiedy Biały Kret stanął na tylnych nogach i skłonił się z powagą, zaś koty wstały, a następnie położyły się i zaczęły potrząsać łapkami i na komendę wywracać koziołki, jeden z pasterzy, powziąwszy najwyraźniej jakąś decyzję, owinął się swym czerwonym wełnianym płaszczem i dając Ryszardowi znak, aby poszedł za nim, skierował się szybko do najbliższego miasta.

Wkrótce znaleźli się na rynku jednego z najpiękniejszych miast na ziemi. Chciałabym, drodzy czytelnicy, opowiedzieć wam dokładnie, jak ono wyglądało, ale nie mam na to czasu. Mogę tylko stwierdzić, że było ono czyste, wielkie i wspaniałe i wyróżniało się przepychem. Nie było tam ani jednego niechlujnego zakątka, nigdzie nie widziało się ani jednej smutnej twarzy. Domy zbudowane były z wielkich bloków kamiennych, wykładanych złotem i srebrem, czyste strumyki — lub małe kanały — płynęły wzdłuż każdej ulicy, a na wszystkich ulicach widniały podwójne rzędy drzew. Były tam nie ogrodzone trawniki i klomby kwiatów w miłych dla oka, naturalnych kolorach, a niektóre zrobiono ze złota, srebra i drogich kamieni. Tryskały fontanny i opadały miniaturowe wodospady. Ludzie mieli twarze ciemne, ale uprzejme i nie porane zmarszczkami. Znajdował się tam również targ ze straganami pełnymi apetycznych owoców i ciast oraz kramy z jaskrawo kolorowymi, miękkimi strojami. Pośrodku miasta wznosił się ogromny gmach, na którego płaskim dachu był ogród. Do tego gmachu pasterz zaprowadził przybyszów.

Wielkie rzeźbione drzwi stały otworem, a długą salę wypełniał tłum odziany w miękkie stroje o pięknych kolorach. Nad salą nie było dachu, zsunięta na jedną stronę sfałdowana zasłona zapewniała ludziom cień lub ochronę przed deszczem.

W jednym końcu sali znajdowało się kamienne podium, na którym stały trzy fotele. Tłum rozstąpił się, aby przepuścić pasterza i jego towarzyszy. A kiedy ci zbliżyli się do podium,

dwa białe koty, którymi byli Edred i Elfryda, spostrzegły siedzącego w środkowym, największym fotelu wspaniałego mężczyznę o ciemnej twarzy. Mężczyzna ów miał na głowie rodzaj turbanu z zatkniętymi weń dwoma długimi piórami. Na pozostałych dwóch fotelach, z prawej i lewej strony, w pięknych, bogato haftowanych strojach z błyszczącymi drogocennymi łańcuchami na szyi siedzieli ojciec i wuj Jim.

— Ani słowa! — rzekł kuzyn Dick w sam czas, aby powstrzymać dzieci, które były kotami, od wydania głosu. Nie mógł jednak powstrzymać ich ruchów. Wszyscy w sali zobaczyli, jak dwa białe koty skoczyły i zaczęły się ocierać o nogi mężczyzny siedzącego w fotelu z prawej strony. Zmuszeni do milczenia z powodu ich niebezpiecznej sytuacji, Edred i Elfryda ocierali swoje ciała białych kotów o nogi ojca w porywie, którego nie potrafię opisać, i pomrukiwali z zachwytem. Cudowna to rzecz móc mruczeć, kiedy nie wolno mówić Król siedzący na wysokim tronie wstał, spojrzął z góry na koty mądrymi, pełnymi życzliwości oczyma i o coś zapytał.

Wspaniale, jak potrafi to każdy tresowany niedźwiedź, lecz z jeszcze większym wdziękiem, Biały Kret zatańczył przed królem tego tajemniczego, nieznanego królestwa.

W pewnej chwili Dick gwizdnął i Edred i Elfryda przestali ocierać się pieszczotliwie o nogi ojca, i stanęli na swych białych tylnych kocich łapkach.

— Menuet — szepnął Edred.

Dick zaczął gwizdać melodię, której dzieci nigdy dotąd nie słyszały. I oto dwa białe koty powoli i uroczyście zaczęły wykonywać figury skomplikowanego tańca w takt melodii, którą gwizdał Dick. Obracały się i kłaniały, sunąc z dystynkcją, jakiej nauczyła ich ciocia Edyta, gdy były jeszcze Edredem i Elfryda, a nie białymi kotami.

Gdy ostatni dworski ukłon zakończył taniec, sam król wykrzyknął z uznaniem słowa, które z pewnością oznaczały: „Wspaniale!”, a wszyscy obecni również wykrzyknęli te słowa, jedynie ojciec i wuj Jim zawołali: „Brawo!”

Wtedy król zapytał o coś Dicka.

Dick nie odpowiedział, położył tylko palec na ustach.

Król zwrócił się wówczas do ojca, a ten z kolei spróbował zapytać po angielsku i francusku, a następnie w innych językach. Dick w dalszym ciągu trzymał palec na ustach, biały niedźwiedź potrząsał smutnie głową, a białe koty pomrukiwały coś głośno z oczyma wlepionymi w ojca.

Ryszard pochylił się ku dzieciom.

— Kiedy wasz ojciec wyjdzie, idźcie za nim — szepnął.

I kiedy król wstał ze swego tronu i wyszedł, i wszyscy uczynili to samo, białe koty odbiegły od Dicka i ruszyły w ślad za swym ojcem. Król zauważył to i powiedział coś do otaczających go ludzi, którzy prowadzili Dicka w inną stronę, i oto koty, niedźwiedź i Ryszard znaleźli się sami z wujem Jimem i ojcem Edreda i Elfrydy na pięknym tarasie ocienionym drzewami. Wzdłuż całego tarasu rosły w wazonach z masywnego srebra cudowne pnące się, czerwone, białe i fioletowe kwiaty.

I teraz, gdy żadnego z brązowych ludzi nie było w pobliżu, Ryszard spojrzął prosto w oczy ojca Edreda i Elfrydy i powiedział bardzo cicho:

— Jestem Anglikiem i przyszedłem, aby pana uwolnić.

— Jesteś odważnym chłopcem — rzekł ojciec Edreda i Elfrydy — ale ucieczka jest niemożliwa.

— Nie mamy dużo czasu — nalegał znowu Ryszard. — Oni pozwolili nam tu przyjść jedynie dlatego, żeby się dowiedzieć, czy pan nas zna. Mam wrażenie, że nas podsłuchują. Jest pan teraz lordem Ardenem — stary lord umarł. Mogę pana stąd wydostać, jeśli zrobi pan dokładnie to, co powiem.

— Warto spróbować — powiedział wuj Jim. — W każdym razie warto jednak spróbować.

— Czy wolno wam chodzić tam, gdzie chcecie?

— Tak — odpowiedział lord Arden, nie Edred, lecz ojciec Edreda, jako że Edred nie był już lordem Arde — nem. — Widzicie, jest stąd tylko jedna droga, a strzeże jej stu ludzi z zatrutymi strzałami.

— Jest jeszcze inna droga — odparł Ryszard — droga, którą myśmy przyszedli. Biały niedźwiedź może was przenieść, każdego oddzielnie.

— Czy mamy zaryzykować? — zapytał lord Arden z pewnym powątpiewaniem.

— Raczej tak — powiedział wuj Jim. — Pomyśl o Edycie i o dzieciach.

— O nich właśnie myślę — odrzekł lord Arden. — Dopóki jesteśmy żywi, mamy szansę, żeby się stąd wydostać. Jeżeli jednak spróbujemy i nie uda nam się, to nas pozabijają.

— Na pewno się uda — rzekł Ryszard. — Pomogę wam wrócić do domu, ale pragnąłbym wiedzieć, jak wpadliście w te tarapaty. To tylko ciekawość z mojej strony, chciałbym jednak, żebyście mi powiedzieli. Może już więcej was nie zobaczę.

— Natknęliśmy się przypadkowo na wejście, jedyne wejście do złotej doliny — powiedział lord Arden — kiedy poszukiwaliśmy złota w tych górach. Od tego czasu jesteśmy ich więźniami, bo nie chcą, aby świat dowiedział się o istnieniu tej równiny. Zawsze o niej mówiono, ale jak dotąd, nikt z ludzi „cywilizowanych” jeszcze jej nie znalazł. Każdy król, wstępując na tron, składa przysięgę, że raczej umrze, niż pozwoli, aby zarażono tę równinę występny okrucieństwem współczesnej cywilizacji.

— Świetnie to rozumiem — powiedział Dick.

— Jest to cywilizacja starsza od cywilizacji Inków — powiedział lord Arden — a życie jest tu o wiele piękniejsze, niż mogłem kiedykolwiek zamarzyć. Gdyby ci ludzie mieli do mnie zaufanie, nigdy bym ich nie zdradził. Nie zdradzę ich nawet, jeżeli uda mi się uciec. Gdybym tu wpuścił nasz straszliwy system trustów i syndykatów, komercjalizmu i zbrodni, uważałbym się za równie potwornego zbrodniarza, jak gdybym rzucił dzikim bestiom na pożarcie małe dziecko.

Białe koty stwierdziły ze zdziwieniem i szacunkiem, że ich ojciec zwracał się do Ryszarda tak” jak gdyby ten był dorosły.

— Udało nam się wysłać notatkę do gazety, że schwytali nas bandyci — ciągnął dalej lord Arden. — Tylko na to nam pozwolili. Ale nie jesteśmy wolni, chociaż mamy tu wszystko: jedzenie, ubranie, życzliwość ludzi, sprawiedliwość, serdeczność. Musimy uciec, jeśli tylko będziemy w stanie, bo chcę zobaczyć moją siostrę i dzieci, ale będę się czuł tak, jak gdybym zamienił raj na Black Country*.

— To prawda — potwierdził wuj Jim.

— A jeżeli już się nie zobaczymy — ciągnął dalej lord Arden — to powiedzcie mi przynajmniej, dlaczego przybyliście tutaj — to musiało być przecież wielkie ryzyko — aby nam pomóc.

— Jestem dłużny — powiedział Ryszard cichym głosem — wszystkim tym, którzy noszą nazwisko Arden. — Jego głos stał się tak cichy, że dwa koty mogły tylko usłyszeć słowa „głowa domu”.

— A teraz — mówił dalej Ryszard — czy widzicie tam tę czarną szczelinę? — To mówiąc, wskazał rozpadlinę w skale. — Stawcie się tam obydwaj o wschodzie księżyca, a wyjdziecie stąd bezpiecznie i wróćcie do zamku Arden.

— Wy, oczywiście, musicie iść z nami — powiedział lord Arden. — Ja też mogę się wam przysłużyć. Mamy niewielką sumę pieniędzy w jednym z banków w Limie — nie na nasze nazwiska — ale będziemy mogli ją wydostać, jeżeli nas stąd uwolnicie. Przynieśliście nam szczęście. Jestem tego pewien. Czy chcecie iść z nami i dostać część majątku?

— Nie — powiedział Ryszard. — Ja muszę wrócić do moich czasów, chciałem powiedzieć: do mojego kraju. A teraz chciałbym już odejść. Chodźcie, koty.

* Black Country — silnie uprzemysłowiony okręg w Anglii środkowej. Po polsku nazwa ta znaczy: Czarny Kraj.

Koty spoglądały błagalnie na swego „ojca, ale podeszły do Ryszarda.

— Myślę, że możemy odejść? — zapytał.

— Każdy człowiek jest tu całkowicie wolny — odpowiedział lord Arden. — Jedyną zakazaną rzeczą jest opuszczenie złotej doliny. To bardzo dziwne. Właściwie nie ma tu żadnych ustaw. Wszyscy możemy robić to, co chcemy, i zdaje się, że nikt nie chce urazić drugiego. Tylko jeśli schwytają kogoś na próbie wyjścia na świat zewnętrzny lub na wypuszczeniu kogoś ze świata zewnętrznego do doliny, wówczas zabijają go bez bólu i nie z zemsty, lecz z konieczności.

Białe koty spojrzały po sobie ze smutkiem. Jak pamiętały, ich ojciec nigdy nie przemawiał do nich w ten sposób.

— Ale — powiedział lord Arden — musimy zaryzykować przez wzgląd na dzieci i moją siostrę. Mam do was całkowite zaufanie i stawimy się przy rozpadlinie o wschodzie księżycy.

Ryszard i jego trzy białe zwierzęta zeszli po schodkach — wykutych w twardej skale, a mieszkańcy miasta otoczyli ich tłumnie niosąc w darze owoce i placki kukurydziane dla Ryszarda i mleko na złotych talerzach dla kotów.

Następnie Ryszard udał, że jest śpiący, i pozwolono mu odejść. Poszedł więc w pole, a z nim jego trzy białe zwierzęta. O oznaczonej godzinie spotkali się wszyscy pod wielką skałą, która stanowiła naturalną ścianę i straż złotej doliny.

Biały Kret wniósł wuja Jima na sam szczyt skały, a później wrócił po lorda Ardena i Ryszarda. Lecz nagle rozległ się okrzyk i tysiące pochodni zapaliły się w mieście, które opuścili. Zrozumieli więc, że odkryto ich ucieczkę.

— Nie ma czasu — Biały Kret ku wielkiemu zdumieniu lorda Ardena otworzył swą długą mordkę i przemówił.

A białe koty również otworzyły pyszczki i zawołały:

— Och, tatusiu, jakie to straszne, co my teraz zrobimy?

— Trzymajcie swoje głupie języki za zębami! — zawołał gniewnie Biały Kret. — Powiedziano wam, żebyście nie gadali. Tędy wydrapcie sobie drogę waszymi białymi łapkami.

I sam dał im przykład ryjąc twardą skałę silnymi, zakrzywionymi pazurami przednich łap. I skała ustąpiła. Powstała biała szczelina, która stawała się coraz szersza i szersza.

A kołujące, wirujące pochodnie zbliżały się coraz bardziej, przemierzając dolinę.

— Wchodźcie! — krzyknął Biały Kret. — Wchodźcie!

— Jim! — zawołał lord Arden. — Nie pójdę bez Jima!

— On już przeszedł pół drogi — rzekł Biały Kret, popychając lorda Ardena swym wielkim białym ramieniem. — Chodź, słyszysz, chodź!

Wepchnął ich wszystkich do szczeliny skalnej, a skała zamknęła się za nimi ciasno i szybko, tak że ich prześladowcy nic już nie mogli zrobić.

— Tędy wychodzimy — powiedział Biały Kret, wskazując zakurzoną łapą światło gdzieś z przodu przed nimi.

— Co to jest? — spytał Edred. — Przecież to grota przemytników! I tam jest zegar!

Lecz po chwili zegara już nie było, bo Ryszard wskoczył na niego i znikł razem z nim, a Biały Kret chwycił się w ostatniej chwili wskazówki godzinowej.

Białe koty, to znaczy Edred i Elfryda, odsunęły się od wirujących wskazówek, nim jeszcze zegar zdążył zniknąć. Zobaczyli, że ich ojciec i wuj Jim idą po schodach prowadzących do ciężkich drewnianych drzwi z kluczem podobnym do klucza kościelnego — tych drzwi, które zamykały wejście do pieczary między krzakami janowca i których nie potrafili znaleźć po raz drugi.

Kiedy zegar znikł, ruszyli naprzód, a gdy wydostali się na powietrze, gdzie skowronki śpiewały jak zwykle, zdążyli jeszcze zauważyć dwie postacie zmierzające do zamku i znajdujące się już blisko niego.

Spojrzeni wzajemnie na siebie.

— Jak to? — powiedział Edred. — Już nie jesteś kotem?

— Ty też nie jesteś — odparła Elfryda. — Och, Edred, oni wchodzą przez wielką bramę! Czy uważasz, że to jest rzeczywista rzeczywistość, czy też nam się to wszystko śni tym razem? To jest o wiele bardziej podobne do snu niż wszystko inne.

— Czuję się tak — powiedział Edred, siadając nagle — jakbym przez całe życie był kotem. Będę tu siedział tak długo, dopóki się nie upewnię, czy jestem białym kotem, czy Edredem Ardenem.

— Ja wiem, kim jestem — odrzekła Elfryda, ale też siadła.

— To łatwo odgadnąć. Nie jesteś żadnym z nich — powiedział Edred.

* * *

Kiedy w pół godziny później szli powoli ku zamkowi, zastanawiali się ciągle jeszcze, czy naprawdę zdarzyło się coś czarodziejskiego, czy też wszystkie te czary, które, jak się zdawało, miały miejsce, były tylko jakimś podwójnym, bliźniaczym snem.

Przy drzwiach powitała ich ciocia Edyta, blada jak perły i jak kość słoniowa białego zegara, z oczyma błyszczącymi jak krople rosy na polnych kwiatkach, które Elfryda wręczyła królowej.

— Och, dzieci! — zawołała. — Drogie, kochane dzieci!

Przyklękła, aby się zniżyć do ich wzrostu i móc je objąć i uściskać.

— Zdarzyło się coś cudownego — powiedziała — coś tak pięknego, że nie będziecie mogli nawet w to uwierzyć!

Ucałowali ją serdecznie, trochę dlatego, że ją kochali, a trochę dlatego, aby ukryć, że wcale nie są tym zaskoczeni.

— Moi kochani, to jest najcudowniejsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Czy domyślacie się, co się stało?

— Tatuś wrócił do domu — powiedziała Elfryda.

— Tak! — zawołała ciocia Edyta. — Jaka z ciebie mądra dziewczynka! I wuj Jim też wrócił. Byli uwięzieni w Południowej Ameryce i chłopiec, Anglik z tresowanym niedźwiedziem, pomógł im uciec.

Nie wspomniała nawet słowem o kotach. Dzieci poczuły się bardzo dotknięte.

— Przeszli prawdziwe piekło, całymi miesiącami wędrowali przez obce ziemie, nie było tam wody, spotykali Indian, mieli całe mnóstwo przygód, a tatuś dostał gorączki i bredził, że niedźwiedź jest Białym Kretem — to nasz herb, jak wiecie — który ożył i rozmawiał tak jak ty albo ja, i że były tam jakieś białe koty, które miały wasze głosy i nazywały go tatusiem. Ale teraz tatuś już się dobrze czuje, jest tylko bardzo osłabiony. Dlatego mówię wam o tym wszystkim. Musicie być bardzo grzeczni i zachowywać się cicho. Och, moi drodzy, to za piękne, żeby było prawdziwe, za piękne!

* * *

A więc czy to ojciec Edreda i Elfrydy miał zapalenie mózgu i mówił od rzeczy, czy też oni, nie mając gorączki, wyimaginowali sobie to wszystko? Wuj Jim może wam, drodzy czytelnicy, powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. W jego opowiadaniu nie było żadnych czarów. Ojciec, to znaczy lord Arden, nie mówił o tym, co mu się majaczyło, kiedy miał zapalenie mózgu. A Edred i Elfryda nie mówili o tym, co, się działo, kiedy nie mieli gorączki. W końcu powiedzieli, ale tylko mnie.

Wszystko jest cudowne i bardzo tajemnicze, jak samo życie być potrafi, jeśli wyjdziecie trochę ze swojej skorupy i nie będziecie zadowalać się jedynie czytaniem gazet, jazdą

metrem, kupowaniem gotowych ubrań i myśleniem, że prawdą jest tylko to, co jest nieinteresujące.

— Znalazłam cudowne fotografie obrazów przedstawiających zamek Arden — powiedziała kiedyś później ciocia Edyta. — Możemy według nich doskonale odbudować zamek. Chciałabym się dowiedzieć, gdzie są oryginały tych obrazów.

— Obawiam się, że nie będziemy mogli go odbudować — powiedział śmiejąc się lord Arden. — Nasze skromne zasoby wystarczą nam na wygodne życie, ale nie wystarczą na odbudowę normandzkiej siedziby.

— Chciałbym, żebyśmy odnaleźli ukryty skarb — rzekł Edred.

— Mamy już nasz skarb — powiedziała ciocia Edyta, patrząc na wuja Jima.

* * *

A jeśli chodzi o to, co myślała Elfryda, to żałuję, drodzy czytelnicy, że nie widzieliście wyrazu jej twarzy, kiedy weszła do saloniku wieczorem tego dnia, gdy ciocia Edyta przyklękała, aby zniżyć się do nich i powiedzieć im, że skarb miłości i radości wrócił do Arden.

W saloniku był lord Arden, który wyglądał dokładnie tak samo jak ów lord Arden, którego Elfryda poznała w czasach Spisku Prochowego, i dokładnie tak samo jak jej ojciec, którego znała całe życie; siadywał wygodnie w fotelu pod boazerią, za którą sir Edward Talbot ukrywał się, udając, że jest Kawalerem Świętego Jerzego. Jego droga twarz była zupełnie taka sama, a uśmiech na niej był jej własnym uśmiechem, czułym, promiennym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla niej i dla nikogo innego na świecie. Stała przy drzwiach tylko chwilę. A była to jedna z tych chwil tak krótkich jak tik-tak zegara i równocześnie tak długich jak cały rok. Stała tam i zapytywała samą siebie: „Czy to wszystko tylko mi się śniło? Czy naprawdę nie ma ani Białego Kreta, ani skarbu?”

I nagle zalała ją wielka fala miłości i tęsknoty, i wiedziała już, że czy Biały Kret był, czy go nie było, skarb był tu. Jak strzała przebiegła pokój, rzuciła się ojcu w ramiona, łkając i śmiejąc się, i powtarzając ciągle w kółko:

— Och, tatusiu! Mój kochany, drogi tatusiu!